

Bethany Campbell

Ich troje i kot

Rozdział 1

Gdy Lindsey McCoy wynajmowała domek w Dolphin Court, nie wiedziała, że ma on swojego pelikana.

Obok domku znajdował się mały komunalny basen kąpielowy, obrzeżony pasmem trawy i drzew – i to ustronne miejsce upodobał sobie pelikan ze złamanym skrzydłem. Kaleki samotnik trzymał się z dala od swych pobratymców żerujących na brzegu pobliskiego oceanu. Był niemal zupełnie oswojony. Nie bał się mieszkających w domkach letniskowych ludzi, którzy dawali mu pożywienie i nazwali go Mooch.

Lindsey, której mąż zginął półtora roku temu w wypadku samochodowym, przeprowadziła się na Florydę, rozpaczliwie licząc na to, że zmiana otoczenia wywrze dobroczynny wpływ na stan psychiczny jej pięcioletniego syna.

Todd był ładnym chłopcem. Szczupły i delikatny, z ciemnymi falującymi włosami, wyglądem zewnętrznym przypominał matkę. Oboje mieli zielononiebieskie oczy, w których wtedy, gdy byli jeszcze szczęśliwi, zapalały się wesołe, figlarne iskierki. Ale to było dawno temu i Lindsey od miesięcy nie widziała w oczach dziecka ani śladu wesołości. Po śmierci ojca chłopiec zmienił się ogromnie. Stał się markotny, zamknięty w sobie i cichy. Z wyjątkiem momentów, gdy budził się ze snu z krzykiem. Nigdy jeszcze nie widziała dziecka, które byłoby tak poważne i milczące.

Gdy przeprowadzili się z Minnesoty na Florydę, wydawało się, że Todd niemal nie zauważył oceanu i olśniewającej masy kwiatów. Nadal był w sobie zamknięty i mówił jeszcze mniej niż dotąd.

Jedyną rzeczą, jaka go zainteresowała, był właśnie pelikan Mooch. Codziennie, rano i wieczorem, Lindsey i Todd chodzili nad basen i karmili ptaka sardynkami.

I wtedy właśnie wydarzył się cud. Pewnego popołudnia, gdy oboje gdzieś wyszli, na patio ich domku przywędrowała kotka. Nie miała obróżki, wystawały jej żebra i drapała się bez przerwy. Najwyraźniej dokuczały jej pchły.

Nikt nie wiedział, skąd przyszła. Różni ludzie próbowali ją odpędzić, ale im się to nie udawało. Znikała na chwilę po to, by po kilku minutach pojawić się ponownie na patio. Pozostała tam przez cały dzień, wpatrując się w dom, tak jakby na kogoś czekała.

Okazało się, że tym kimś był Todd. Lindsey wróciła z chłopcem do domu i gdy tylko otworzył on drzwi prowadzące na patio, by pójść karmić pelikana, kotka już

tam na niego czyhała. Mruczając, zaczęła się ocierać o jego gołe nogi, próbując sięgnąć do kubelka z sardynkami.

Todd spojrział na matkę. Wydał jej się w tym momencie tak mały, stroskany i bezradny, że nie potrafiłaby mu odmówić niczego. Oczywiście nie odezwał się ani słowem, ale jego udreżone zielone oczy wyrażały niemą prośbę. Wiedziała dokładnie, o co mu chodzi.

– Nakarm ją – westchnęła i przyglądała dłonią swe długie włosy.

Todd sięgnął do wiaderka i podał kotce sardynkę. I to zupełnie wystarczyło. Kotka uznała w tym momencie, że udało jej się znaleźć dom. Przynajmniej na jakiś czas. W nocy spała w budce, w której składowano sprzęt do czyszczenia basenu, a następnego ranka znowu zjawiała się na patio. Była – choć wydawało się to niemożliwe – jeszcze chudsza niż poprzednio. Jej wygląd i zachowanie wskazywały na to, że nie jest już samotna. W budce miała teraz ukryte nowo narodzone kocięta.

Po raz pierwszy od miesiąca Todd był czymś naprawdę zafascynowany. Karmił nadal kotkę i nie mógł się doczekać, kiedy wyprowadzi ona na świat swoje potomstwo.

Lindsey powiedziała mu stanowczo, że nie mogą wziąć do domu ani kotki, ani kociaków. Warunki wynajmu domków w Dolphin Court wyraźnie zabraniały trzymania tam zwierząt domowych. Będą więc mogli jedynie dopilnować, aby małe dorosły na tyle, by można je było odłączyć od matki i wówczas trzeba będzie poszukać dla nich jakichś opiekunów.

Todd wyraził zgodę skinieniem głowy, ale wyglądał na bardzo zmartwionego. Lindsey miała poczucie winy, ale wiedziała, że nie mogą wyprowadzić się stąd tylko dlatego, że przybłąkał się do nich kot. Domek – co prawda ciasny – miał ogromne zalety: położony był tuż nad oceanem, a jednocześnie był niewiarygodnie tani.

Todd zdawał się to wszystko rozumieć, ale nadal niecierpliwie oczekiwał pojawienia się kociąt. Lindsey także była tym zaintrygowana.

Wreszcie, po upływie czterech tygodni, kotka zdecydowała się dokonać formalnego przedstawienia swych dzieci. Gdy Lindsey i Todd przyszli ją nakarmić, wypelzła z dziury pod fundamentem budki, niosąc w zębach mały, puszysty kłębuszek. Był to trójkolorowy kotek, pomarańczowo-szaro-biały. Matka położyła go przed Toddem, a następnie powróciła do szopy i przyniosła identyczne łaciate stworzonko. A potem jeszcze dwa następne.

Lindsey była uradowana. Cztery śliczne kociaki, tak pięknie umaszczone, że nie

będzie problemu ze znalezieniem na nie amatorów. Todd, zachwycony i rozradowany, siedział na ziemi i bawił się z małymi.

Ale to jeszcze nie był koniec. Kotka wybrała się do budki po raz piąty. Na widok ostatniego kociątka Todd rozdziawił usta, a Lindsey – zdumiona i ubawiona – nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nigdy w życiu nie widziała tak cudaczego zwierzaka.

Kotka zdeponowała swój skarb na kolanach Todda, tak jakby ofiarowała mu go w prezencie. Chłopiec śmiał się z radości, ale po chwili posmutniał znowu i błagalnie popatrzył na matkę.

– Mamo? – spytał cichutko.

Dźwięk tego słowa i radość, którą widziała przez moment na twarzy dziecka, wstrząsnęły nią. Od czasu śmierci Jerry'ego nigdy nie zdarzyło się, by mały zapragnął czegoś na tyle, by aż o to poprosić.

Ze strachem uświadomiła sobie, że nie ma wyboru. Nic nie było w mocy zmusić ją do tego, by odebrać Toddowi tego piątego kociaka. Był on najmniejszy z miotu, również łaciaty, ale jego łaty nie miały wspaniałego technicoloru rodzeństwa. Zdobila go tylko czerń i biel, lecz mimo to jego pyszczek wyglądał jak twarz cudownego błazna.

Miał idealnie symetryczne, czarne łaty na obu oczach i uszach. Pozostała część pyszczka była biała, z wyjątkiem nosa, na środku którego widniała czarna łatka o kształcie i rozmiarach dokładnie takich jak as pik. Wyglądał po trosze jak panda, a po trosze jak karta do gry. Po obu stronach czarnego noska lśniły niebieskie, zdumione ślepka, tak jakby sam również był zdziwiony tym, że wygląda tak cudacznie.

Przednie łapki miał białe, ozdobione czarnym paskiem. Grzbiet – jakby przyodziany w czarną pelerynę, lecz gdy Todd odwrócił go, by pogłaskać po brzuszku, kot zdał się mieć na sobie archaiczne kąpielowe pantaloney o tej samej barwie. Choć nie tylko.

Lindsey nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Ten mały dziwak miał na genitaliach białą łatkę, która wyglądała tak, jak przypięty do czarnych szortów figowy listek.

– Mamo? – odezwał się powtórnie Todd, podnosząc na nią wzrok.

Lindsey kiwnęła głową i zwichrzyła dłonią ciemną czuprynę chłopca. Powiedziała mu, że znajdą jakiś sposób na to, aby zatrzymać kociaka.

Minęły następne cztery tygodnie. Wydawało się, że Todd niemal wrócił do siebie, chociaż nadal mówił bardzo mało. Codziennie bawił się z kociakami albo

przyglądał się ich zabawom, podczas gdy stara kotka wygrzewała się na słońcu i mruczała.

Pelikan Mooch nie był zachwycony pojawieniem się kotów. Przyglądał się im podejrzliwie, starał się trzymać z dala i uciekał niezdarnie, ilekroć próbowały go gonić wokół basenu.

Lindsey odbyła długą i kosztowną rozmowę z właścicielem domku, panem Hidalgo, który mieszkał w Miami. Opowiedziała mu wszystko o Toddzie, po czym poprosiła, aby pozwolił zatrzymać im kotka.

Pan Hidalgo zmiękł wreszcie i zgodził się na to pod warunkiem, że kot pozostanie na dworze. Jeśli dowie się natomiast, że jest on wpuszczany do domku, to wyrzuci ich wszystkich troje.

Tom wpadł w ekstazę. Nazwał kotka Bożo, gdyż tak nazywał się błazen w jednej z jego ulubionych książek. Zaczął naprawdę na nowo mówić – choć prawie zawsze zwracał się tylko do kota. Ale w każdym razie mówił. Lindsey odczuła ogromną ulgę. O mało nie rozpląkała się ze szczęścia.

Zgodnie z przewidywaniami, nie było problemu ze znalezieniem chętnych na kocięta. Gorzej było z ich matką. Ale wreszcie, poprzez miejscowego weterynarza, Lindsey udało się znaleźć rodzinę, która szukała miłego, dorosłego kota. Pojechała razem z Toddem, aby odwieźć kotkę do Key Largo, gdzie ludzie ci mieli swój dom. Dwie małe dziewczynki przywitały nowego przybysza tak radośnie, że nie ulegało wątpliwości, iż kotka została oddana naprawdę w dobre ręce.

Ale mimo wszystko, gdy wracali oboje do swego Vaca Key, Lindsey było smutno. Todd również był przygnębiony. W obawie, aby się nie rozpląkał, Lindsey prowadziła wóz przekraczając nieco dozwoloną prędkość. Liczyła na to, że mały rozpogodzi się, gdy tylko zobaczy swego Bożo.

Niestety, gdy wrócili do domu, kotka nie można było nigdzie znaleźć. Nikt z sąsiadów go nie widział. Todd czekał na niego przez całe popołudnie, a potem jeszcze długo po zmierzchu. Na próżno. Bożo się nie pojawił.

Chłopiec był tak strapiony, że Lindsey naprawdę to przeraziło. Tuliła malca przez całą noc, próbując go jakoś pocieszyć. Uspokajała go, zapewniając, że kot na pewno się znajdzie. Gładziła jego ciemne włosy, ale gdy spojrzała mu w oczy i spostrzegła, że są one wypełnione łzami, sama omal się nie rozpląkała. Mały nie powiedział ani słowa, a Lindsey przytuliła go do siebie jeszcze czulej.

– Boże, nie pozwól, by z kotem stało się coś złego – powtarzała bez przerwy bezgłośnie modlitwę.

– Spraw, by wrócił do domu. To dziecko tak bardzo go potrzebuje. Błagam Cię,

zrób to dla niego.

Kot jednak przepadł na dobre i nigdzie nie można było go odnaleźć.

Sąsiadka, pani Feldman – jedyny prócz nich stały mieszkaniec domków w Vaca Key – przypomniała sobie, że tego popołudnia, gdy zginął Bożo, jakichś dwóch podejrzanie wyglądających osobników przyjechało czarnym dżipem do willi, która stała przy samej plaży na południe od domków. Kiedyś była ona hotelem, a teraz remontowano ją na czyjś prywatny użytek. Stale kręcili się tam jacyś robotnicy.

Naomi Feldman nie widziała, kiedy ci osobnicy wyjechali. Myślała, że są to również ludzie zatrudnieni przy remoncie, choć naprawdę nie wyglądali przyzwoicie, a ich dżip miał na błotniku nalepkę jakiejś agencji wynajmującej łodzie dla wędkarzy w Key West. W sumie był to rozpaczliwie nikły trop.

Todd znowu stał się tak smutny, że Lindsey nie mogła wprost na to patrzeć. Była to dla niego kolejna bolesna strata – zbyt wiele złych doświadczeń jak na jego wiek.

Starła się więc za wszelką cenę odnaleźć kota. Zadzwoiła do wszystkich okolicznych weterynarzy, dała ogłoszenie do miejscowej gazety i zwróciła się o pomoc do lokalnego radia. Na nic się to, niestety, nie zdało.

Zaproponowała Toddowi, że znajdzie mu jakiegoś innego kotka, ale mały ze łzami w oczach nie zgodził się na to. Rozumiała go doskonale. Bożo przyszedł na świat niemal na ich progu, a Todd był pierwszą ludzką istotą, która go dotykała czy w ogóle ujrzała na własne oczy. Nic dziwnego, że chciał tego właśnie kota, a inne go nie interesowały.

Przyglądając się dziecku, które ponownie godzinami nie mówiło ani słowa, zamknięte w sobie i jakby nieobecne, Lindsey nie mogła sobie darować, że Bożo został pozostawiony poza domem. Mogła przecież złamać umowę z panem Hidalgo i przetrzymać Bożo przez kilka godzin w bezpiecznym zamknięciu. Dziura w niebie by się z tego powodu nie zrobiła.

Kiedy stało się jasne, że kot zginął bezpowrotnie, Lindsey uciekła się do drastycznych środków. Zadzwoiła do osób, które wzięły od nich pozostałe kociaki, mając nadzieję, że może ktoś zechce oddać któregoś z nich. Liczyła na to, że Todd łatwiej zaakceptuje siostrzyczkę lub braciszka swego zaginionego ulubieńca. Ale na nic to się nie zdało: żadna z indagowanych osób się na to nie zgodziła, a co więcej – czuły się one dotknięte taką propozycją.

Lindsey – upokorzona, lecz nadal uparta – wpadła na następny rozpaczliwy pomysł. Zadzwoiła do rodziny z Key Largo i błagała niemal, by zechcieli oddać

jej kotkę, lub choćby obiecali, że dadzą im małe z jej następnego miotu.

Zdenerwowany pan domu kategorycznie odmówił. Po pierwsze, nie ma mowy, aby oddali zwierzę, które przyjęli pod swój dach. Należy ono do nich i koniec. A po drugie, są odpowiedzialnymi ludźmi i chcąc uchronić kotkę przed niepożądanym macierzyństwem i mnożeniem bezdomnych zwierząt, poddali ją zabiegowi, który uniemożliwia jej na zawsze posiadanie potomstwa.

Ostatnia nadzieja zawiodła. Zawiodły również wszelkie starania, by wyciągnąć Todda z kolejnej głębokiej depresji.

Po zaginięciu kota Lindsey i Naomi Feldman bardzo się zaprzyjaźniły. Pewnego wieczoru, siedząc na plaży, przyglądały się obie, jak Todd bezustannie – nie odzywając się ani słowem i nie podnosząc głowy – zajmuje się przesypywaniem piasku.

Naomi była niską, korpulentną, ale bardzo atrakcyjnie wyglądającą blondynką po czterdziestce.

– Przestań się wreszcie zamartwiać – zwróciła się do Lindsey, celując w nią wskazującym palcem. – Jeśli chcesz, żeby ten chłopiec był szczęśliwy, sama musisz nauczyć się być szczęśliwą. Przed tą całą historią z kotami miałaś zamiar wystawić na sprzedaż swoje obrazy w Key West. O jakiej galerii myślałaś?

– Whistling Lizard – odparła Lindsey. Rozkojarzona, niepewnie pokręciła głową. Właściwie powinna cieszyć się z tego, że ma zawód, który nie przywiązuje człowieka do miejsca. Była plastyczką, która zarabkowała malując ozdobne karty pocztowe na zlecenie różnych firm. Brakowało jej jednak pewności siebie i nie śmiała dotąd wystawiać innych swoich prac w galeriach.

– Zawieź im jakieś swoje obrazy – zachęcała Naomi, serdecznie klepnawszy ją w kolano. – Życie toczy się dalej. Malowałaś ostatnio coś innego niż te pocztówki?

– Nie. Tak mnie absorbowała ta kotka i kocięta... To były jedyne moje modele. A teraz pochowałam te obrazki... Ze względu na Todda. No i... mnie też robiło się smutno, gdy na nie patrzyłam.

– Rozumiem – powiedziała Naomi. – Ale masz jeszcze swoje poprzednie prace. Pejzaże z morzem i kwiatami.

– Tak. Powinnam je zawieźć. Rzeczywiście muszę się włączyć w normalny nurt życia. – Zawstydzona tym, że ciągle jest zaabsorbowana własnymi sprawami, próbowała zmienić temat. – Co się stanie z tą willą? – spytała, wskazując ruchem głowy na pseudowiktoriańską budowlę, położoną bliżej morza i górującą nad znacznie skromniejszą zabudową letniskowych domków. – Kiedy zjawi się nowy

właściciel?

– Lada dzień. Służba się tam właśnie instaluje. Ale to nic pewnego. Każdego dnia słyszy się co innego. Ostatnia wersja jest taka, że ma on się tu wprowadzić tylko na jakiś czas. Na próbę. Jeśli mu się tu nie spodoba, to wystawi willę na sprzedaż. Mało kogo stać na tak kosztowny eksperyment!

Lindsey odetchnęła głęboko morskim powietrzem i poprawiła przepaskę podtrzymującą jej włosy. Miała na sobie skromny niebieski kostium kąpielowy. Naomi, mimo iż znacznie od niej starsza, ubrana była bardziej ekstrawagancko. Jej plażowy przydziewek ukazywał znacznie więcej opalonego ciała, a na piersiach wyhaftowane miała dwie złote rozgwiezdy.

– Ładnie tam musi być w środku – powiedziała, przyglądając się w zadumie willi. – Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby tam pomieszkać. Nawet przez jedną noc.

Lindsey pokiwała głową. Patrzyła' na samotnie bawiącego się Todda. Ceny wynajmu na Florida Keys były bardzo wygórowane. Obie miały szczęście, że udało im się wynająć te ich chatki tak tanio.

Pan Hidalgo – właściciel sześciu domków położonych na tym kawałku plaży – zmęczony był turystami i wolał wynajmować je całorocznym lokatorom. Ludziom jednak wydawały się one z reguły za małe, by mieszkać w nich na stałe; kolejni lokatorzy wprowadzali się i wyprowadzali – i w rezultacie tylko Naomi i Lindsey pozostawały „stałymi” ich mieszkankami.

– Czym się zajmuje ten człowiek? – spytała Lindsey. Próbowała sobie wyobrazić, jak może się czuć ktoś, kto ma taką wspaniałą nadmorską posiadłość. – Chodzi mi o tego nowego właściciela willi.

– Dobrze, że mnie pytasz. Zdołałam się o nim sporo dowiedzieć. To jakiś znany facet z branży muzycznej. Najpierw grał i występował, potem pisał teksty. A teraz zajmuje się czymś, co nazywają „world beat”. Nie bardzo nawet wiem, co to takiego.

– „World beat”? Zdaje mi się, że pomysł polega na tym, by muzycy rockowi wykorzystywali tradycje muzyki ludowej z różnych stron świata. Wyobraź sobie na przykład takie połączenie szkockiego folka z rockiem.

– Rock and roli na kobzie! – Naomi skrzywiła się. – Potrafię się bez tego obyć. W każdym razie facet nazywa się Max Dunne i jest podobno kompletnie zwariowany. Znasz tych współczesnych gwiazdorów. Na występach potrafią podpalać gitary i połykać żywe nietoperze. I wszyscy mają eremy.

Lindsey przestała na chwilę przyglądać się mewom, pokręciła głową i

uśmiechnęła się.

– Masz zapewne na myśli haremy. Eremy to pustelnie. A jego nazwisko nic mi nie mówi. – Sięgnęła po swój granatowo-biały płaszcz kąpielowy i otuliła się nim.

– Muszę zabrać Todda do domu. Robi się chłodno.

Próbowała wstać, ale Naomi schwyciła ją za rękę i zatrzymała na miejscu.

– Lindsey! Pojedź jutro do tej galerii. Zawieź im swoje obrazy. Chętnie zajmę się Toddem. Proszę cię, zrób to dla mnie!

– Ależ Naomi... To miło z twojej strony, ale naprawdę nie mogę... – Lindsey przecząco pokręciła głową. Wieczorny wiatr rozwiewał jej włosy.

– Ale ja cię bardzo proszę – nalegała jej starsza przyjaciółka. – Lubię zajmować się dziećmi. Przynajmniej takimi grzecznymi jak Todd. Nie powinnam wyjść z wprawy. Ze względu na moje wnuki.

W końcu Lindsey się zgodziła. Późnym wieczorem, gdy Todd był już w łóżku, zaczęła przeglądać swoje szkice i obrazy. Skrzywiła się boleśnie, gdy zobaczyła malowane przez siebie koty. Te kilka obrazków odłożyła na bok. Nie potrafiła ich w tym momencie wystawić na sprzedaż. Raz jeszcze złapała się na tym, że się modli, choć teraz wiedziała już, że modli się o coś niemożliwego.

Keys nie jest właściwie przylądkiem, lecz szeregiem maleńkich wysp rozciągających się na południowy zachód od koniuszka półwyspu Floryda. Przylądek uczyniono z nich sztucznie, łącząc je niesamowitym pasmem mostów i autostrad. Najdalej wysunięty jest Key West, który u zarania swej nowożytnej historii zasłynął jako piracki port. Lindsey uwielbiała tę miejscowość. W niczym nie przypominała ona nobliwego kurortu. Hałaśliwe, rozwrzeszczane, bajecznie kolorowe miasteczko zachowało swój tropikalny, trochę awanturniczy charakter. Czuło się, że jest to miejsce wesołe i beztroskie, a jednocześnie niespokojne i nie do końca bezpieczne.

Po długim pobycie w absolutnie spokojnym Vaca Key, Lindsey jeszcze silniej odczuwała ten kontrast; beztroska atmosfera Key West cieszyła ją i fascynowała. Krążyła po sklepikach na Duval Street, szukając jakichś drobnych upominków dla Todda i Naomi. Zafundowała sobie lunch w kawiarence pod gołym niebem.

Z właścicielem galerii rozmawiała rano telefonicznie. Ustalili godzinę spotkania, ale teraz, gdy nadszedł czas, by skontaktować się z nim osobiście, czuła się bardzo onieśmielona. Pracując dla firm pocztówkowych, przyjmowała zlecenia przez telefon, swe prace zaś przesyłała pocztą. Nie wymagało to żadnych osobistych kontaktów i sytuacja, w której musiała się zetknąć twarzą w twarz z

kimś obcym po to, by przekonać go, że ma do sprzedania coś wartościowego, była dla niej obca i nie znana.

Ale zebrała się jakoś na odwagę i z dumnie podniesioną głową wkroczyła do galerii. Miała na sobie swój najbardziej elegancki strój: zielonocytrynowy kostium z lnianej dzianiny i dobrane do niego kolorystycznie sandały na wysokim obcasie. Włosy zaczesła do tyłu i związała biało-zieloną wstążką.

Szczupły subiekt spojrział na nią podejrzliwie. Gdy przedstawiła się, powiedział jej, że właściciela galerii nie ma. Poszedł robić coś na swojej łodzi. Cała jej krucha pewność siebie gdzieś się ulotniła.

– Ale... przecież miał tu na mnie czekać. Jest pierwsza trzydzieści – wyjąkała Lindsey.

– Pan Budd jest wolnym człowiekiem. Nie musi żyć trzymając się rozkładu dnia, tak jak my, zwykli śmiertelnicy – westchnął subiekt. – Jeśli chce się pani z nim zobaczyć, musi pani udać się na przystań.

– Czy... czy on tam mnie oczekuje? Czy po prostu zapomniał? Jak pan myśli? – spytała, czując się nieswojo w roli lekceważonego petenta.

– Powiedział, że mam panią tam skierować. – Subiekt sięgnął po miotłkę z piórek do odkurzania. – Przystań przy Mallory Square. Łódź nazywa się „Pogo”. Chciałbym być na tyle bogaty, aby móc wychodzić, kiedy mi się spodoba. – Prychnął z dezaprobatą i zaczął strzepywać kurz z mewy z brązu.

Lindsey podziękowała mu, ścisnęła pod pachą tekę z obrazami i powędrowała z powrotem ulicą Duval. Rozżarzone słońce w połączeniu ze wzrastającą wilgotnością tropikalnego powietrza Florydy czyniło poruszanie się wczesnym popołudniem czymś bardzo uciążliwym. Przeklinała w duchu Jona Budda za to, że nie czekał na nią w swej uroczej, klimatyzowanej galerii.

Znalazła wreszcie przystań i zaczęła wędrować wzdłuż nie kończącego się szeregu jachtów. Nie mogła znaleźć żadnego „Pogo” i zdała sobie nagle sprawę, że w ogóle nie wie, jakiego rodzaju łodzi ma szukać. Przystanęła i zaczęła się bezradnie rozglądać.

– Zgubiłaś się, sierotko Marysiu? – usłyszała nagle niski, lekko ochrypły głos o ujmującym brzmieniu.

Odwróciła się natychmiast, by zobaczyć, kto do niej mówi.

– Tutaj, tutaj, śliczna! Szukasz kogoś?

Przejęta niepokojem napotkała nagle wzrok nieznajomego. Jego oczy wydały jej się zaskakująco wyraziste – tak szaroniebieskie i naładowane elektrycznością jak burzowa chmura. Było to bardzo męskie, wyzywające spojrzenie, a

jednocześnie jakby trochę prześmiewcze. Poczula się zażenowana, wytracona z równowagi i niemal zatrwożona.

Mężczyzna polegiwał sobie leniwie, rozciągnięty na leżaku stojącym na pokładzie jakiegoś obdrapanego kabinowego jachtu. Łódź była w strasznym stanie, haniebnie wprost zaniedbana.

A on sam również prezentował się niewiele lepiej. Jego kasztanowobrzowe włosy były tak długie, że podwijały mu się na kołnierzu rozchełstanej koszuli roboczej, od której rękawy zostały po prostu oddarte. Leżał rozwalony, z dłońmi podłożonymi pod głowę. Ramiona miał spalone słońcem i mocno umięśnione. Był bosy, a jego stroju dopełniały spłowiałe dżinsowe szorty. Opalone nogi, tak jak i reszta jego ciała, prezentowały się wyjątkowo okazale. Ciemne włosy rozwiewała mu ciepła bryza.

Jego uporczywe, nieruchome spojrzenie wyprowadziło Lindsey z równowagi. Lekceważący błysk źrenic zdawał się mówić, że rejestruje dokładnie każdy szczegół jej wyglądu z wyzywającą bezczelnością. Wyczuła emanującą z niego nieposkromioną zmysłowość i to sprawiło, że odetchnąwszy gwałtownie, powiedziała:

– Przepraszam, nie znam pana.

– Ale ja chciałbym cię poznać – odparł, leniwie się uśmiechając. Jego niebieskoszare oczy zdawały się z niespieszną dokładnością studiować każdy fragment jej ciała. Uśmiechnął się wreszcie całkiem już jednoznacznie, jakby zadowolony z wyniku dokonanych oględzin. – Pytałem cię już, śliczna, czy szukasz tu kogoś?

– Szukam pana Jona Budda. Na „Pogo”. – Lindsey ścisnęła mocniej pod pachą tekę z obrazami.

Odchylił się jeszcze bardziej do tyłu na tym swoim postrzępionym leżaku. Długie, mocne mięśnie ud napięły się pod brązową skórą. Nie potrafiła tego nie zauważyć i poczuła się jeszcze bardziej niepewnie.

– Zacny statek „Pogo”? Stoi na ósmym slipie przy tej samej kei. Przypomnij mi, śliczna, że jest mi winien sześć puszek piwa. Gdybyś wracając je przyniosła, oczywiście postawię ci drinka.

Jeszcze raz obejrzał ją tak samo jak przedtem i uśmiechnął się całkiem już impertynencko.

Lindsey zdążyła odwyknąć od mężczyzn. Szczególnie takich jak ten – wielkich, półnagich i masywnych. Czula niespokojne łomotanie serca i jednocześnie wstydzila się swojej reakcji.

Wzruszyła ramionami, wymamrotała jakieś „dziękuję”, szybko odwróciła się i odeszła.

– Hej! Śliczna! – zawołał za nią. – Może chcesz wyjść za mąż? Właśnie rozglądam się za żoną. Nie zechciałabyś się przymierzyć do tej roli? Choćby na próbę!

Wyprostowała ramiona i starała się go zignorować. Ale oddalając się pośpiesznie, ciągle jeszcze czuła na sobie jego wzrok. Bezczelny i prześmiewczy.

Przyzwoitość nakazywała, aby odetchnąć z ulgą – co uczyniła zresztą – ale, jakby wbrew sobie, poczuła mrowienie w okolicach kręgosłupa. Bezsprzecznie był to typ mężczyzny, który ekscytował seksualnie kobiety – obojętnie, czy im się to podobało, czy nie. A Lindsey to się zupełnie nie podobało. Żeby taki akurat facet!

– pomyślała z niechęcią.

Dzięki Bogu Jon Budd w niczym nie przypominał podejrzanego osobnika, którego miał być rzekomo znajomym. Elegancki i wymuskany, wyglądem przypominał modela reklamującego usztywniacze do kołnierzyków. Przyjął ją w salonie swego nieskazitelnego prezentującego się jachtu. Jego zachowanie, choć nienaganne, miało w sobie coś z gderliwej pedanterii.

Lindsey długo nie mogła się zorientować, czy jej prace mu się podobają. Stwierdził w końcu, że warsztatowo są poprawne i mimo banalności tematów powinny się dobrze sprzedawać. Zgodził się wystawić w galerii kilka akwarel i poprosił o pozostawienie całej teki – aby mógł się spokojnie zastanowić nad ich wyborem. Z radością na to przystała.

Opuściła „Pogo” w optymistycznym, niemal beztróskim nastroju. Całkowicie zdażyła zapomnieć o sąsiedzie Budda z tej samej przystani, wielkim mężczyźnie, który uśmiechał się dwuznacznie i wyglądał jak pirat. Przypomniała sobie o nim dopiero wtedy, gdy przechodziła obok zdezelowanego jachtu. Stwierdziła z ulgą, że jego podejrzanego właściciela nie ma już na pokładzie.

Zatrzymała się na chwilę. Jak można było doprowadzić łódź do takiego stanu! Ten człowiek powinien się tego wstydzić. Jest to świadectwo kryminalnej wprost nieodpowiedzialności.

Na burcie jachtu oblażyły z farby koślawe litery anonsujące jego nazwę: „Wielkie Nadzieje”. Wydało jej się to przesadnie ironiczne jak na dobry żart.

Właśnie miała już odejść, gdy nagle kątem oka zauważyła, że na pokładzie coś się poruszyło. W tym samym momencie usłyszała dźwięk, który wydał jej się dziwnie znajomy. Ciche, jakby nieco gniewne miauknięcie. Stała jak wryta.

Z cienistego zakamarka, spod sterty kapoków wyszedł młody kot. Ziewnął,

przeciagnał się z lubością i pomaszerował wolno przez pokład, szukając jakiejś innej oazy cienia. Kulał lekko. Lindsey wstrzymała oddech.

Koci podrostek miał na pyszczku symetryczne, czarne łatki. Czarna plamka na czubku nosa miała kształt asa pik.

Mimo upału Lindsey poczuła, jak z wrażenia przeszedł ją dreszcz. Stała jak zamieniona w słup soli. Upuściła na ziemię paczki z zakupami i torebkę. Przecież to Bożo! Nie! To niemożliwe!

Rozejrzała się w popłochu po przystani. W zasięgu wzroku nie było nikogo: kto żyw chronił się o tej porze przed upałem. Spojrzała ponownie na kociaka, który usadowił się w cieniu leżaka i lizał sobie przednią łapę.

To nie może być Bożo – przekonywał ją jej racjonalny umysł. To on, kociak Todda – mówił jej jakiś wewnętrzny, nie liczący się z logiką głos.

Jest tylko jeden sposób, aby to sprawdzić – pomyślała. „Wielkie Nadzieje” kołysały się smętnie na cumach i jeśli zrobi to ostrożnie, to dostanie się za chwilę na pokład i obejrzy kota bardziej dokładnie.

Serce biło jej jak oszalałe. Zdjęła sandały, wybrała odpowiedni moment, wspięła się na reling i zeskoczyła na pokład.

– Kici, kici! – wabiła drżącym głosem zwierzątko.

Kot przydreptał do niej ufnie i zaczął się ocierać ojej nogi. Odniosła wrażenie, jakby ją poznał.

Przecież to nie może być Bożo!

I wreszcie uciekła się do tego ostatecznego sposobu. Szybko schwyciła kota i odwróciła go brzuszkiem do góry. Miał na sobie te same czarne szorty z Figowym listkiem.

– Bożo! – wyszeptwała zdławionym głosem i przytuliła go do siebie. – To ty! To naprawdę ty!

Todd oszaleje z radości. Jej modlitwy zostały wysłuchane.

Ale jak on tu mógł trafić – prawie osiemdziesiąt kilometrów od Vaca Key. Przypomniała sobie opowieść Naomi o dwóch ludziach w dżipie, który miał na błotniku naklejkę firmy czarterowej z Key West. Może jednym z nich był mężczyzna, który ją zaczepił? A to właśnie może być ta łódź do wynajęcia. Drań ukradł naszego kota – pomyślała z pasją. Wstrętny złodziej. Omal nie złamał serca memu dziecku.

Ponownie rozejrzała się dookoła. Tak jak przedtem przystań była jak wymarła. Myśli jej galopowały. Kot należy do Todda. Został mu ukradziony. I teraz ona nie ma innego wyjścia, jak także go ukraść.

Czując słabość w nogach, jeszcze raz wspięła się na reling i przyciskając kota do piersi wyskoczyła z jachtu na nadbrzeże. Potknęła się, a kociak zamiauczał rozpaczliwie, prawdopodobnie zbyt mocno przyciśnięty.

Schwyciła buty, pakunki i torebkę. Wydało jej się, że usłyszała za sobą czyjś głos i wpadła w panikę.

Uciekaj! – wydał jej komendę jakiś prymitywny instynkt i posłuchała go bez wahania. Pomknęła przed siebie. Po chwili przystań została już za nią. Pod bosymi stopami czuła rozgrzany chodnik ulicy.

Bez tchu biegła dalej. Kot piszczał i protestował, jakby wszystko to razem wydało mu się niepoważne i poniżające. Z jej ręki wyślizgnął się jeden z butów, ale nie zatrzymała się, by go zabrać. Biegła po prostu nadal. Byle dalej i dalej.

Rozdział 2

Lindsey siedziała na patio i przyglądała się swemu synowi.

– Bożo! – zawołał mały, gdy tylko ujrzał kociaka. Tulił go i w radosnym uniesieniu powtarzał jego imię. Mówił. Lindsey uważała, że to prawdziwy cud.

Jednocześnie to, co zrobiła, wydawało się jej potworne i była tym głęboko wstrząśnięta. Naomi, która siedziała wraz z nią, starała się ją uspokoić namawiając, aby wypić szklaneczkę białego wina. Lindsey odmówiła, a Naomi – również zdenerwowana tą całą historią – sama naląła sobie kapeczkę.

– Nie przejmuj się. Też bym tak postąpiła. Ten człowiek ukradł waszego kota i po prostu należało mu go odebrać – przekonywała ją.

– Może powinnam poczekać i wytłumaczyć, że kot należy do nas. Ale ten człowiek nie wyglądał na takiego, do którego przemawiają racjonalne argumenty. To był taki wielki mężczyzna. – Lindsey starała się opanować dreszcz. – Nie ogolony, z włosami do ramion... Wyglądał zupełnie jak pirat. A jego łódź! To był jeden wstyd i obraza boska. Bałam się, że będzie próbował wyłudzić ode mnie pieniądze albo...

– Jakiś menel! Nie było sensu wdawać się w żadne układy ze złodziejem.

Lindsey skinęła głową. Bożo wyglądał co prawda na zdrowego, ale wyraźnie utykał na przednią łapkę. Następny dowód na to, do czego tamten człowiek mógł być zdolny.

– No bo cóż innego mogłam jeszcze zrobić? – Lindsey ciągle się tłumaczyła. – Zadzwoić na policję?

Wyśmialiby mnie. Wytoczyć sprawę sądową? Żadnych dowodów, żadnych świadków. A stawką było szczęście mojego dziecka.

– Cudownie, że on się znowu śmieje. Cudownie!

– A poza tym wytoczenie pozwu zrujnowałoby mnie finansowo. I tak życie tutaj jest znacznie droższe, niż myślałam.

– Z tym może być gorzej, niż przypuszczasz – mruknęła Naomi. – Doszły do mnie takie niedobre wieści...

Lindsey spojrzała na nią pytająco. Do tego momentu całkowicie absorbował ją jej osobisty problem: poczucie winy i niepewność, czy postąpiła właściwie. Przez tę dymną zasłonę po raz pierwszy przebiły się obiektywne realia życiowe.

– Co się takiego stało?

– Chodzi o tę muzyczną osobistość. O Maxa Dunne'a. Ale poczekaj.

Zdenerwowałam się. Muszę się najpierw napić. – Nalała sobie następną szklaneczkę.

– Słyszałam, że on chce kupić te domki. Po to, aby je wyburzyć. Chce mieć cały ten zakątek dla siebie.

– Nasze domki? – spytała nie dowierającym tonem Lindsey. Wszelkie myśli na temat kota nagle wywietrzały jej z głowy. – Chce je kupić i zburzyć?

– Dokładnie tak. Chce posiadać własne nadmorskie królestwo. Może chce zainstalować tu swój harem? Reputację ma taką, że...

– Ale mamy przecież umowę z panem Hidalgo – protestowała Lindsey. – Nie może nas tak po prostu wyrzucić.

– Oczywiście, że może. Miałam już raz z tym do czynienia w Chicago, przy okazji sprzedaży wynajmowanego przeze mnie mieszkania. Przyszedł nowy właściciel i w jednej chwili – pstryknęła palcami – podniósł czynsz, zmienił warunki najmu i nagle okazało się, że trzeba płacić wyższe kaucje, nie ma bezpłatnego parkingu, nie wolno mieć zwierząt domowych, dzieci...

– Zwierząt domowych? Dzieci? – Lindsey wbiła palce w oparcie fotela. Spojrzały obie na Todda. Bożo ścigał kulejącego pelikana wokół basenu, a za nimi biegł roześmiany chłopiec. Wreszcie dogonił kota i znowu przytulił go do siebie.

– O Boże! – westchnęła Lindsey. – Przecież nie mogę mu już nigdy odebrać tego zwierzaka. A drugiego takiego miejsca nigdzie nie znajdziemy.

– Nie martw się – zaczęła ją uspokajać Naomi. – Może pan Hidalgo mu tego nie sprzeda. Nic jeszcze nie jest pewne. Nie powinnam była w ogóle o tym wspominać.

– Nie! Dobrze, że mi powiedziałaś. Nie chciałabym, żeby miało mnie to całkowicie zaskoczyć.

Patrzyła na Todda, który siedział na skraju basenu ze swym ulubieńcem na kolanach. Chłopiec i kot przyglądali się drozdowi, który ćwierkał gderliwie wśród winorośli.

Taki jest szczęśliwy – pomyślała w przypiływie miłości. – Znowu wygląda tak, jak wtedy, zanim to wszystko się zdarzyło.

Ale wiedziała również, że odnalezienie Boża poważnie skomplikuje im życie. Nie może już teraz dotrzymać obietnicy danej panu Hidalgo. Przecież nie zostawi kota na dworze. Co by się stało, gdyby znowu ktoś go ukradł?

Ten Hidalgo zapowiedział wyraźnie, że wyrzuci ich, jeśli przyłapie kota w domu. A nowy właściciel może być jeszcze gorszy. Co będzie, jeśli nie pozwoli jej tu mieszkać z dzieckiem albo po prostu wyeksmituje ich na bruk?

Przyszłość ich obojga nagle zaczęła być niepewna. Sama zaś Lindsey pewna

była jedynie tego, że ze względu na Todda nie może ryzykować ponownej utraty kota. Nawet gdyby się mieli z tego powodu znaleźć we trójkę bezdomni na ulicy.

Minęły dwa dni. Ranek był szary i deszczowy. Lindsey – w dobrym, pogodnym nastroju – siedziała przy sztalugach i malowała akwarelę z nowym portretem Boża. Jej model spał na kocu w małym pokoiku, a obok niego siedział na podłodze Todd, także próbując uwiecznić go w swym szkicowniku. Kot, nieświadomy tego, że jest obiektem tak intensywnych zainteresowań artystycznych, przeciągał się przez sen.

Prezentował się teraz wspaniale. Miał nową czerwoną obrózkę z przypiętym do niej znaczkiem identyfikacyjnym w futerale o kształcie serduszka. Lindsey zamówiła wizytę u weterynarza, który miał go przebadać i zaszczepić. Najwyraźniej postanowiła, że ma to być najbardziej zadbane kot na Florida Keys.

Ciągle jeszcze miała wyrzuty sumienia, że porwała go z pokładu „Wielkich Nadziei”. Po raz tysięczny tłumaczyła sobie, że zrobiła dobrze. Ten pirat ukradł im przecież kota i jeszcze haniebnie go zaniedbał. Naprawdę – przekonywała samą siebie – jej uczynek był szaleńczy i niezgodny z powszechnie przyjętymi normami, ale moralnie słuszny.

Przeraziło ją nagłe pukanie do drzwi. Właściwie było to nie pukanie, lecz łomot. Todd podniósł głowę. Bożo obudził się, ziewnął i zwięził ślepią, jakby zirytowany, że ktoś mu przeszkadza.

Kolejna seria walenia w drzwi zmusiła Lindsey do odłożenia pędzla. Któż to może być w taką ulewę?

Gdy położyła dłoń na klamce, przeraziła się nagle, że może to być pan Hidalgo. Co będzie, jeśli zobaczy w domu kota?

Ale otworzywszy drzwi, nie ujrzała na progu siwego i małego właściciela domu. Przybysz był wielkim mężczyzną. Jego potężne ramiona wydawały się jeszcze bardziej masywne pod nie dopiętym nieprzemakalnym płaszczem. Na kołnierzyku zawijały mu się kasztanowe pasma włosów, z których kapąły kropelki wody.

Przez moment zdążyła pomyśleć jedynie, że nieznajomy prezentuje wyjątkowo atrakcyjny, surowy, męski typ urody. Miał wysoko osadzone kości policzkowe, kwadratową, znamionującą upór szczękę i jakiś dziwny, charakterystyczny wykrój lekko skrzywionych ust.

Ale największe wrażenie robiły jego oczy. Były przerażająco chmurne, niebieskoszare i tak wyraziste, że...

W tym momencie go poznała. Był to prawdziwy szok. Koszmar się zmaterializował. To był ten sam okropny typ z „Wielkich Nadziei”. Wyśledził ją, odnalazł i przyszedł zabrać jej kota.

Nie do wiary! Jeszcze raz mu się przyjrzała. Ogolony i przyzwoicie ubrany, w pierwszej chwili był nie do poznania. Ale to przecież ten sam człowiek. Trudno zapomnieć te diabelskie oczy. Choć tym razem były one gniewne, a nie roześmiane.

Zacisnęła dłoń na klamce.

– Ach! To ty! – To ostatnie słowo wysyczała oskarżycielskim tonem. – Czego tu chcesz? Precz stąd, bo zawezwę policję!

Jego ciemne brwi zmarszczyły się, lecz nadal wpatrywał się w nią nieruchomym, niepokojącym spojrzeniem.

Przeraziła się. Nie tyle o siebie, co o Todda. Przecież nie mogę pozwolić, aby przestraszył mi dziecko – pomyślała.

Przestąpiła próg i zamknęła za sobą drzwi. Okap dachu ledwie zasłaniał ich przed strugami deszczu. Lindsey była boso, włosy upięte miała z tyłu starą chustką, a policzek poplamiony farbą. Naprawdę nie wyglądała na kobietę sukcesu – raczej na oberwańca – ale jej opłakany wygląd bynajmniej jej nie onieśmielał. Gotowa była bronić swego dziecka. Jak lwica.

– Precz stąd! – powtórzyła. – Nie chcę angażować w to policji. Lepiej, abym nie była do tego zmuszona.

– Dla podkreślenia swego zdeterminowania dźgnęła go palcem w pierś.

– Co? – oburzył się i popatrzył na nią ze złością.

Staną na palcach i ponownie wbiła w niego wskazujący palec. Tors miał niewiarygodnie twardy. Jakby cały był z żelaza.

– Wynoś się i już! – Nadal udawała odważną. – Jeśli usłuchasz, nie zrobię z tego użytku. Znam swoje prawa. Mój ojciec jest adwokatem.

To akurat nie do końca było kłamstwem. Jej ojciec był adwokatem. Ale przed laty. I nie należał do wojowniczych przedstawicieli tego zawodu.

Źrenice jej prześladowcy zwięziły się. Nachmurzył się jeszcze bardziej.

– Grozisz mi? – warknął.

– Owszem. Ale jeśli odejdziesz natychmiast, nic ci się nie stanie. A więc ruszaj stąd!

– Nie tak zaraz – odparł lodowatym głosem. – Muszę ci oddać pewien drobiazg.

Stał z ręką w kieszeni płaszcza i teraz nagle ją wyjął. Ujrzała, że trzyma w ręku jej biało-zielony sandał. W jego dłoni sprawiał wrażenie bardzo maleńkiego.

– Och! – Lindsey wzdrygnęła się.

– No właśnie – powiedział szyderczo. – Och!

Zanim zdążyła zaprotestować, pochwycił jej prawą dłoń i wcisnął w nią but. Poczowała dotyk jego palców i to spotęgowało jej przerażenie.

– I ty też masz coś, co należy do mnie. Tego kota.

– Gdzieś głęboko w jego oczach dojrzała błysk gniewu.

– Dawaj go natychmiast, bo inaczej to ja zawezwę policję.

Zdążyła zapomnieć, jaki głęboki i niski był jego głos. Znowu wywołał w niej dreszcz. W całym ciele czuła zimno. Z wyjątkiem ręki, której dotąd nie uwolnił z uścisku, a która wydawała jej się jakoś dziwnie gorąca.

– Ten kot należy do mnie i do mojego syna. – Szarpnęła się i oswobodziła dłoń.

– Zniknął sześć tygodni temu. Ktoś go porwał. I nie dostaniesz go ponownie w swoje ręce, ty... ty złodzieju!

Potrząsnął głową i z włosów posypały mu się kryształowe kropelki deszczu.

– Kot jest mój – warknął. – Widziałem go tutaj. A ciebie widziano, jak go kradłaś. Mam na to świadka. To on właśnie znalazł twój porzucony but. Gdy opowiedział mi, jak wyglądasz, przypomniałem sobie ciebie. Jon Budd dał mi twój adres. Nie mam pojęcia, po co to zrobiłaś, ale...

– Chwileczkę – przerwała mu Lindsey. – To nasz kot został ukradziony. Ulubiony kot małego dziecka. To było podłe, paskudne świństwo.

– Nie mam w zwyczaju kraść – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Kota znalazłem miesiąc temu w Key West. Umierał z głodu. Uratowałem mu życie.

– A tam! – zachnęła się Lindsey. – Bzdurna historyjka. Czy ty wiesz, ile moje dziecko przez ciebie przecierpiało? Co myśmy oboje przeżyli?

Oparł się dłonią o ścianę domu i pochylił się na tyle, że jego połyskujące gniewem oczy znalazły się na wysokości jej twarzy.

– Czy nie słyszałaś, co mówiłem? Znalazłem tego kota osiemdziesiąt kilometrów stąd. W strasznym stanie. Wydałem kupę forsy, żeby go doprowadzić do porządku. Jest mój i mam w niego zainwestowane pieniądze.

– Aha! – rzuciła szyderczo Lindsey. – Nareszcie wyszło szydło z worka. Potrzebujesz pieniędzy? Mam ci zwrócić koszty leczenia? Proszę, pokaż mi rachunki od weterynarza.

– Nie chodzę po świecie z kieszeniami wypchanymi starymi rachunkami. – Wargi wykrzywił mu zły, szyderczy grymas. – Problem polega na tym, droga damo, że prawem kaduka trzymasz u siebie kota, który jest mój. A w dodatku przedstawia dla mnie materialną wartość znacznie wyższą niż te zasmarkane

rachunki.

– Rozumiem. – Lindsey uśmiechnęła się gorzko. – Podbijamy cenę. Tak? Ale nic z tego. Ten kot urodził się niemal na naszym podwórku i nie mamy zamiaru go oddawać. Bez względu na to, co byś...

– Droga lady! Odrobinę samokontroli! Przecież ty w ogóle nie słuchasz, co się do ciebie mówi. Uspokój się. I może weszlibyśmy do środka. Chyba że lubisz stać na deszczu i kłócić się jak pomyłona przekupka.

Lindsey spojrzała na swe bose stopy. Stała po kostki w kałuży, wiatr zacinał deszczem, zalewając coraz bardziej wąski ganeczek. Była tak zdenerwowana, że nie zauważyła nawet, jak bardzo zdążyła przemoknąć. Spostrzegła skonsternowana, że biała koszulka przykleiła się do jej piersi, ukazując sztywne z zimna sutki. Podążył za jej wzrokiem i uśmiechnął się. Miał ślicznie wykrojone usta, ale jego uśmiech wydał jej się tak samo lubieżny jak wtedy, na przystani. Nie znosiła tego.

– Wydaje mi się – powiedział, nie odrywając wzroku od jej piersi – że moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia.

Zatrwożona Lindsey skrzyżowała ręce, jak przyłapana w kąpielu. Czy ten złoczyńca ośmiela się robić jej jakieś dwuznaczne propozycje?

– Jeśli pozwolisz sobie na jeszcze jedną, choćby odrobinę nieprzyzwoitą sugestię – ostrzegła, piorunując go wzrokiem – to... to złapię tę doniczkę i roztrzaskam ci czaszkę.

Spojrzał na stojącą opodal drzwi doniczkę z petuniami. A potem jego oczy, pogardliwe, ale jednocześnie jakby dziwnie stęsknione, znowu zaczęły się w nią wpatrywać. Wokół ust pojawiły mu się bruzdy, nadające jego twarzy ponury wyraz.

– Kompletny brak samokontroli – burknął szorstko.

– Na próżno tracisz czas. Udało ci się mnie odnaleźć, ale nie uda ci się mnie zastraszyć. Idź w swoją stronę i niechaj twój cień nie padnie więcej na mój próg.

– Melodramatyczna szmira – sarknął. Wytarł dłonią mokry od deszczu policzek. – „Niechaj twój cień nie padnie na mój próg” – przedrzeźniał ją bezlitośnie. – Brak samokontroli, a w dodatku kompletny brak gustu. – Zrobił krótką pauzę. – A także jest to nieścisle. To nie jest twój próg, tylko mój. Albo przynajmniej wkrótce nim się stanie.

Lindsey była zbyt zdenerwowana, by zwrócić uwagę na to, co przed chwilą usłyszała.

– Może ci się zdawać, że mnie zastraszysz, tylko dlatego, że jestem kobietą. Stare, dobre czasy skończyły się bezpowrotnie, mój drogi panie. Witam

szanownego pana we współczesności! Wiem, jakie są moje prawa i potrafię o nie walczyć nie gorzej od niejednego mężczyzny. A nawet znacznie lepiej. Szczególnie gdy chodzi o moje dzie...

– Kompletnie niepoczytalna – mruknął, kręcąc głową. – Zechciej się uspokoić i wejdźmy wreszcie do środka. Przecież nie można rozmawiać, stojąc po pas w wodzie.

– Nie! – wybuchnęła. – Nie mam zamiaru cię dłużej słuchać, nie wpuszczę cię do domu i wybij sobie z głowy, że kiedykolwiek oddam ci...

– Dobra, dobra – nie pozwolił jej skończyć. Jego przystojne rysy zniekształcił gniewny grymas. – Jeśli nie chcesz teraz rozmawiać, to będziesz musiała sama przyjść do mnie. Sprawa jest prosta: kot jest mój i chcę go mieć z powrotem. Jeśli chcesz, mogę ci za niego zapłacić. Ale porozmawiamy sobie o tym rozsądnie, kiedy już przestaniesz histeryzować.

– Przyjść do ciebie? – powtórzyła, nie wierząc własnym uszom. – A to niby czemu?

– Z dwóch powodów – wycedził, ponownie zniżając twarz do poziomu jej oczu. – Bo i kot, i próg są moje. Lada dzień będę miał w kieszeni notarialny akt nabycia tej nieruchomości, dzidziu!

– Tylko nie „dzidziu”! – krzyknęła i nagle odebrało jej mowę. Zbladła. Wpatrywała się w jego połyskujące oczy i nerwowo przełykała ślinę. – Co? – wyjąkała.

– Jestem nowym właścicielem tych kilku szalasów, dzidziu! – powtórzył z naciskiem i wskazał na okoliczne domki. – A muszę przyznać, że jako lokatorka nie zrobiłaś na mnie najlepszego wrażenia. Następnym razem radzę się lepiej postarać.

– Ale przecież... – głos jej się załamał i nie była w stanie już niczego więcej powiedzieć.

– Czas to pieniądz. Nie marnuję go na awantury – mruknął. – Uspokój się. Znajdę dla ciebie chwilę jutro wieczorem. Oczekuję cię na przystani w Key West. Pomiędzy siódmą a dziewiątą. Jeśli się nie zjawisz, to powrócę tutaj w asyście policji. A potem to już nasi adwokaci będą ze sobą rozmawiali. Ja mam ich szesnastu. Czy siedemnastu? Już zapomniałem. – Zamilkł na chwilę i obrzucił ją zimnym, jadowitym spojrzeniem.

– A więc jeśli masz odrobinę rozumu, weź ze sobą kota. Mówię serio.

– A więc to tak! – wymamrotała oszołomiona. – To pan jest tym człowiekiem. Pan jest Maxem Dunne'em.

Skłonił lekko głowę i wyzywająco spojrzął jej w oczy.

– We własnej osobie. Czasem nazywają mnie też Szalony Max. Wolałbym nie być zmuszony do tego, by pokazać ci, skąd się wziął ten przydomek.

Szalony Max? Serce jej zamarło. On chyba naprawdę nie blefuje. Miał w sobie coś z urodzonego buntownika – człowieka, który kieruje się w życiu własnymi regułami i potrafi ze śmiechem na ustach deptać reguły innych.

– A więc do zobaczenia na łodzi. O siódmej – rzucił półgębkiem. – I przynieś kota. Chyba że wolisz zostać bezdomna i mieć awanturę sądową na dwadzieścia cztery fajery. Zrobisz, jak uważasz.

Odwrócił się nagle na pięcie i brnąc w strugach ulewy zaczął się szybko oddalać. Lindsey poczuła nowy przyływ złości. Silniejszy niż bezradność i przerażenie. Zacisnęła pięści.

– Nigdy nie odbierzesz mojemu synowi tego kota!

– krzyknęła za znikającą w deszczu szarą sylwetką mężczyzny. – Nigdy!

Zakłopotana i niepewna, rozglądała się po nadbrzeżu. „Wielkie Nadzieje” gdzieś zniknęły. Była pewna, że odnalazła właściwe miejsce, ale smutnego, starego wraku nigdzie nie było widać.

Ścisnęła mocniej torebkę. To była jedyna rzecz, którą miała ze sobą. Kot pozostał oczywiście w domu.

Przegadała ze swą przyjaciółką niemal całą noc, starając się wymyślić jakąś rozsądną strategię działania, która pozwoliłaby zachować kota, a także i dom. W końcu, po którejś tam filiżance kawy, Naomi poradziła jej, że nie widzi innego wyjścia, jak uczciwe postawienie sprawy.

– Nie pozostaje ci nic innego, jak powiedzieć mu prawdę. Zrób to, oczywiście z godnością, a potem zdej się na jego wielkoduszność.

Lindsey z ciężkim sercem musiała jej przyznać rację.

A teraz stała zdenerwowana na tej przystani, starając się wykrzesać z siebie resztkę nadziei, że Max Dunne zechce ją potraktować jak uczciwą, zrównoważoną, szacowną osobę. Trochę niedobrze się stało, że dźgała go wczoraj palcem w pierś, wyzywała od złodziei i groziła, że rozbije mu głowę doniczką.

No i co z tego – pomyślała. – Nikt nie jest doskonały.

Ubrała się na to spotkanie tak uroczyście, jakby miała odegrać rolę rytualnej ofiary. Nadzwyczaj dyskretny makijaż, włosy upięte skromniutko, równie skromna szara sukienka, lniany żakiet przyozdobiony jedynie sznureczkiem pereł i czerwoną aplikacją na wyłogach. No i oczywiście kapelusz.

Na włożenie tego ostatniego szczególnie nastawała Naomi.

– Musisz wyglądać jak prawdziwa dama – oświadczyła stanowczo. – Miła, przyzwoita, młoda matka. Strój musi przekazywać jednoznaczny komunikat: „Jestem taka, jak się ubieram: elegancka, powściągliwa. Proszę mnie nie dotykać”.

Na slipie, na którym stał poprzednio obdrapany wrak, znajdował się teraz wypielegnowany, lśniący stateczek o nazwie „Korsarz”. Był nieduży i prezentował się bardzo sympatycznie, jak na jacht – niemal skromnie.

Rozglądała się przez chwilę dookoła, a gdy odwróciła się ponownie, spostrzegła, że nad fordekiem „Korsarza” góruje sylwetka masywnego, wysokiego człowieka.

Był to Max Dunne. Stał w nonszalanckiej pozie i przyglądał się jej. Ręce miał skrzyżowane na piersiach, ciemne włosy rozwiewała mu wieczorna bryza. Znowu poczuła, jak jego wzrok wędruje po jej postaci. Od głowy do stóp i od stóp do głowy. Nie uśmiechał się tym razem. Wyraz ust miał zacięty.

– Gdzie kot? – spytał bez żadnych wstępów, świdrując ją oczami.

Tam, gdzie jest jego miejsce, czyli w domu – chciała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Z trudnością przełknęła ślinę.

– Nie przyniosłam go. – Uniosła ramiona, przybierając sztywną pozę. – Przyszłam natomiast wytłumaczyć, dlaczego jest to niemożliwe.

Nie odpowiedział ani słowem. Patrzył na nią, nadal nie mrugnawszy nawet okiem.

– Chodzi o to... – wykonała jakiś bezradny gest. – Czy mogę wejść na pokład? Zaraz wszystko wytłumaczę i wtedy na pewno mnie pan zrozumie...

– Płonne nadzieje – burknął z kamienną twarzą. Ale po chwili skinieniem głowy zaprosił ją na pokład.

Ostrożnie, stąpając jak po rozżarzonych węglach, Lindsey próbowała wejść na jacht. Zachowywała pozory spokoju, ale w duchu przeklinała wysokie obcasy i krótką sukienkę, którą swawolny wiatr uniósł na tyle, że Max Dunne mógł obejrzeć jej nogi. Czego nie omieszkał zrobić, bez żenady posługując się tym swoim taksującym wzrokiem konesera.

Obciągnęła zdradziecką sukienkę najniżej jak mogła, ale wytrąciło ją to całkowicie z równowagi i gdy próbowała się uśmiechnąć, zupełnie jej to nie wyszło.

– Więc, oto jestem – powiedziała, lecz jej samej wydało się to idiotyczne.

– Zaiste – odparł bez entuzjazmu. – Czy to aby kompletny strój? A gdzie korona? Gdzie berło?

W domu. Z kotem. Ty bezczelny błaznie – miała zamiar się odciąć, ale opanowała się ponownie, zachowując powściągliwe milczenie.

Pomyślała z niechęcią, że on sam ubrał się na tę okazję zupełnie niestosownie. Miał na sobie postrzępione szorty, tak spłowiałe, że aż niemal białe, a do tego jakąś okropną hawajską koszulę z wyszywanymi papugami w jaskrawych kolorach.

I nawet nie zadał sobie fatygi, aby zapiąć to okropieństwo. I był boso. Nie czuła się pewnie, zmuszona do oglądania jego nagiego torsu. A także ekspozycja jego długich nóg była zbyt ostentacyjna, by pozwolić jej spokojnie myśleć o tym, po co tu przyszła.

Słońce wyszło właśnie w tym momencie zza chmury i zanim schowało się za następną, jego rozproszone światło sprawiło, że sylwetka mężczyzny niemal przemieniła się w posąg z polerowanego brązu. Kontury twarzy przypominały mroczną płaskorzeźbę, a potężna bryła ciała świeciła na obrzeżach złotym, słonecznym blaskiem.

Lindsey wstrzymała oddech. Miała oko artysty i nagle zdała sobie sprawę, że Max Dunne jest nie tylko przystojny, lecz piękny – w klasycznym sensie tego słowa.

Stropiona odwróciła wzrok. To był jej wróg. Złapała się na tym, że podziwiała go, jakby był grecką rzeźbą. Zawstydziło ją to i wydało się czymś niewłaściwym i niebezpiecznym.

– Mój Boże! Co za pedantyczna elegancja – mruknął pod nosem. – Gdzie się podziały te bose nogi i plama farby na brodzie? Znacznie bardziej mi się to podobało.

Niespokojnie obracała na przegubie łańcuszek bransoletki.

– Byłabym szalenie zobowiązana, gdyby zechciał pan mnie wysłuchać, panie Dunne – zaczęła grzecznym, oficjalnym tonem. – Przemyślałam to wszystko i zrozumiałam, że mógł pan w istocie wyciągnąć z tego opaczne wnioski. Również i ja zapewne nie do końca miałam rację. Co do oceny pańskiej osoby, oczywiście. Chciałabym to jakoś naprawić i załatwić wszystko, jak należy...

– Aby załatwić wszystko jak należy – warknął – trzeba było przyjść z kotem pod pachą, a nie z torebką.

Znowu zaczęła obracać bransoletkę. Musi być nieustępliwa. Ale jednocześnie spokojna, opanowana i grzeczna.

– Jak powiedziałam, przybyłam tu po to, aby panu wszystko wytłumaczyć. Gdy opowiem panu o moim synu, wszystko dla pana stanie się jasne. Czy możemy porozmawiać?

Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

– Chodźmy pod pokład. Nie jestem pewien, czy chciałbym, aby oglądano mnie w towarzystwie kogoś, kto zbyt przypomina damę. Mogłoby mi to zepsuć reputację.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłam. Szukałam tamtej poprzedniej łodzi. Nie spodziewałam się, że będzie pan na tym jachcie. Jest naprawdę uroczy.

– Dama nie powinna zniżać się do pochlebstw. Łajba jak łajba. Potrzebna jak gwóźdź w... – Zreflektował się w ostatniej chwili i skinieniem głowy wskazał jej zejściówkę. – Dobra, królewno. Schodzimy na dół. Chyba, że się boisz...

– A czemuż miałabym się bać? – spytała, unosząc do góry podbródek.

Znowu patrzył na nią jak szuler, oglądający trzymanego w ręku pokera. Jego wzrok przerażał ją, a jednocześnie prowokował. Powoli się uśmiechnął.

– Nie podoba mi się twój strój. Ciągle staram się sobie wyobrazić, jak byś wyglądała bez niego.

Lindsey zagryzła wargę. On próbuje mnie wyprowadzić z równowagi – pomyślała. I nadal będzie to robił na wszelkie sposoby. Postanowiła być nadal spokojna i opanowana.

– Nie boisz się? – Uniósł brew, a jego uśmiezek stał się jeszcze bardziej szatański. – To świetnie. A więc „wpadnij do mego mieszkanka”, jak to powiedział pewien pajak do muchy.

Poszedł pierwszy, a Lindsey ruszyła w ślad za nim jak automat. Czuła, że za chwilę zaczną jej drżeć nogi w kolanach. To dla Todda – powtarzała sobie w duchu. – Muszę to zrobić dla swego dziecka.

Z podniesionym czołem schodziła w dół do pajęczej kryjówki.

Rozdział 3

Max musiał przyznać ze złością, że – jak mawiają żeglarze – podobał mu się krój jej kliwra.

Wyglądała na taką zimną, wymuskaną i przyzwoitą, że nie potrafił się powstrzymać od wyobrażania sobie, jaka by była, gdyby scałowac z niej całą tę przyzwoitość i znaleźć ją gorącą i rozebraną.

W perłach i w kapeluszu przypominała członkinię rodziny królewskiej otwierającą wystawę kwiatową w Snobogródku.

Pamiętał ją bosą w dżinsach, z rozpuszczonymi włosami i w przemoczonej koszulce przyklejonej do cudownych piersi. Kontrast pomiędzy tym, jak wyglądała wczoraj, a jej obecnym wyglądem rozbawił go.

Nie miał, niestety, w tym momencie ani powodu, ani ochoty, do radości. Od tygodnia był w parszywym nastroju i zamierzał nadal w nim pozostać. Sępy i sztormowe chmury wydawały mu się w tym momencie stosowniejszym towarzystwem niż młode, przyzwoite mamusie.

Ta kobieta – tłumaczył sobie ze złością – żadnych problemów ci nie rozwiąże. Raczej je stwarza. Albo odbierzesz jej tego cholernego kota, albo stracisz pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

A poza tym, musi przecież zbajerować jakoś tego idiotę Fergususa Habiba, niezależnego rekina płytowego, bo inaczej następne wielkie pieniądze przejdą mu koło nosa. A łatwe to nie będzie, odkąd okazało się, że ten Habib chyba naprawdę ma wariackie papiery.

Zjawił się w Stanach, gdzie szukał potencjalnych dystrybutorów na rynku płytowym. Początkowo niemal zawarł kontrakt z Maxem, gdyż jasne było, że jest on najlepszym partnerem do popularyzacji tego rodzaju muzyki, jaka interesowała Habiba.

Ale astrolog tego pomyleńca, gdzieś w dalekiej Irlandii, postawił mu aktualny horoskop i wyczytał – diabli wiedzą, z gwiazd czy z fusów – co następuje: „Wystrzegaj się wszelkich interesów z partnerami, którzy są samotni. Szczególnie, jeśli mają opinię kobieciarzy”. Taki właśnie teleks przyszedł zza oceanu, a zawarty w nim opis pasował, niestety, do Maxa jak ulał.

I wówczas Max uciekł się do śmiałego kłamstwa. Powiedział mianowicie Habibowi, że właśnie lada chwila ma się ożenić. Perspektywa utraty dużych pieniędzy z powodu herbacianych fusów – czy gwiazd – zupełnie mu nie

odpowiadała. Habib może sobie być wariatem, ale jeszcze zobaczymy: trafił swój na swego.

Max zamierzał rozwiązać tę szaradę korzystając z pomocy pewnej aktorki. Kobitka wyglądała przyzwoicie: była wysoką, ładną blondynką i prezentowała się pięknie w kostiumie bikini. A w dodatku nie przepadała za mężczyznami, co było akurat Maxowi na rękę. Nie chciał się, broń Boże, angażować. Pragnął jedynie się ożenić.

W końcu, po długim wahaniu, Habib zgodził się ponownie przyjechać i renegocjować kontrakt. Od tej wizyty – no i oczywiście od „świeżo zaślubionej statystki” – wszystko w tym momencie zależało. A było o co walczyć, gdyż Habib miał w swojej stajni wspaniałych artystów studyjnych, a Max aż się palił do tego, żeby z nimi popracować.

I nagle wszystko się zawaliło. Aktorka zachorowała na odrę. W jej zastępstwie nikogo nie udało się znaleźć. Oczywiście kandydatek było wiele, ale Max nie zaaprobował żadnej z nich. Albo były kompletnie walnięte, albo takie, że gdy patrzyło im się w oczy, to widać było w nich wyłącznie miraż stert zielonych banknotów.

A potem ukradziony został ten cholerny kot. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów poszło jak psu w... Max poczuł, że wisi nad nim jakaś klątwa.

To pasmo niepowodzeń wprawiło go w paskudny nastrój. Był przyzwyczajony do sukcesów, a nie do porażek, do tego, by śmiać się z przeciwności losu, a nie stawać się ich ofiarą. A teraz Lindsey McCoy będzie musiała zapłacić za to wszystko. Tym bardziej, że sama się do tego przyczyniła.

– Siadaj – burknął, wskazując miejsce w rzędzie wyściełanych siedzeń okalających stół z teakowego drewna. – Możemy sobie chyba mówić na ty. Wczoraj trudno ci to nie przychodziło. – Niskie wieczorne słońce świeciło przez iluminatory jak smugi reflektorów. Światło i cień układały się w mozaikę na politurowanych ścianach messy.

Lindsey usiadła sztywno, trzymając kurczowo w dłoniach torebkę, którą położyła przed sobą na stole. Przyćmione światło zmusiło ją do tego, by starać się patrzeć ponad oprawką przeciwsłonecznych okularów.

Jachtowy salonik był przytulny, pięknie wyłożony drewnianą boazerią. Na półce stał odtwarzacz kompaktowy, poniewierala się masa płyt i książek. Zmięte prześcieradło niedokładnie nakrywało wąski tapczan wbudowany w ścianę kabiny. Lindsey zastanawiała się, czy Max Dunne spał na nim i – ku własnemu zdumieniu – poczuła, że myśl o tym wywołuje w niej jakieś dziwne poruszenie.

Max poczłapał boso do lodówki w kambuzie, otworzył ją i z nachmurzoną miną badał jej zawartość.

– Chcesz piwa?

– Nie, dziękuję.

– Nie pijesz? Czy ze mną nie masz ochoty się napić?

– Bardzo dziękuję, ale w ogóle nie piję alkoholu.

Wyjął butelkę i otworzył ją o rant blatu kuchennego.

– Z powodów religijnych czy osobistych?

– Z powodu obciążeń dziedzicznych – odpowiedziała bez emocji. – W mojej rodzinie było zbyt wielu alkoholików. Nie chciałabym pomnażać ich liczby.

– Bardzo szlachetne zasady jak na kogoś, kto kradnie koty.

– Nie ukradłam tego kota. – Zdjęła okulary i odważnie spojrzała mu prosto w oczy. – Należał do mojego syna. Zabrałam go po prostu z powrotem.

– Ciekawe, czy w sądzie mogłabyś to udowodnić. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Myślę, że tak.

Nieustępliwie wpatrywali się w siebie i Lindsey miała wrażenie, jakby ich obopólny upór sprawiał, że wnętrze salonu naładowane było elektrycznością.

– No to spróbuj – odezwał się wreszcie. – Strzelaj od razu z najcięższego argumentu.

– Czy nie zechciałbyś usiąść? Czuję się niepewnie, gdy sterczysz tak nade mną. Poza tym zasłaniasz mi światło.

– Przepraszam – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Nie zauważyłem, że sterczę. Mów, co masz do powiedzenia.

Do licha! Trzeba mu było pozwolić stać – pomyślała. Sądziła, że zajmie miejsce naprzeciw, a on wślizgnął się za stół i usiadł na tyle blisko niej, że poczuła płynące od jego ciała ciepło. Tak, jakby przez cały dzień magazynował w sobie energię słoneczną. Ich kolana zetknęły się ze sobą. Ten kontakt wywołał w niej zmieszanie. Odrobinę się odsunęła. Wyjęła kopertę z fotografiami i położyła mu ją przed nosem.

– Proszę! Oto są niezbite dowody! – Drgnęła, gdy sięgając po zdjęcia musnął palcami jej dłoń. Wściekła była na siebie, że tak na niego reaguje. Najmniejsze dotknięcie odczuwała niemal jak wstrząs elektryczny.

– Niezbite dowody! – parsknął szyderczo. Wyjął jednak z koperty zdjęcia i zaczął je przeglądać. Lindsey wstrzymała oddech, mając nadzieję, że zobaczy na jego ponurym obliczu jakiś przebłysk litości.

Znała te zdjęcia na pamięć. Dziecko bawiące się z kociakiem. Kociak bawiący się z dzieckiem. Mama kotka. Żałowała, że nie jest lepszym fotografem i że nie zrobiła więcej zdjęć samego Bożo. Dziesiątków rzeczy zresztą żałowała, ale za późno.

– Cóż to za dowody! – odezwał się, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Ślepia zamknięte, łap ani brzuszka nie widać. Może to ten sam kot. A może inny. Te zdjęcia niczego nie wnoszą.

– Jak możesz zaprzeczać oczywistemu faktowi, że... – Przez moment zapomniała, że postanowiła być spokojna.

– Zwyczajnie. Zaprzeczam i tyle. Podobny do niego. Ale co z tego? – Zamilkł na chwilę i przyglądał się zdjęciu Todda bawiącego się ze starą kotką. – To twój syn? – spytał burkliwie.

Przytaknęła. Nie można było liczyć, że odezwą się w nim jakieś ojcowskie instynkty. Był zbyt wielki, zbyt potężny, zbyt nieustępliwy. Pachniał słońcem, męskością i kakaowym masłem. To połączenie sprawiało, że zakreśliło się jej w głowie.

– Droga Lady – odezwał się, odsuwając zdjęcia rozrzucone pomiędzy nimi na stole – rozwiązanie jest proste: oddaj kota, a dziecku spraw innego.

– To niemożliwe – zaproponowała stanowczo Lindsey. – Chciałam właśnie wytłumaczyć...

– A co tu jest do tłumaczenia? Mało jest biało-czarnych kotów na świecie?

– Ale nie takich jak ten.

Starala się od niego odsunąć, ale pochylił się w jej stronę. Z bliska jego oczy wyglądały jeszcze bardziej niesamowicie: mniej było w nich szarości, a w głębi zdawały się połyskiwać niebieskie plamki w odcieniu ciepłego lazuru.

– Zawracanie głowy. Popatrz tu – wskazał w kierunku kubryka. Obok kuchennego blatu stała otwarta torba z kocią karmą i do połowy napełniona miseczka. Na torbie, pod napisem firmowym, umieszczona była wielka fotografia czarno-białego kota. Lindsey z niepokojem zauważyła, że gdyby nie brak czarnej łatki na nosie, to wyglądałby on identycznie jak dorosły Bożo.

– No i co z tego? – spytała, szykując się do obrony. – Niektóre koty są trochę do niego podobne. I to wszystko.

– Lady! Ja mam naprawdę jego dobre zdjęcia. Tak się bowiem składa, że nie tylko należy on do mnie, ale jest również zastrzeżonym symbolem firmowym.

– Zastrzeżonym symbolem? – powtórzyła za nim jak echo.

– Owszem – potwierdził ponuro Max. – Wiesz chyba, że tego rodzaju znaki

chroni prawo autorskie. Mogą mieć formę symbolu graficznego, a równie dobrze fotografii. I właśnie fotografia tego kota jest identyfikatorem produktów dwóch firm, w których mam główne udziały: „Cat Records” i „Cat Record Distribution”. Zainwestowałem pięćdziesiąt tysięcy dolarów w reklamę i marketing. Brakuje tylko kilku dodatkowych zdjęć. A poza tym kota używa się czasami na jublach z okazji promocji pewnych płyt. Musi być zdrowy, żywy i ten sam.

– Pięćdziesiąt tysięcy? – wyjąkała przerażona.

Sięgnął do teczki, która spoczywała oparta o stół, wyjął z niej folder i rozłożył go przed nią.

– Owszem, pięćdziesiąt – wycedził przez zęby. – No więc jak? Oddajesz kota, czy wolisz za niego zapłacić?

Zmartwiała, wpatrując się w kartki, które przed nią przewracał. Była to makietka katalogu firmowego. Prawie na każdej stronie znajdowały się zdjęcia Bożo. Mignął jej przed oczami jego wizerunek z reklamowym tekstem: „Najostrzejszy kociak w mieście jest jeszcze małym kotem – ale poczekaj trochę!” Bożo wyglądał z dziesiątków reklamówek, trochę podobny do dachowego włóczęgi, a trochę do błazna.

Poczuła skurcz w żołądku. Znała się trochę na grafice, druku i związanych z tym kosztach produkcji. Nie było wątpliwości, że Max musiał w to zainwestować około pięćdziesięciu tysięcy dolarów. I każdy cent zależał od tego jedyne, niepowtarzalnego kociego pyszczka. Rzecz nie do podrobienia.

– W dodatku kot nie należy jedynie do mnie – zagrzmiał Max. – Gdyby tak było, mógłbym ci ostatecznie zrobić z niego prezent. Ale jest on własnością firmy. Oddawaj więc go albo płać te pięćdziesiąt kawałków, tak żeby można było to wszystko zastąpić. – Trzasnął dłonią w folder. – Plus oczywiście kilkaset tysięcy dolarów odszkodowania za straty, które poniesiemy wchodząc z tym później na rynek. No więc jak, królowno? Jedziemy do Vaca Key?

Lindsey powtarzała sobie w myślach tę bająską sumę, w oczach migotały jej fotografie kota i obawiała się, że zemdleje. Przypomniała sobie jednak Todda i wszystko, co przeżył i wiedziała już, że nigdy się na to nie zgodzi.

– Nie – powiedziała ochrypłym głosem. Aby dać wyraz swej determinacji, odtrąciła spoczywającą na folderze dłoń Maxa i zamknęła z trzaskiem okładkę.

Najwyraźniej to go zaskoczyło. Spojrzał na nią ze złością.

– Lady! Wtopiłem w tego kocura pięćdziesiąt kawałków. Czy ty naprawdę chcesz wylądować w przytułku dla biednych?

– Nie! – odpowiedziała twardo. – Kot należy do mojego syna. Myśmy go mieli

pierwsi. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś sobie używał jego fotografii, ale...

– Lady...

– Po pierwsze nazywam się pani Lindsey McCoy, a nie „Lady” – przerwała, nie kryjąc już złości. Im dłużej myślała o Toddzie, tym bardziej wstępował w nią duch walki. Dość miała już tej potulnej grzeczności. Max wywarł na nią zbyt dużą presję. – Możesz tak sobie wołać psa albo konia – ciągnęła dalej z błyskiem w oku – ale zwracając się do mnie używaj mojego imienia. Albo jeszcze lepiej nazwiska.

– Lady... – powtórzył i zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Ale nic więcej nie zdołał powiedzieć.

– A po drugie – nie pozwoliła mu dojść do głosu – kot jest nasz. Mamy jego zdjęcia i mamy świadków.

Max sięgnął do teczki, wyciągnął z niej plik papierów i trzasnął nimi o stół.

– A masz zaświadczenie ze szczepień? Proszę! Wścieklizna, paratyfus, nosówka! Wyniki badań wykluczających białaczkę, rentgen złamanej kości strzałkowej...

– Za mały był, aby go szczepić. Weterynarz powiedział, że...

– Nic mnie to nie obchodzi. Ważne jest to, o czym świadczą te kwity! – Wojowniczym gestem sprzątną jej sprzed nosa papiery. – Może i miałaś tego kota, ale nie umiałaś o niego zadbać. Pozwoliłaś na to, by zginął. Był cały zapchlony! Ze złamaną łapą! W uszach miał świerzbowca! Piętnaście gatunków robaków!

– Nie wolno stosować preparatów przeciw pchłom u małych kociaków! – krzyknęła prawie.

– A świerzbowiec? Wiesz, co takie pasożyty mogą kotu zrobić?

– Nie słyszałam nic o świerzbowcu. – Zaczerwieniła się. – A w domu nie mogłam go trzymać, bo...

– Wiem. Kontaktowałem się z panem Hidalgo. Dziś po południu.

Zmartwiła. Duch walki na chwilę przygasł.

– Rozmawiałeś z nim?

– A jakże! Na razie nic mu nie powiedziałem. To on opowiedział mi o waszej umowie. Zastanawiam się więc, czy mam do niego zadzwonić i nakazać mu wszczęcie postępowania eksmisyjnego – wskazał na telefon komórkowy wiszący na ścianie kambuza – czy poczekać, aż będę miał umowę notarialną i samemu cię eksmitować.

– To jest szantaż!

– To jest biznes!

– Brudny biznes! – wybuchła. – Chcesz zabrać ulubione zwierzę małemu

chłopcu! Wyrzucić wdowę z dzieckiem na bruk! Może jeszcze zaczniesz mi grozić, że przywiążesz mnie do torów kolejowych? Zapuść sobie gangsterski wąsik! Będzie ci z nim do twarzy!

– Fu!

– Nie fukaj na mnie! Próbuję bez przerwy opowiedzieć ci, o co naprawdę tu chodzi, ale ty nawet nie...

– To ty nie pozwalasz mi dojść do słowa!

– Nie przerywaj! Żądasz pięćdziesięciu tysięcy! Zgoda! Jakoś ci to zapłacę. Mam jakieś oszczędności z ubezpieczenia po mężu. Zarabiam średnio, ale zdobędę się na to. Choćbym miała szorować podłogi i chodzić po śmietnikach. Na złość ci to zrobię! Żeby nie wyszło na twoje!

– Moi prawnicy sprawdzą twoją zdolność płatniczą. – Żrenice Maxa zwały się. – Zapłacisz pięćdziesiąt tysięcy? Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie!

– Zrobię to, do czego zostałam zmuszona – zaklinała się. Poderwała się nagle z miejsca i stanęła obok stołu. Twarz pobladła jej z gniewu. – Ale dopiero po tym, jak spotkamy się w sądzie. Myślisz, że się ulęknę tych twoich paru prawników?

On także zerwał się z miejsca. Był o tyle od niej wyższy, że zanim podniosła głowę, widziała jedynie jego brązową pierś. I te obrzydliwe papugi na rozchełstanej koszuli.

– Nie paru, tylko szesnastu. Albo siedemnastu... Już nie pamiętam.

– Wierzysz w prawo silniejszego? Zastanów się. Dla mojego małego synka zniknięcie kota było straszną tragedią. A z tego, co wiem, po prostu zabrałeś go sobie dlatego, że podobał ci się jego wygląd.

– Nie ukradłem go! To ty go ukradłaś!

– Jak mogłam ukraść coś, co należało do mnie?

Zacisnęła zęby. Czuł, że traci cierpliwość.

– Byłem wtedy na Mallory Square. Od miesięcy moja agencja reklamowa szukała odpowiedniego symbolu graficznego i nic z tego nie wychodziło. I nagle ten kot wyszedł z jakiegoś ciemnego kąta, i chociaż był ledwo żywy, od razu zorientowałem się, że to jest to, czego chciałem.

– Czego chciałeś! Tylko to cię obchodzi! Aż do chwili, gdy zjawił się ten kot, mój syn był w głębokiej depresji. Czy to do ciebie nie dociera? Jego ojciec poniósł śmierć w wypadku, a mały jechał wtedy z nim. Poślizg na oblodzonej jezdni. Jerry zginął na miejscu, a mały był ranny. Uwieczony w zmiażdżonym samochodzie i cały czas przytomny. Oblędnie przerażony. Wołał ojca, a ten nie mógł mu odpowiedzieć. Bo nie żył. Przeżył coś strasznego. I od tego czasu nie śmiał się, nie

uśmiechał. Nie mówił nawet. Potrafisz sobie to wyobrazić?! Prawie w ogóle nie mówił. Dopóki nie zjawił się ten kot. I po raz drugi już mu go nie zabierzesz. Nie pozwolę ci na to!

Max Dunne cofnął się o krok. Zmienił mu się wyraz twarzy, choć trudno było się zorientować, na czym ta zmiana polegała. W każdym razie patrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Jego usta przybrały smutny wyraz.

– Nigdy mi o tym nie...

– Bo nie słuchałeś! – krzyknęła. – Próbowaleś mnie zastraszyć i odebrać dziecku żywą istotę, dzięki której wrócił do normalności. Ale pomyliłeś się grubo! Będę z tobą walczyć do końca. W polu, na ulicach, na wzgórzach! Gdy znajdę się pod ścianą, będę walczyć choćby tak! Ułomkiem butelki. Ale się nie poddam.

Musiała jej się przypomnieć scena z jakiegoś filmu, bo nie zastanawiając się ani przez chwilę schwyciła butelkę z piwem za szyjkę i zbiła ją o kant stołu. Odłamki szkła poszybowały w powietrzu i z brzękiem upadły na podłogę. Lindsey wzdrygnęła się, bo szyjka butelki pękła także i skaleczyła ją w rękę. Ale po chwili przestało ją to interesować, choć z dłoni spływała jej krew. Piwo zapieniło się, opryskując ich oboje. Zalało folder Maxa i ściekało strużkami ze stołu.

– Mojego syna życie dostatecznie doświadczyło i nie pozwolę go nikomu skrzywdzić. – W oczach lśniły jej łzy. Ale były to łzy złości. – Nikt go już więcej nie zrani!

Ani ty, ani twoi sławni prawnicy! Rozumiesz? – dokończyła drżącym głosem.

Wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem. Na policzku zadrgał mu mięsień. Ale tylko przez moment.

– Rozumiem. – Spojrzenie jego chmurnych oczu spoczęło na jej krwawiącej, zaciśniętej w pięść dłoni.

– Jeśli mnie do tego zmusisz, to wezmę dziecko i kota i ucieknę do Meksyku! – nadal krzyczała z furją. – Ucieknę na koniec świata. Zaszyję się w mysiej dziurze. Nigdy nas nie znajdziesz! Prędeż ciebie, twoje pięćdziesiąt tysięcy i twoje głupie firmy szlag...

– Przecież powiedziałem, że rozumiem. A poza tym się skaleczyłaś. – Uchwycił jej krwawiącą rękę. – Pozwól! Musimy to obejrzeć.

Wyjął ostrożnie szkło i oglądał zranioną dłoń. Lindsey spojrzała na niego osłupiała. Nie wyobrażała sobie, aby tak ogromny mężczyzna był w stanie tak delikatnie ją dotykać. A on tak to właśnie robił. Spostrzegła nagle, że mocno krwawi i to nie mniej ją zaskoczyło.

– Zostaw mnie! – Próbowwała się od niego odsunąć.

Przytrzymał ją mocno za przegub i objął wolnym ramieniem.

– Uspokój się! – nakazał. – Nie przejmuj się tym kotem. Jakoś to rozwiążemy.

– Mimo iż się opierała, pociągnął ją w kierunku kambuza.

– Mój mały... – Nie dotarło do niej to, co powiedział. – Mój mały chłopiec... – Zaczęła powtórnie. Była tak wzburzona, że nie potrafiła sklecić logicznego zdania.

– Uspokój się – powtórzył. – Twojemu małemu chłopcu nic złego się nie stanie. Powiedziałem przecież, że jakoś to wszystko rozwiążemy. Nie martw się o syna.

Zamrugła powiekami, niepewna, czy dobrze go usłyszała.

– Jakoś to rozwiążemy?

– Tak. Trzymaj rękę pod kranem. Pójdę po apteczkę.

Puścił jej rękę i w momencie, gdy to zrobił, poczuła omdlewającą słabość w nogach. Patrzyła na niego z mieszaniną niedowierzania i zdumienia w oczach.

– I może byś tak zdjęła ten cholerny kapelusz – rzucił wyraźnie zde gustowany. Wyciągnął rękę, sam go jej zdjął i położył na blacie kuchennym. Ich oczy się spotkały. Minęła krótka, pełna obopólnego zakłopotania chwila, zanim Max się oddalił.

Wrócił prawie natychmiast, tak cicho, że aż ją przestraszył.

– Pokaż to – burknął. Ujął jej zranioną dłoń, osuszył ją czystym ręcznikiem i powiódł Lindsey w kierunku tapczanu. Nie chciała wcale usiąść, nie chciała, by się nią opiekował, ale miękkie kolana splątały jej złośliwego figla. Osunęła się na tapczan. Podtrzymał ją i usiadł obok niej.

– O rany! – zaczął gderliwie. – Jak ci coś strzeli do głowy, to zawsze robisz to tak na cały gaz? Masz szczęście, że obejdzie się bez szwów. Ciekawe, kto by się opiekował tym dzieciakiem i kotem, gdybyś się wykrwawiła na śmierć.

Wydała z siebie jakiś nieokreślony dźwięk – czkawkę czy szloch – i bardzo ją to zawstydziło.

Wprawnie owinał jej skaleczoną dłoń gazą i umocował opatrunek plastrem. Zdziwiło ją, jak silne i pewne zarazem są jego palce. Rana zaczęła niemiłosiernie szczytać i pulsować.

Spojrzała na stół i ogarnęła ją fala wstydu. W kałuży rozlanego piwa błyszcząły odłamki szkła. Jak mogłam zrobić coś podobnego – myślała upokorzona. Dziecinny, idiotyczny pomysł.

– No dobra – mruknął Max tym swoim chropawym głosem. – Będiesz żyła. Choćby po to, aby znów móc mnie obrażać.

Cofnęła obandażowaną rękę i oparła ją, obolałą, na kolanach. Popatrzyła na niego, nadal trochę niechętna, ale również i wdzięczna. Jego obrzydliwa koszula

poplamiona była krwią: wyglądało to tak, jakby żółta papuga miała na piersi otwartą ranę.

– Zmarnowałam ci koszulę – bąknęła, kręcąc głową.

Powiódł oczami za jej wzrokiem.

– Zmarnował ją ten, kto ją zrobił. Nie przejmuj się. – Bez odrobiny skrepowania zsunął ją z ramion, zmiął i cisnął na stolik wbudowany we wnękę ściany.

Zagryzła wargi. Zacisnęła zdrową dłoń w pięść i wetknęła ją do kieszeni. Spostrzegła zrozpaczona, że rękaw i oblamowanie jej białego żakietu popłamiły małe kropelki krwi. Wiedziała, że to się nie da wyprać. Zmartwiona, nie potrafiła oderwać wzroku od zniszczonego ubrania. Starła się nie patrzeć na Maxa: siedział tak denerwująco blisko niej, półnagi i nagle jakiś nieoczekiwanie miły.

Usłyszała jego niski, stłumiony śmiech. Odczekała chwilę i rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie. Teraz już się nie śmiał. W przyćmionym świetle jego twarz tonęła w cieniach. Lindsey dostrzegła, że jej wyraz jest niemal poważny. Wzruszył ramionami.

– Nie przejmuj się. Ja też krwawię – mruknął. – Wewnętrznie. W związku ze stratą pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła się zdobyć nawet na zwykłe „dziękuję” – w obawie, by się nie rozmyślił. Wtuliła się w oparcie tapczanu i przycisnęła do siebie skaleczoną rękę, która pulsowała w szybkim rytmie jej serca.

– Chcę powiedzieć – ciągnął dalej swoim szorstkim głosem – że nie wiedziałem o tym twoim dzieciaku. O wypadku i tak dalej. Rozumiesz? No... o tym, że przestał mówić i... o całej reszcie. Nie jestem, do cholery, potworem.

Spojrzała na niego ciepło, z wdzięcznością.

– Trudno sobie to wyobrazić, ale ten kot jest dla niego droższy ponad wszystko w świecie. Gdyby nie to, to przecież bym się przy tym tak nie upierała. Dzięki niemu był szczęśliwy po raz pierwszy od półtora roku. Od śmierci ojca.

W spowitej zmierzchem kabinie zapadła długa cisza.

– A ty? – spytał w końcu schrypniętym głosem Max.

– Co ja?

– Znalazłaś przez te półtora roku coś, co dało ci szczęście?

Spuściła głowę i wpatrywała się w białą kukielkę zabandażowanej dłoni.

– Mój syn. Szczęśliwa jestem, że go mam.

– Chyba jestem chory na głowę. – Westchnął ciężko. – Jak można być takim sentymentalnym głupkiem! Ale chcę zachować wyłączne prawa do fotografowania

tego kota. I masz się nim opiekować zgodnie z moimi zaleceniami. Chcę nadal być jego właścicielem i powinnaś to traktować jako pożyczkę. Długoterminową pożyczkę.

Wplótł palce we włosy i siedział przygarbiony ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Naprawdę? – spytała z wahaniem w głosie. – Myślisz, że jakoś tak to rozwiążemy? Todd będzie mógł mieć tego swojego kota? Jestem gotowa zrobić wszystko, aby tylko...

Podniósł nagle wzrok i popatrzył na nią. Mimo panującego w kabinie półmroku nie miała wątpliwości, co to spojrzenie i nagle napięcie jego ciała miały wyrażać.

– Oczywiście – poprawiła się pośpiesznie – w granicach przyzwoitości. Jestem przyzwoitą kobietą.

Milczał długą chwilę nadal wpatrując się w nią w gęstniejącym zmierzchu. Nagle coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy.

– To prawda – burknął z sarkazmem. – Tym właśnie dokładnie jesteś. Przyzwoitą kobietą. I jakoś ci się udaje nią pozostawać nawet wtedy, gdy tłuczysz o stół butelki z piwem. To wielka sztuka!

– Och, rzeczywiście – wyjąkała zawstydzona. – Zaraz to sprzątnę. Nie powinnam w żadnym wypadku...

Próbowała wstać, ale błyskawicznie chwycił ją za rękę i przytrzymał na miejscu. Jacht zakołysał się miękko na swoim ślipie, a Lindsey poczuła, że coś podobnego wyprawia jej serce.

– Zostaw – powiedział. – Sam się tym zajmę. Pozwól mi na siebie popatrzeć.

Wolną ręką sięgnął za siebie i zapalił małą mosiężną lampkę ścienną. Lindsey zamrugła powiekami, oślepią nagle snopem złotego światła. Padało ono pod ostrym kątem na twarz i miedzianobrazowe ramiona Maxa. Podświetlało kędzierzawe, kasztanowego koloru owłosienie jego piersi.

Jego dłoń, wielka i potężna, na tle białego rękawa jej żakietu wyglądała jak odlana z ciemnego brązu. Spojrzała na nią, a potem podniosła wzrok na jego twarz. Znowu miał na ustach ten sam niebezpieczny uśmiezek. Pochylił się ku niej.

– Przez kilka ostatnich dni – zaczął mówić przeciągając słowa – siedziałem w bagnie po uszy. Wyglądało na to, że straciłem nie tylko kota, ale i kontrakt, który jest wart kupę forsy. Tyle samo albo – jak dobrze pójdzie – znacznie więcej niż ten kot.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Wyciągnął rękę i zaczął wypinać spinki z jej włosów. Drgnęła, ale siedziała nadal jak zahipnotyzowana. Wąskie pasmo

włosów opadło na jej ramię. Za nim następne. Aż wreszcie wszystkie spłynęły ciemną kaskadą w dół. Uniósł rękę, poprawił i przygładził jej włosy.

– Jednej rzeczy mi brakowało, aby mieć w garści ten kontrakt. – Jego głos, mimo iż ironiczny, miał w sobie jakieś hipnotyczne brzmienie. – Ale teraz, gdy się tu znalazłaś, być może niczego już nie brakuje. No bo... przyjrzyj się sobie. Przecież to wygląda wiarygodnie. Naprawdę mogłabyś...

– Co mogłabym? – wyrzuciła z siebie.

– Mogłabyś się spodobać na tyle jakiemuś mężczyźnie – mówił dalej, wpatrując się w jej usta – że zechciałby się on z tobą ożenić. I w ten sposób kontrakt nie przeszedłby mu koło nosa. Potrzebna jest tylko jedna rzecz...

– Jaka rzecz?

– No właśnie – odpowiedział. – Potrzebna mi jest przyzwoita kobieta. Mniej więcej na tydzień. Po to, by zamieszkała ze mną. Jako żona. Mówiłem, że znajdziemy jakieś rozwiązanie. Chcesz kota? Świetnie! Ale przez następny tydzień, droga pani McCoy, będziesz moja. Bez reszty. Duszą i ciałem.

Rozdział 4

Lindsey szarpnęła się do tyłu, jakby ją sparzył jego dotyk.

– Nie przyszłam tu po to, aby robić tego rodzaju transakcje.

Oczy jej płonęły. Próbowwała wstać, ale przycisnął dłońmi jej ramiona do oparcia tapczana.

– Nie dotykaj mnie! – prychnęła.

Zamierzyła się na niego zdrową ręką, ale zrobił unik i roześmiał się. Sprawiał wrażenie, jakby odzyskał dobry humor.

– Sama jesteś podobna do kotki. Prychasz i drapiesz. – Przytrzymał ją jeszcze mocniej i nie pozwolił ruszyć się z miejsca. – Kto ci powiedział, że daję ci kota i tyle. Mówiłem, że jakoś to rozwiążemy.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Mam pod opieką dziecko. Nawet nie myśl, że mogłabym...

Pokręcił głową. Najwyraźniej bawiło go malujące się na jej ładnej twarzyczce oburzenie. Zbyt łatwo ustąpił z tym kotem i miał do siebie pretensje o to, że postąpił jak głupiec. A raczej jak mięczak. A na nią też był zły, bo go do tego skłoniła. I nagle znalazł sposób, by wyrównać rachunki, w dodatku na tyle przewrotnie, na ile przewrotne było jego poczucie humoru.

– Proszę się uspokoić, pani McCoy. Nie zamierzam nastawać na pani cnotę. Zależy mi wyłącznie na stworzeniu pozorów... przyzwoitości. Nie jest to propozycja w sensie seksualnym; to oferta handlowa.

Nadal patrzyła na niego z odrazą i próbowała odsunąć się najdalej, jak mogła.

Max w żadnym razie nie był okrutnikiem. Był natomiast bardzo niezależnym człowiekiem i nie znosił, gdy się nim manipulowało. Ku własnemu zdumieniu poczuł się całkowicie rozbrojony tą łzawą opowieścią o nieszczęśliwym dziecku i teraz odczuwał elementarną męską potrzebę przejęcia inicjatywy. Naprawdę nie był offermą i chciał, aby nie miała co do tego wątpliwości.

Poza tym był urodzonym prześmiewcą: uwielbiał angażować się w zupełnie szalone pomysły i sytuacje. A takim właśnie był pomysł, aby wciągnąć w tę awanturę taką przyzwoitą, nieskazitelnie moralną osobkę, jak ta McCoy. Mógłby wyjść z tego niesamowity numer. W końcu plan wyprowadzenia w pole Habiba od początku był pomyślany jako kosmiczny żart.

– Puściłbym cię, droga pani McCoy – powiedział z przewrotnym uśmiechem – ale boję się, że dasz mi w łeb. W obronie swych pryncypiów moralnych potrafisz,

niestety, uciekać się do gwałtu.

Jakby dla potwierdzenia słuszności jego słów, zamierzyła się i próbowała uderzyć go w ramię pięścią. Znowu udało mu się zrobić unik.

– Dokładnie o tym mówiłem – skomentował i przytrzymał ją mocniej. – Siedź cicho, przestań się szamotać i słuchaj.

Zaczął jej opowiadać historię o Habibie, który kieruje się w interesach nie racjonalnym myśleniem, lecz tym, co jego astrolog wyczyta z fusów i gwiazd. Lindsey patrzyła na niego tak, że normalny, stateczny człowiek powinien się zapaść pod ziemię ze wstydu, ale Max – który szczycił się tym, że nie jest ani stateczny, ani do końca normalny – najwyraźniej nic sobie z tego nie robił.

– Jeśli mnie nie puścisz, zerwę bandaż i obleję cię krwią – przerwała mu w pewnym momencie.

– Uspokój się! Masz pod opieką syna. A ja firmę. Chcesz dostać kota, który jest nam obojgu potrzebny? Skłonny jestem oddać ci go na przechowanie. Jeśli będziesz ze mną współdziałała. A więc słuchasz czy nie?

– Zdaje się, że nie mam innego wyjścia.

Teraz już nie trzymał jej mocno. Uchwyt spoczywających na jej ramionach dłoni był przyjazny, niemal zmysłowy. Pomyślał, że ta mała istotka jest nie tylko porywczą, ale ma również najbardziej intrygujące oczy, jakie kiedykolwiek miał okazję oglądać. Błękitnozielone, lekko skośne oczy królowej elfów.

– A więc Fergus Habib – zbliżał się do końca ze swą opowieścią – nie zdecydował się na zrobienie tego interesu z najlepszym z możliwych kontrahentów, to znaczy ze mną. Rozgląda się za kimś, kto miałby lepszą... hmm... reputację i byłby bardziej ustabilizowany. Niestety, uważa, że mam poważne wady...

– Niestety – wycedziła przez zęby.

– Mój styl życia daleko odbiega od przyjętych konwencji. Jestem... niespokojnym duchem... używając eufemistycznego określenia.

– Bardzo eufemistycznego.

– Habib powiedział mi wyraźnie, że skłonny byłby mnie zaakceptować, gdyby mój styl życia był bardziej konwencjonalny. I gdybym był związany z jakąś godną szacunku, porządną kobietą. Niestety, jedyna sprawiająca takie pozory kobieta, jaką znam, ma odrę.

Oddychała szybko, jakby z wysiłkiem. Pozbawiony dekoltu, nader przyzwoity stanik jej sukienki falował w górę i w dół w nader interesujący sposób. Max śledził to z upodobaniem, przypominając sobie, jak jędrnie i apetycznie wyglądały jej piersi pod przemoczoną bluzką.

– Ach... – westchnął, uśmiechnął się z zadowoleniem i na powrót zaczął wpatrywać się jej w oczy. – Ale właśnie los zetknął mnie z tobą. I wygląda na to, że wkrótce będziesz mi winna pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Powiedzmy, że tu tracę pięćdziesiąt, tam zarabiam pięćdziesiąt...

– Czego ty ode mnie w końcu oczekujesz? – przerwała mu podejrzliwie.

– Oczekuję, że przy tobie, pani McCoy, będę nader przyzwoitym człowiekiem. Przez okres mniej więcej tygodnia. Tyle czasu potrzeba, by Habib przyjechał i wyjechał. No, i potem jeszcze trochę. Dla zachowania pozorów. – Powiódł pieszczotliwie dłońmi po jej ramionach. – Willa jest gotowa. Od tygodnia. Wprowadź się do niej. Razem ze mną. Jako moja świeżo zaślubiona małżonka.

– Małżonka? – patrzyła na niego jak na kompletnego wariata.

– Jesteś moją dłużniczką. – Roześmiał się. – Potrzeba mi pozorów przyzwoitości. Dokładnie to jesteś mi w stanie zaoferować. Coś za coś.

– Nie mam zamiaru z tobą żyć – zaprotestowała.

– Nikt cię do tego nie zmusza. Chodzi przecież jedynie o pozory. Nie bój się, świętoszku. Nie zapraszam cię do wspólnego łóżka. Jedynie pod wspólny dach. I będziesz musiała oczywiście udawać, że mnie lubisz. To będzie najtrudniejsze.

– Ty jesteś wariat!

– Kompletny! To jest hazard. Tak jak całe zresztą życie.

– Nie moje życie – sprostowała Lindsey. – Moje jest ustabilizowane i chcę, aby takim pozostało. Mam syna. Co miałabym niby z nim zrobić w trakcie tego... „małżeństwa”?

Max wzruszył ramionami. Na nagich barkach zadrgały mu mięśnie.

– Zabrać go ze sobą. Habib będzie miał o mnie jeszcze lepsze mniemanie. Wydam mu się wspaniałomyślnym facetem, który zgodził się wziąć sobie na głowę bachora.

– Mój bachor, jak go raczyłeś nazwać, ma pięć lat. Nie potrafiłby grać w takim skomplikowanym przedstawieniu. A nawet gdyby potrafił, to i tak bym mu na to nie pozwoliła. To jest współudział w kłamstwie. Zły, niemoralny postępek.

Max zdjął ręce z jej ramion, odchylił się do tyłu i podparł sobie dłońmi kark.

– Dobra. Jak tak, to zabieram z powrotem kota.

– Daj spokój! – zaprotestowała z płonącymi policzkami. – To nie fair!

– Na wojnie, w miłości i w wyścigu na rynku płytowym wszystkie chwytaki są dozwolone – oświadczył spokojnie. – Proszę cię o tygodniową współpracę. O nic więcej. Uszanuję twoje pruderyjne zasady. Przeżyjesz ten tydzień w czystości. A potem, kiedy wyjadę, pomieszkasz sobie jeszcze przez jakiś czas sama w willi. Jak

mówiłem, w zasadzie nie znam żadnych przyzwoitych kobiet. I nie mam najmniejszej ochoty lokować swoich uczuć w kimś takim. Sama myśl o tym wywołuje we mnie dreszcz. Będziesz więc bezpieczna.

– Nie będę wciągać mojego dziecka w farsę trawestującą...

– Habib specjalnie nie musi go oglądać. Wciągniemy jakoś w zabawę tego... Zapomniałem jego imienia. Jak się nazywa nasz syn?

– Mój syn – poprawiła go zirytowana – nazywa się Todd. I nie mam zamiaru wciągać...

– Go w zabawę? A co to za problem mu powiedzieć, że sprowadzacie się jako goście do pewnego miłego pana?

– Nie jesteś miłym panem – zaproponowała stanowczo.

Roześmiał się, najwyraźniej ucieszony.

– Pewnie, że nie. Ale to już jest mój problem.

– Nigdy nie będziesz normalnym, godnym szacunku człowiekiem. Nikt i nic ci w tym nie pomoże – powiedziała z niechęcią.

Przechylił się w tył i uśmiechnął do niej.

– Nieprawda. Ty mi pomożesz. Jestem podatny na resocjalizację. Musi mnie tylko pokochać przyzwoita kobieta.

Lindsey zaniemówiła. Co za bezczelność! – pomyślała.

Ponownie wzruszył ramionami i uśmiechnął się jeszcze chytrze.

– Przede wszystkim, chyba nie masz wyboru. Prawda, kochanie?

Była tak tym wszystkim oszołomiona, że gdy wreszcie stamtąd się wyrwała, zapomniała zabrać kapelusza. W domu zastała – ku swemu zadowoleniu – Todda śpiącego już w łóżeczku. Kot leżał przytulony do stóp chłopca. Naomi niecierpliwie czekała, by się czegoś dowiedzieć, ale widząc, jak bardzo jej przyjaciółka jest zmartwiona, taktownie nie próbowała z niej niczego wyciągnąć.

– Pozwolił ci zatrzymać kota? – spytała jedynie na wstępie.

– Myślę... że tak – odparła z wahaniem Lindsey.

– Tylko, widzisz, on chce... Wszystko jest bardzo skomplikowane. Muszę to jakoś rozwikłać.

Naomi spojrzała na nią znacząco i pokiwała głową.

– Rozumiem. Jutro o tym porozmawiamy... oczywiście, jeśli będziesz miała na to ochotę. Todd był bardzo grzeczny! To takie ciche, dobre dziecko – westchnęła. – Wcale się nie dziwię, że skłonna jesteś wszystko dla niego zrobić.

Lindsey obudziła się rano. Todd na szczęście jeszcze spał; ona natomiast miała

za sobą praktycznie nie przespaną noc. Dunne droczy się ze mną po prostu – powtarzała sobie bez przerwy. Przecież nie można traktować serio tej jego zwariowanej propozycji. Teraz już, w jasnym świetle poranka, zapragnęła ubrać się i jak najprędzej porozmawiać ze swą przyjaciółką. Ale nie było jej to sądzone. Właśnie gdy zamierzała wypić kawę, ktoś zaczął łomotać do drzwi. Na pewno nie była to Naomi.

Zesztywniała na moment na krześle. Nie wiadomo dlaczego, była pewna, że to Max Dunne. Czy przychodzi po nią? Czy rozmyślił się i zamierza odebrać im kota?

Na to ostatnie nie może się zgodzić. Za nic w świecie.

Kolejna seria bębnienia w drzwi wstrząsnęła domkiem. Bogu dzięki, Todd nadal smacznie spał. Lindsey pośpieszyła ku drzwiom.

Była boso, na niebieską nocną koszulę zarzuciła krótki biały szlafroczek. Włosy miała w nieładzie i oczywiście nie była umalowana.

Przecież jest dopiero wpół do ósmej – pomyślała zaniepokojona. Ten człowiek chyba naprawdę jest szalony. A w każdym razie zachowuje się w sposób tak nieprzewidywalny, że muszę się mieć cały czas na baczności.

Otworzyła gwałtownie drzwi.

W progu stał Max Dunne. Jego włosy koloru kasztanowego lśniły w promieniach porannego słońca. W jednej ręce trzymał jej słomkowy kapelusz, a w drugiej – dwanaście białych róż.

Śnieżnobiała koszula uwydatniała brąz jego opalenizny; beżowe spodnie – szczupłość bioder. Jego „piracka” aparycja, za sprawą szytego na miarę ubrania, gdzieś się zapodziała. Wyglądałby niemal przyzwoicie, gdyby nie ten szalony, diabelski wyraz jego oczu.

– Dzień dobry, najdroższa! – Bezceremonialnie wręczył jej kapelusz. – Ciągłe coś po sobie zostawiasz. Najpierw bucik, jak Kopciuszek, a teraz znów to.

Stała jak wryta i wpatrywała się w niego. A on uśmiechnął się szeroko i wcisnął jej w ręce bukiet róż. Z wyniosłym wyrazem twarzy spojrzała na kwiaty, a następnie znowu skierowała wzrok na Maxa.

– Mogę wejść? – spytał. – Musimy omówić kilka spraw. Zaczynając od kota.

Zacisnęła wargi. W oczach Maxa zapaliły się tak szydercze iskierki, że zastanawiała się, czy nie dać mu przypadkiem czymś w łeb. Niestety, niczego nie miała pod ręką, a poza tym jej temperament spłatał jej wczoraj nieprzyjemnego figla i postanowiła tym razem mu na to nie pozwolić.

– Proszę. – Odwróciła się na pięcie i pozwoliła, by podążył za nią do środka. Ostentacyjnie, jakby całkiem o nie dbając, położyła róże na blacie kuchennym,

rzuciła obok nich kapelusz i skrzyżowawszy ręce na piersiach, odwróciła się ku niemu.

– Rozumiem, że chcesz usiąść. Proszę. Ale załatwmy szybko to, co mamy do załatwienia.

Max rozsiadł się za stołem i leniwie wyciągnął przed siebie nogi. Ona nadal świdrowała go najbardziej lodowatym spojrzeniem, na jakie było ją stać, on zaś nadal nie przestawał się uśmiechać.

– Odbylem rozmowę z moimi doradcami prawnymi – rzekł.

– Naprawdę? – spytała przesadnie słodkim głosem.

– Ze wszystkimi szesnastoma naraz? Czy z siedemnastoma?

– Już nie pamiętam. Głównie zresztą rozmawiałem z najmądrzejszym z nich. W pełni się ze mną zgadza. Uważa, że nie będziesz w stanie udowodnić w sądzie swego prawa własności do kota.

– Przemyślałam sprawę ponownie. – Lindsey starała się zachować spokój, lecz z trudem przełknęła ślinę.

– Wcale się tak wspaniale tym kotem nie opiekowałeś. Zostawiłeś go w końcu samego na tej zdewastowanej łodzi. Odpowiedzialne to nie było.

Roześmiał się, wyraźnie tym nie przejęty.

– Ten wrak był rekwizytem do pewnej reklamy. Jej wymowa miała być w założeniu ironiczna i stąd nazwa „Wielkie Nadzieje”.

Jej ostatni argument upadł. Chciałaby nie uwierzyć, ale czuła, że Max mówi prawdę.

– Właśnie skończyliśmy zdjęcia – ciągnął dalej, najwyraźniej ciesząc się ze swej przewagi. – Czekałem, aż „Korsarz” wróci z morza. Wpadłem na chwilę na sąsiedni jacht, aby obejrzeć szwankujące radio. Nie było mnie wszystkiego dziesięć minut.

– Wszystko jedno. Zostawiłeś go samego – nadal siliła się na oskarżycielski ton. – To było karygodne niedbalstwo. Mógł sobie pójść gdziekolwiek.

– Nieprawda. – Spojrzał na nią z wyższością. – Sam nie mógł wyjść z łodzi. I nawet zresztą nie próbował. Był na niej bezpieczny i nic mu nie groziło. Z wyjątkiem złodzieja. Którego padł ofiarą.

Lindsey zacięła usta i nie odezwała się ani słowem.

– Przestań się dąsać! Mam rację i tyle. Ale, tak jak powiedziałem wczoraj, gotów jestem oddać tobie i chłopcu kota pod opiekę. Oczywiście, jeśli pójdziesz na pewne ustępstwa.

– Ale nie mogą być to zbyt daleko idące ustępstwa. – Obronnym gestem

zaczisnęła pod szyją szlafrok.

Max wstał i bez pytania nalał sobie filiżankę kawy.

– A właśnie! Gdzie jest nasz syn?

– Mój syn – sprostowała ze złością. – Śpi jeszcze. Dzięki Bogu nie zdołałeś go obudzić tym maniakałnym waleniem w drzwi o świcie.

– Chłopak ma zdrowy sen. – Pokiwał z zadowoleniem głową. – To mi się podoba. Nie chciałbym mieć nerwowego, kapryśnego pasierba.

– To nie jest temat do żartów – oburzyła się, wskazując na maleńką sypialnię obok. – Tam jest dziecko. Mała, ludzka istota.

Znowu rozwalił się na krześle.

– Jestem tego świadom. Sam byłem niegdyś małą, ludzką istotą.

– A potem co się stało? – spytała i poniewczasie ugryzła się w język. Obiecała sobie przecież, że będzie nad sobą panować.

Max spojrzał na nią sponad kubka kawy i błysnął zębami w uśmiechu.

– Odgryzasz się! Brawo! I rano nie wyglądasz już tak, jak królowa na delegacji. To również bardzo mi się podoba.

Zaczisnęła jeszcze mocniej zęby i skrzyżowała dłonie na piersiach. Skoro nie ma on zamiaru rozmawiać poważnie, to lepiej, gdy wcale się nie będzie odzywać.

Gestem głowy wskazał na stojący w pokoju wąski tapczan, na którym nadal leżała zmięta pościel.

– Straszna tutaj ciasnota. Sypiasz na tapczanie?

– Śpię tam, gdzie mi się podoba. Nie ma to nic do rzeczy.

– O nie, najdroższa! To, na czym będziesz spała, albo przynajmniej udawała, że śpisz, jest bardzo istotne.

– Jeśli nawiądziesz do tej idiotycznej propozycji, to na próżno tracisz czas. Ty chyba nawet przez chwilę nie potrafisz być poważny.

– Jestem jak najbardziej poważny. Mam nawet w kieszeni spisane umowy. Właśnie po to spędziłem noc w towarzystwie prawników, mój skarbie!

Co za bezczelność – pomyślała. Policzki pały jej z gniewu.

– Nie jestem twoją najdroższą i nie jestem twoim skarbem!

Max przechylił się przez stół i nieustępliwie patrzył jej w oczy.

– Wystarczy, jeśli udasz, że jesteś. Zależy mi wyłącznie na stworzeniu pozorów.

– Nie możesz czegoś takiego ode mnie wymagać. – Jej policzki jeszcze bardziej się zaczerwieniły.

– A to niby czemu? Przecież mówiłem: dostajesz kota na przechowanie pod

pewnymi warunkami. Tylko ze względu na dziecko. Rozumiesz?

Nie rozumiała. Starła się jedynie wytrzymać jego spojrzenie.

– Ale kot, jako taki, oraz wszelkie prawa do wykorzystywania jego podobizny należą do mnie – ciągnął z naciskiem. – Masz opiekować się nim zgodnie z moimi zaleceniami, pod groźbą jego utraty. Rozumiesz? To jest pierwsza umowa. Podpisujesz?

Zrozumiała, ale bardzo jej się to nie podobało. Szczególnie formuła „zgodnie z moimi zaleceniami”. Zaciśnęła palce na krawędzi stołu, starając się zachować spokój.

– To pierwsza umowa. A druga?

– Druga to umowa przedślubna.

Rozwarła oczy ze zdumienia i parsknęła śmiechem.

– Jaka?

– Przedślubna. Inaczej intercyza. Nie możemy jedynie udawać, że jesteśmy małżeństwem. Habib mógłby nas z powodzeniem oskarżyć o oszustwo. Musimy się naprawdę pobrać. – W jej oczach malowało się przerażenie, ale zignorował to i ciągnął dalej: – W umowie tej zobowiązuję się, że w przypadku rozpadu naszego małżeństwa przekazuję ci pod opiekę kota, na warunkach określonych w umowie pierwszej. To jedyne moje zobowiązanie. Z wszelkich innych roszczeń rezygnujesz...

– Prawdziwe małżeństwo? – przerwała mu tonem pełnym pogardy. – Umowa przedślubna? To najbardziej cyniczna rzecz, z jaką...

– W istocie. Każda taka umowa jest cyniczna, ale niezbędna. Chodzi o to, abyś po wygaśnięciu naszego małżeństwa nie mogła mnie wykorzystać...

– Ja miałabym cię wykorzystać? – Teraz już naprawdę wpadła w furję. Po raz drugi doprowadził ją do ostateczności i robiła wszystko, by opanować się i nie walnąć go dzbankiem z kawą prosto w ciemię.

– ... i abyś jednocześnie przeze mnie nie została wykorzystana – zakończył gładko. – Nie wymagam od ciebie dosłownie niczego, Lindsey. Ani wierności, ani posługi seksualnej. Wszystko to jest zawarte w kontrakcie. Zobowiązuję się nawet do tego, że dotykać cię będę jedynie wtedy, gdy będzie to konieczne dla stworzenia pozorów. Chyba, że ci się to wyda... czymś miłym.

– Czymś miłym? – powtórzyła jak echo. – Niestychane! – Wpatrywała się w niego osłupiała.

– Kilku paniom to już się wydało czymś miłym. – Przestał się uśmiechać, ale nadal się w nią wpatrywał. W głębi jego chmurnych oczu dostrzegła ciepłe

lśnieniu. Przeszedł ją dreszcz.

Przecież to jest nierealne – pomyślała. Ja chyba śnię. Pociągnął łyk kawy i patrzył na nią sponad filiżanki.

– Robisz z tego jakiś intymny problem. Nic intymnego w tym nie będzie. Pobierzemy się szybko i dyskretnie. To będzie małżeństwo z rozsądku. Prosta, czysta sprawa.

– Nie – zaoponowała, trąc zaciśniętymi pięściami o blat. – Nie prosta. I na pewno nie czysta. Tyle, że wygodna, ale wyłącznie dla ciebie. Jeśli myślisz, że wciągnę swego syna w tę tanią farsę...

– Może to jest i farsa, ale nie tania – sprostował. – W nic go nie musisz wciągać. Nawet nie musisz mu mówić, że jesteście małżeństwem.

Lindsey nie mogła już dłużej usiedzieć. Zerwała się z miejsca i zaczęła się nerwowo przechadzać po małej kuchence. W pewnym momencie obróciła się na pięcie i spojrzała z niechęcią na Maxa.

– Czy ty nic nie rozumiesz? To dziecko za wiele już w życiu przeszło. Przecież nie mogę go wplątać w jakieś wariactwo tylko po to, żebyś mógł oszukać tego swojego Habiba. A nie mogę również wprowadzić się jakby nigdy nic do obcego mężczyzny. Co ja mu powiem? A co ludzie na to powiedzą?

Max podniósł się również, blokując swym zwałistym ciałem możliwość poruszania się w maleńkiej kuchence.

– Przecież to proste. Chłopiec ma pięć lat. Powiesz mu zwyczajnie, że jesteśmy przyjaciółmi i zaprosiłem was do siebie. A ludziom powie się, że opiekujesz się domem pod moją nieobecność. To duży dom. Ktoś musi kierować zatrudnionym tam personelem. Potrzebna mi jest intendentka.

– Coś podobnego! Ty chyba naprawdę zwariowałeś! Dlaczego miałabym być twoją intendentką?

– O rany! – westchnął. – Przecież nie możesz się tak... wprowadzić i wyprowadzić po tygodniu – tłumaczył ze zrezygnowanym uśmiechem. – Byłoby wówczas oczywiste, że małżeństwo jest farsą. Musisz zostać trochę dłużej. Dla Habiba stworzy to pozory, że jesteś moją żoną, a dla osób postronnych będziesz grała rolę intendentki.

– Intendentki? Jestem artystką, a nie twoją służącą.

– Oczywiście, że nie jesteś moją służącą. Znowu chodzi wyłącznie o stworzenie pozorów. Poza tym nie zapominaj, że ten domek naprawdę zostanie zburzony. A ty będziesz sobie mogła żyć w willi. Wraz z dzieckiem. Nie płacąc ani centa. Przez... powiedzmy rok.

– Rok! Tego już za wiele! Chcesz wyrwać z mojego życia rok, w trakcie którego będę musiała... wraz z dzieckiem... znosić twoje towarzystwo?

Max wzruszył ramionami, jakby to było błahostką.

– Bardzo dużo podróżuję. Prawie nie będziesz mnie widywać. No i zastanów się: gdzie się podziejesz? Jako nowy właściciel naprawdę zacznę od wyburzenia tych domków. Szpecą ten piękny zakątek. Chcę mieć tu dziewiczo czystą plażę.

– Dostyc tego! – wybuchnęła. – Ty jesteś jedyną nieczystą istotą, która szpeci ten piękny zakątek. Nie zgadzam się! Wolę spotkać cię w sądzie, ty nicponiu!

Schwycił ją za ramiona i zaśmiewał się z użytego przez nią archaicznego epitetu.

– Czy ty nie masz odrobiny poczucia humoru, Lindsey? Przecież chodzi o niewinne oszustwo! Muszę przechytryć tego starego ekscentryka. Nie pozwolę, żeby złoty interes umknął mi sprzed nosa z powodu herbacianych fusów. A ty będziesz miała swojego kota.

– Nie potrafię okłamać mojego syna.

– Nie będziesz wcale musiała tego robić. Już ja wymyślę coś takiego, co będzie odpowiedzią na wszystkie jego pytania. Biorę to na siebie. A jestem bardzo pomysłowy.

– Ty skur...

– Nie zapominaj – przerwał, nadal reagując śmiechem na jej furię – że chodzi o dobro dziecka. To on w końcu dostanie kota. Cel uświęca środki.

– Ty... ty... – nie potrafiła znaleźć słów oburzenia. Trzęsła głową tak gwałtownie, że włosy przysłoniły jej oczy.

– Uspokój się. – Ścisnął ją mocniej za ramiona. – Osoby postronne nic nie będą wiedziały o tym małżeństwie. A potem załatwię to tak, że się je unieważni. Nie będziesz więc miała w życiorysie rozwodu. Jak widzisz, potrafię troszczyć się o twoje...

– A skąd wiesz, że nie koliduje to z jakimiś moimi planami? Skąd wiesz, że nie mam... przyjaciela, który przyjedzie i da ci taką nauczkę, że zostawisz mnie wreszcie w spokoju?

– Przecież ślepy by dostrzegł, że jedynym mężczyzną w twoim życiu jest twój syn. – Jego dotyk wyprawiał jakieś dziwne rzeczy z jej systemem nerwowym. – Podobnie jak ja, jesteś typem samotnika. Tyle, że masz dziecko.

Znowu zobaczyła, że w głębi jego chmurnych oczu zapalił się ten sam błysk. Prowokuje ją? Szydzi? Grozi? Nie wiedziała.

Obiecał, że nie stanie się przedmiotem jego seksualnych zachcianek. Ale czy

rzeczywiście? Nie czuła się bezpieczna. W żadnym razie.

Jego dłonie zdawały się parzyć jej ciało przez cienką tkaninę szlafroka, a jego uśmiech – nieodgadniony i tajemniczy – mącił jej myśli.

Nie – powiedziała sobie twardo. Jego propozycja jest nie do przyjęcia. Nie może się na to zgodzić. Musi natychmiast przestać patrzeć mu w oczy. I on też tak na nią nie powinien patrzeć. Jeżeli prawdą jest to, co powiedział. Bo skoro jej nie chce, to dlaczego wyraz jego oczu mówi coś przeciwnego? Wszystko to jest zbyt skomplikowane, zbyt szalone i zanadto naładowane emocjami.

– A jeśli się nie zgodzę? – rzuciła mu wyzwanie.

– No cóż... – westchnął i pokręcił głową. – Będziemy musieli wynegocjować jakiś sensowny plan spląt miesięcznych. Splacanie kota zajmie ci jakieś dwadzieścia lat. Oczywiście, nie licząc odsetek.

Dwadzieścia lat! – pomyślała przerażona. Todd już będzie dorosłym człowiekiem, a kot sędziwym staruszką. Jeśli w ogóle koty żyją tak długo. Usłyszała nagle dźwięk otwieranych drzwi i tupot małych stóp. Obróciła się na pięcie w kierunku drzwi sypialni. W progu stał Todd. Włosy miał potargane. Trzymał w objęciach Bożę i patrzył na nią zatrwożony z niemym pytaniem w oczach. Czy słyszał, co mówił Max? – pomyślała przerażona. Próbowwała dokładnie przypomnieć sobie przebieg rozmowy i przez moment nie wiedziała, co ma robić. Maxa natomiast najwyraźniej nie wyprowadziło to z równowagi. Zdjął ręce z jej ramion i przybrał nagle beztroską, wesołą pozę – tak, jakby przybył tu odwiedzić starych przyjaciół.

– Cześć, Todd! – uśmiechnął się do dziecka. – Nareszcie cię poznałem, chłopie. Mówiła ci mama, że to ja właśnie znalazłem twojego kota? Bardzo był marny, ale pomogłem mu przyjść do siebie. Cieszysz się, że go masz z powrotem?

Todd, podejrzliwie przyglądając się Maxowi, skinął głową.

– Fajnie! – Max rozpląwał się w serdecznościach, jak dobry wujek. Poklepał braterskim gestem Lindsey po ramieniu, co spowodowało, że przestała na chwilę oddychać, a następnie przyklęknął na podłodze przed chłopcem.

– Słyszałeś, jak rozmawialiśmy z mamusią? O was i o... Jak on się nazywa? – Poskrobał kota za uchem. – O Bożo?

Todd przecząco pokręcił głową, co sprawiło Lindsey niewysłowioną wprost ulgę.

Bożo poddał się z lubością pieścizotliwemu czochraniu Maxa. Wyślizgnął się z objęć Todda i zaczął się ocierać o nogi klęczącego mężczyzny. Oczy miał zmrużone i mruczał.

Ty wredny zdrajco – pomyślała Lindsey, patrząc na kociaka.

– Widzisz? – odezwał się tryumfalnie Max. – Stary Bożo mnie poznał. Wie, kto jest jego przyjacielem. – Podniósł z ziemi kota, poskrobał go jeszcze raz za uchem i wręczył Toddowi. Chłopiec popatrzył na niego z wyraźnym zaciekawieniem i szacunkiem.

Max sięgnął niedbałym ruchem do kieszeni i wyciągnął z niej monetę. Położył ją sobie na grzbiecie dłoni i za pomocą jakiejś sztuczki sprawił, że zaczęła sama wędrować w tę i z powrotem wzdłuż kłykci jego palców. Todd przyglądał się temu zafascynowany. Max rzucił monetę w powietrze i złapał ją.

Rozwarł dłoń. Moneta zniknęła. Żrenice Todda rozszerzyły się. Ale na tym nie koniec. Jego zdumienie nie miało granic dopiero wtedy, gdy Max wyjął pieniądze z kocięgo ucha.

– A niech to lichy! – czarnoksiężnik udał zdziwienie. – Bożo! Co ty tam jeszcze masz?

Nadstawił dłoń i z kocięgo ucha, jak z rogu obfitości, posypał się deszcz pięcio- i dziesięciocentowych monet.

– A niech to lichy! – powtórzył. – To chyba musi być twoja forsa, Todd. Wyleciała z twojego kota. Ciekawe, gdzie ty też to wszystko wydasz. – Wsywał garść monet do rączki chłopca.

Todd patrzył to na monety, to na czarnoksiężnika. Oczy lśniły mu z zachwytu. Teraz już wpatrywał się w Maxa tak, jakby był on najwspanialszą istotą, jaką kiedykolwiek oglądał.

Max wyciągnął rękę i wyjął kotu z nosa jeszcze jedną monetę.

– To już chyba wszystko. – Pokręcił głową i wetknął pieniądze w dłoń dziecka. – Skąd się tego tyle w tym kocie nazbierało? Rozumiesz coś z tego, chłopie? Bo ja nie. Chyba, że to jest taki czarodziejski ranek. Czasami zdarzają się takie ranki, tylko nigdy nie wiadomo kiedy.

Todd, rozpromieniony, potarł sobie nos i wpatrywał się w Maxa coraz bardziej nim zafascynowany. Lindsey przyglądała się temu niespokojna, choć także – jakby wbrew sobie – poruszona.

– Rozmawialiśmy z mamą o tym, żebyście wszyscy troje pomieszkali trochę w moim domu. W tym dużym, co stoi w dole przy samej plaży. Wiesz, o który chodzi?

Mały skinął głową.

– Jak się sprowadzicie, to opowiem ci o przygodach twojego Bożo. Kociak musi mieć trochę przygód, żeby wyrosnąć na fajnego kota. Chcesz, żebym ci o nich

opowiedział?

Todd przytaknął tak entuzjastycznie, że można było odnieść wrażenie, iż głowa zaraz oderwie się od szyi. Widać było, że nie może się wprost doczekać opowieści czarodzieja.

– A w moim domu – ciągnął Max, przybierając poważny wyraz twarzy – każdy ranek może okazać się czarodziejskim rankiem. No więc jak? Chcesz razem z mamusią i kotem u mnie zamieszkać?

Główka małego zatańczyła w górę i w dół, w górę i w dół. Był tak podekscytowany, że niemal tańczył.

Max pogładził jego czuprynkę, wstał z klęczek i zwrócił się do Lindsey.

– W porządku. Najważniejsza osoba – wskazał ruchem głowy na Todda, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku – wyraziła zgodę. Sprowadzacie się więc do mnie.

Lindsey patrzyła na niego bez słowa. Starła się opanować, nadal jednak była pełna niechęci. To nie fair – pomyślała. Czar osobisty tego człowieka był tak przemożny, że nie dał on dziecku żadnych szans. Nawet Bożo, ten mały judasz, przeszedł na jego stronę.

– Bardzo się cieszę, że będę was miał u siebie – powiedział Max, patrząc jej przenikliwie w oczy.

– Wszystkich troje.

Ze względu na Todda próbowała się uśmiechnąć. Wargi miała sztywne i wstydziła się swej dwulicowości. W jego oczach dostrzegła błysk tryumfu.

Wiedz, że cię nienawidzę – starała się zakomunikować mu spojrzeniem.

Uśmiechnął się po swojemu, cynicznie.

To nic nie szkodzi. I tak należysz już do mnie – zdawały się mówić jego oczy.

Rozdział 5

Ceremonia ślubna odbyła się po południu tego samego dnia. Przyjaciel Maxa, Hamish Cordwainer – bogaty pisarz i ekscentryk – poleciał z nimi prywatnym odrzutowcem do Dothan w stanie Alabama.

Max wybrał Alabamę dlatego, że prawo tego stanu pozwalało na zawarcie ślubu natychmiast po wykupieniu zezwolenia. Na Florydzie natomiast musieliby z tym poczekać, a czas – jak stwierdził Max – miał zasadnicze znaczenie. Habiba należało się spodziewać za trzy dni.

W Dothan wynajęli samochód, wykupili zezwolenie, a następnie Cordwainer zawiózł ich na położoną za miastem zdewastowaną farmę arbużów. Pisarz powiedział im, że w latach sześćdziesiątych żyła tam komuna hippisów: pewien guru i gromada „dzieci-kwiatów”

– jego wyznawców.

Teraz został już tylko guru. Jego uczniowie dawno temu opuścili farmę, by zająć się jakąś bardziej przyziemną – i praktyczną – działalnością. Natomiast ich nauczyciel, który nazwał się Tęczą Miłopokoju, miał jakiś stary certyfikat, zezwalający mu, jako duchowemu przywódcy istniejącej niegdyś wspólnoty religijnej, na udzielanie ślubów.

Lindsey okropnie się to wszystko nie podobało. Chciała jak najszybciej skończyć z tą farsą i wrócić do pozostawionego pod opieką Naomi Todda. Oboje zresztą byli już w willi, do której zaprosił ich Max. Nie miała okazji opowiedzieć swojej przyjaciółce o całej tej historii i czuła się nie w porządku, zdając sobie sprawę, że wciągnie ją niebawem jeszcze bardziej w to całe szaleństwo. Powiedziała mianowicie Maxowi, że nie wprowadzi się do willi bez przyzwolitki. Zupełnie nie wiedziała, jak to wszystko zdoła jej wyjaśnić.

Teraz przyglądała się zatroskana spalonemu słońcem wiejskiemu krajobrazowi Alabamy. Max po przyjacielsku klepnął ją w ramię. Nawet tak niewinny fizyczny kontakt podziałał na nią jak porażenie prądem.

– Przestań się martwić o małego – powiedział burkliwie. – On tam się świetnie bawi w tym wielkim domu.

– Ostatnio zbyt często pozostawiam go samego – wyznała.

– Nie zorientuje się nawet, że cię nie ma. – Poczwała na szyi jego oddech.

Dlaczego stale tak silnie reaguję na niego fizycznie – zastanawiała się zirytowana. Żaden mężczyzna dotąd tak na nią nie oddziaływał. Nawet jej mąż.

Mąż. Za chwilę właśnie Max Dunne będzie jej mężem.

Wielebny Tęcza Miłopokoju miał na sobie ogrodniczki, a poza tym był boso i bez koszuli. Zdobiły go długie, siwiejące włosy i broda, która spadała mu aż na piersi. Był wysoki, kościsty, a z oczu wyzierał mu obłąd.

Nalegał, by ceremonia zaślubin odbyła się na polu arbuzów, wyrażając nadzieję, że rośliny te, będące symbolem płodności, będą miały dobroczynny wpływ na ich związek. Max, słysząc to, zachichotał bezczelnie, a Lindsey się zarumieniła.

Wielebny stał przed nimi na polu i paluchami bosych stóp rozgrzebywał w piachu dziurki – po to zapewne, by mieć lepszy kontakt z ziemią. Bełkotał pod nosem coś zupełnie niezrozumiałego, niczym magiczne zaklęcia. Wielka, łaciata świnia, która przywędrowała skądś kołyszając się w biodrach, zatrzymała się na skraju pola i przyglądała się im z zainteresowaniem.

Nareszcie Tęcza Miłopokoju raczył skierować na nich swój wzrok, pozornie oteściały, tak jednak przenikliwy, że Lindsey przeszedł dreszcz.

– Czyńcie więc swoją powinność. Niechaj pocałunek nowo zaślubionych przypieczętuje ten związek.

Lindsey próbowała zaoponować i cofnąć się, ale z jakiegoś powodu głos uwiązł jej w gardle, a silne ramię Maxa uwięziło ją w uścisku.

– Słyszałaś, co ten człowiek powiedział? – Max nachylił się i przywarł ustami do jej ust.

Ten pocałunek powinien być żartem, jak cała reszta. Ale nie był. Poczowała jego wargi – gorące, zaborcze i śmiałe. Całował ją tak żarliwie, jakby potrafił na ten krótki moment skoncentrować energię prażącego słońca Alabamy. Upoił ją zapach wiciokrzewu i dojrzewających pól. Uścisk ramion Maxa był pewny, mocny, ale również jakby opiekuńczy. Czowała, że ten potężnie umięśniony mężczyzna zmusza ją, by przywarła do niego, a jednocześnie temperuje swą siłę na tyle, by nie sprawić jej bólu.

Nie potrafiła powstrzymać westchnienia rozkoszy, co sprawiło, że zaczął całować ją jeszcze bardziej zaborczo. I nagle wydało jej się, że on również nie do końca potrafił stłumić radosne westchnienie.

Wielebny Tęcza chrząknął znacząco raz czy dwa i, najwyraźniej zniecierpliwiony, przerwał im:

– No... teraz pieniądze.

– Słyszałaś, pani Dunne? – szepnął Max z ustami tuż przy jej ustach. – Czas płacić. Wygląda na to, że wszystko na tym świecie ma swoją cenę.

Przywołało ją to do rzeczywistości. Słowa „pani Dunne”, wypowiedziane schrypniętym, szyderczym głosem Maxa, podziały na nią jak kubek zimnej wody. Przerazona, zamrugła bezradnie powiekami. Przyglądał się jej z tym swoim cwany, protekcyjnym uśmiechem. W nagłym przypiływie niechęci pomyślała, że nie ukrywa on zadowolenia z tego, co się przed chwilą zdarzyło: pocałował ją, a jej to sprawiło przyjemność. Przez chwilę udało mu się – nie wiadomo, w jaki sposób – oczarować ją tak, jak oczarował poprzednio jej synka, a nawet kota.

Puścił ją i wyciągnął z kieszeni portfel, wyjął z niego studolarowy banknot i położył go na wyciągniętej ręce Wielebnego. Zwrócił się następnie w stronę Cordwainera, który zwięzonymi oczami wpatrywał się nieprzerwanie w świnie.

– Drogi świadku! Mam nadzieję, że widziałeś wszystko.

– Praktycznie nic nie widziałem – odparł Cordwainer, nie odrywając wzroku od świni. – Cały czas patrzyłem na to bydlę. Najbardziej skażone złem oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać. Coś absolutnie niesamowitego.

Wielebny Tęcza podrapał się pod gołą pachą i spojrział na świnie, a potem na Cordwainera.

– Mogliście spotkać się w swych poprzednich wcieleniach – zauważył.

– Kto wie... – mruknął pisarz. Max musiał go prawie odciągnąć, a i tak kiedy szli w kierunku samochodu, zerkał on co chwila przez ramię na świnie, która pozostała z tyłu.

Max niósł pod pachą arbut – prezent ślubny od Wielebnego.

– Może byś nam złożył wreszcie gratulacje – zagadnął Cordwainera.

– Z jakiego powodu? – Pisarz sprawiał wrażenie zdumionego.

– Z powodu zawarcia przez nas małżeństwa.

– Małżeństwo nie jest powodem do gratulacji – odrzekł ziewając Cordwainer. – Jest powodem do rozwodu.

Zatrzymali się w Dothan jedynie po to, aby wysłać teleks z odpisem aktu ślubu do hotelu w Nowym Jorku, w którym przebywał aktualnie Habib.

– Świetnie! – oznajmił Max. – Powinno to przekonać staruszkę.

Lindsey była oburzona cynizmem i absurdalnością tego wszystkiego. Dała się zawlec do Alabamy – robiła sobie w myślach wyrzuty – po to, by zawrzeć ślub na polu arbutów. Kapłanem był stary hippis, a jedyny świadek podczas ceremonii zaślubin wdawał się w pojedynek wzrokowy ze świnie. A wszystko to dlatego, że jakiś Fergus Habib wierzy w to, że gwiazdy kierują naszym życiem. Moje gratulacje, pani Dunne! Witamy w domu wariatów!

Zaraz po powrocie odbyła trudną rozmowę z Naomi. Wyjaśniła jej wszystko i ubłagała, by ta zechciała przeprowadzić się z nią do willi. Na bliżej nie określony czas, w charakterze przyzwoitki.

– Rozumiem, że nie wydaje ci się to wszystko zabawne – zakończyła rozmowę Naomi i objęła ją ramieniem, starając się uspokoić. – Ale cóż innego nam pozostało? Musimy się śmiać! Ktoś mądry kiedyś powiedział, że tylko śmiech uchronić nas może przed tym, by nie zwariować.

– Ja się nie potrafię śmiać – oświadczyła pośepnie Lindsey. – Ja już chyba zwariowałam.

Naomi powiodła wzrokiem po bogatym wnętrzu willi i wzruszyła bezradnie ramionami.

– No cóż, kochanie. Ale przynajmniej zrobiłaś to w dużym stylu.

Przez resztę popołudnia obie kobiety pomagały sobie nawzajem pakować rzeczy. Todd był tak podekscytowany, że nie sposób było go namówić na popołudniową drzemkę. W pewnym momencie, ku zdumieniu Lindsey, uczepił się nogawki jej szortów i zapytał:

– Czy jutro będzie czarodziejski ranek?

Przestała się na chwilę pakować i podniosła na niego oczy.

– Kto wie? Może będzie. Ale nie potrafię ci obiecać.

Todd postawił kota na podłodze i ziewnął. Tarł piąstkami oczy. Wieczorem będzie nieprzytomny ze zmęczenia, pomyślała Lindsey. Może to i dobrze, bo łatwiej mu będzie usnąć w nie swoim łóżku.

Właśnie – zreflektowała się – przecież i ona będzie musiała usnąć w nie swoim łóżku. Pod tym samym dachem co Max Dunne.

– Max powiedział, że może będziemy mieli delfinowy dzień – odezwał się Todd, tłumiąc ziewanie.

– Delfinowy dzień? A co to takiego?

Todd spojrział na nią tak, jakby jej ignorancja go rozczarowała.

– Dzień z delfinem – wyjaśnił z naciskiem.

– Zobaczymy – zrobiła unik Lindsey. Nie miała pojęcia, co ten Max znowu wymyślił.

Mały zaczął chodzić w kółko po brzegu plecionego dywanika.

– Czarodziejskie ranki, delfinowe dni! – podśpiewywał sobie pod nosem. – Czarodziejskie ranki, delfinowe dni...

Lindsey i Naomi wymieniły między sobą znaczące spojrzenia. Todd

najnormalniej w świecie mówił. Jak to możliwe, żeby taki renegat, jak Max Dunne, miał na niego tak dobroczynny wpływ?

– Moja sąsiadka, pani Feeney – powiedziała półgłosem Naomi – ma takie swoje powiedzenie: „Tajemnicze są drogi, jakimi niebiosa czynią swe cuda”.

Lindsey zagryzła wargi i pokręciła głową. Niebiosy miałyby posłużyć się kimś takim jak Max Dunne? Wykluczone! Ten człowiek ma w sobie zbyt wiele z diabła, by nadawać się na ich podwykonawcę.

Wieczorem Todd nie chciał pójść spać. Zawsze był grzecznym, posłusznym dzieckiem, ale zmęczenie i podekscytowanie sprawiło, że stał się niemal nieznośny. Lindsey udało się wreszcie zapakować małego do łóżka. Próbowwała namówić go, by zamknął oczy i leżał spokojnie – tak, aby mogła mu coś poczytać przed snem – ale Todd wiercił się i siadał bez przerwy. Był tak niespokojny, że Bożo wyniósł się z jego łóżka i poszedł spać na atłasowy fotel.

– Połóż się, Todd. – Wydało jej się, że powtarza to po raz setny. – Będę spała tuż koło ciebie. – Wskazała na stojące obok bliźniacze łóżko. – Zupełnie tak, jakbyśmy nadal byli w naszym domku.

Powiodła niechętnym spojrzeniem po wnętrzu. Niestety, podobnie jak cały pałac uciech Dunne'a, ten pokój w niczym nie przypominał ich domku. Zbyt wiele rzeczy mogło w nim kusić i rozpraszać małego. W kącie stał wielki kolorowy telewizor, a oszklone drzwi otwierały się na taras z widokiem na morze. Na szafce stał magnetofon, a na półkach pełno było kaset.

Lekki powiew bryzy poruszał firanki z jedwabiu w kolorze morskiej zieleni. Atłasowe kapy na łóżkach miały ten sam kolor. Ściany zaś obite były szarozielonym jedwabiem o pastelowym odcieniu, z dyskretnym wzorem srebrnych antycznych muszelek.

Ktoś cicho otworzył drzwi do sypialni. Spojrzała przez ramię i gdy zobaczyła Maxa, wstrzymała oddech. Był boso i miał na sobie znowu te same stare szorty i inną tym razem, ale nie mniej paskudną koszulkę. Z kiczowatego nadruku wyzierały ukryte w gęstych trawach zebry.

Włosy miał potargane wiatrem, jakby przyszedł prosto z plaży. W rękę trzymał gitarę. Lindsey wzdrygnęła się: ilekroć się zjawiał, w powietrzu zdawało się wisieć coś nieprzewidywalnego.

Nie pasował do tego swojego domu, do pastelowego wystroju wnętrza w jedwabiach i atłasach. Był zbyt spalony słońcem, zbyt męski.

Ignorując Lindsey, zwrócił się wprost do Todda. Zmrużył jedno oko jak pirat i

w komicznie groźny sposób wykrzywił twarz.

– Co to ma znaczyć? Bunt? Kładź się spać, chłopcze okrętowy, bo inaczej czeka cię spacer po desce. Nad kadzią z bananowym budyniem. To straszna śmierć utonąć w bananowym budyniu.

Mały zachichotał, ale położył się posłusznie. Max wykrzywił się jeszcze straszniej.

– Co to ma znaczyć? Oczy ciągle otwarte? Natychmiast je zamykaj, łotrzyku! Opowiem ci historię o przygodach twojego kota. A jak będziesz nieposłuszny, nie usłyszysz jej nigdy i utopię cię w budyniu jak szczura.

Todd zamknął oczy i znowu zachichotał. Max podsunął sobie krzesło. Usiadł przy łóżku tak blisko Lindsey, że otarł się łokciem o jej łokieć.

I tym razem również kontakt z nim podziałał na nią niezrozumiale silnie. Ale on zdawał się jej nie dostrzegać. Stroił gitarę.

– To będzie ballada o kocie Bożo – powiedział, uderzając pierwszy akord. Zaczął śpiewać. Głos miał ochrypły, szorstki, a jednocześnie głęboki i w jakimś sensie przyjemny.

*Mały Todd miał raz kota, co nazywał się Bożo
I go lubił nadzwyczaj, lecz kot zniknął, o zgrozo!
Czy się wybrał na spacer, gdzieś się zgubił, zatracił?
Czy go może porwali jacyś straszni piraci?
Lub – kto wie – kiedy siedział i drapał się w ucho
Mógł wpaść w ręce kosmitów i odlecieć na UFO.
Nikt się nigdy nie dowie – czasem tak to już jest –
Czemu kot nagle znalazł się w dalekim Key West.*

Głos Maxa stał się nagle miękki, a gitarowe akordy usypiająco monotonne:

*Zwiedzał stare uliczki, szukał sobie piwniczki...
Szedł ulicą Palmową, potem skręcił w Portową
Szedł ulicą Różaną, potem dalej Maślaną
(Coraz bardziej bolały go łapki)
Szedł ulicą Johnsona, znalazł plac Waszyngtona
Skręcił w dół na uliczkę Nadbrzeżną...*

W momencie gdy Max doprowadził kota na Billy Goat Lane, Todd zasnął z

blógiem uśmiechem na twarzy. Max odłożył gitarę i spojrział na Lindsey.

– Dzięki Bogu. Już mi się ulice kończyły.

– Dzięki tobie – wyszeptała Lindsey. Wypełniały ją sprzeczne emocje.

Jego chmurne, niebieskie oczy pociemniały nagle.

– Nie wyglądasz na specjalnie wdzięczną.

Wstała i otuliła Todda prześcieradłem, a następnie odwróciła się od łóżka i od Maxa. Podeszła do oszklonych drzwi i uchyliła je. Delikatna, słona bryza rozwiała jej włosy.

– Życie jest tu trochę zbyt bogate – odezwała się, nadal odwrócona tyłem do Maxa. – Todd potrzebuje spokoju. Bezpieczeństwa. Wszystko dookoła go fascynuje i męczy zarazem.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina? – spytał po chwili milczenia.

– Tak. To twoja wina. – Wpatrywała się w ciemność.

– Ale w końcu to ja go uśpiłem.

– Owszem. Bardzo to było sprytne – odparła lodowatym głosem – i niemal się tym wzruszyłam. Ale na szczęście przypomniałam sobie, że to przez ciebie w końcu nie mógł zasnąć. Jak już mówiłam: twoje życie jest zbyt barwne i niespokojne.

– A może twoje jest zbyt szare i monotonne?

– Być może takiego właśnie oboje potrzebujemy. Ja i mój mały. Dziękuję za serenadę. I dobranoc. Ten dzień również i dla mnie był zbyt długi.

Aby podkreślić, że ma go dość, wyszła na taras i skrzyżowała ręce na piersiach. Wciąż wpatrywała się w spowity mrokiem ocean. W słabym świetle gwiazd błyszcząły jedynie srebrzyste koronki pian.

Oczekiwała, że Max, otrzymawszy stosowną odprawę, pójdzie sobie wreszcie. Usłyszała, jak wstał i zgasił światło, lecz zamiast oddalić się, wszedł na taras i zamknął za sobą drzwi.

– Zostaw drzwi otwarte. – Odwróciła się ku niemu usłyszawszy szcęk zamka.

– Nie chcę wypuścić kota. A poza tym musimy porozmawiać.

– Możemy porozmawiać jutro.

– Za trzy dni musimy sprawiać wrażenie małżeństwa. Proponuję więc porozmawiać.

– Możemy z tym poczekać.

– Nie. Musimy nawiązać bardziej intymny kontakt. Mamy przecież wyglądać tak, jakbyśmy... przepraszam za wyrażenie... byli zakochani.

Mocniej przycisnęła do siebie skrzyżowane ręce i ponownie zwróciła wzrok ku

morzu.

– Zakochani! – prychnęła z wyraźną niechęcią.

Przyglądała się białym grzbietom obmywających wybrzeże fal. Z lewej strony willi wychodził w morze stary, zniszczony falochron. Światło stojących na nim żółtych latarni odbijało się w ciemnym morzu.

– A jak? . Zakochani – powtórzył tonem jeszcze bardziej szyderczym niż ona.

– Będzie to wymagało nie lada aktorstwa. – Spojrzała na kilka ledwie widocznych gwiazd.

– Ze strony nas obojga.

– Ty lepiej sobie z tym radzisz. Taka zabawa w kotka i myszkę z prawdą najwyraźniej cię cieszy.

Stanął obok niej. Nie widziała go, ale czuła jego obecność. Tak jakby wysyłał coś w rodzaju sygnałów radarowych, które mimowolnie odbierała. Wydało jej się to trochę niesamowite. Zadrżała lekko.

– **Zimno** ci?

– **Nie.**

– Denerwujesz się?

– Pewnie, że się denerwuję. Nie robiłam nigdy czegoś podobnego. I gdyby nie ten kot, nigdy bym w czymś takim nie brała udziału. Na samą myśl o tym robi mi się słabo.

– Może będzie tak jak w pewnej bajce. – Roześmiał się. – Zbierzesz w sobie siły nadludzkie. Bowiem twoje serce jest czyste.

– W przeciwieństwie do twojego – dodała lodowatym tonem.

– W przeciwieństwie do mojego. Jeśli twój nieżyjący mąż miał serce równie czyste jak ty, to trudno sobie wyobrazić, skąd się to dziecko wzięło na świecie.

Lindsey zeszywniała, ale nie odpowiedziała ani słowa.

– Rozumiem. Nie chcesz kłaść jego pamięci, opowiadając o nim komuś takiemu jak ja. Ale przecież do reszty zły nie jestem. – Nieoczekiwanym gestem ujął jej lewą dłoń i uniósł ją w górę, wskazując na ślubną obrączkę. – Nie zaobrączkowałem cię i nie zmuszałem do tego, abyś to zdjęła.

– No tak. Przynajmniej tego nie zrobiłeś – przyznała bez emocji. Cofnęła rękę i schowała ją w kieszeni szortów. Zacisnęła pięść, próbując opanować to dziwne pobudzenie, jakie wywoływał w niej każdy jego dotyk.

– Opowiesz mi o tym wypadku? – spytał. – Czy mam zmyślać coś na ten temat dla dobra Habiba?

Ponownie zaczęła się wpatrywać w czarny bezmiar oceanu.

– Niewiele jest do opowiedzenia. Mieszkaliśmy w Minneapolis. Był listopad. Mój mąż, Jerry, wracał z Toddem do domu po zrobieniu zakupów. Dzień przed moimi urodzinami. Padał śnieg. Masa śniegu. Wóz poślizgnął się na paśmie lodu. Jerry stracił kontrolę nad kierownicą. Uderzyli w betonowe przesłono mostu. Jerry zginął na miejscu. – Przygryzła mocno dolną wargę. – Todd był ranny, ale przytomny. To było... dla niego straszne.

– Przykro mi – powiedział po chwili milczenia.

Miała powyżej uszu tych nic nie znaczących grzecznościowych formułek, których tyle razy wysłuchiwała. Denerwował ją Max, który sprawiał, że czuła to, czego nie chciała odczuwać, przypominała sobie to, o czym wolałaby zapomnieć.

– Jest ci przykro – odparła z nie ukrywanym sarkazmem. – Jakże miło z twojej strony, że mi to powiedziałeś.

– No bo naprawdę mi przykro, do cholery! – tłumaczył się ze złością. – Przecież rozumiem, co ten dzieciak przeżył. Nie przyszło ci do głowy, żeby zaprowadzić go po tym wszystkim do psychologa czy jakiegoś innego specjalisty?

– Oczywiście, że chodziłam z nim do różnych specjalistów. – Odwróciła się i uniosła na niego oczy. – Najmądrzejszy z nich poradził, że najlepszym lekarzem jest czas. I zasugerował, żeby zmienić małemu otoczenie. Todd bał się śniegu. Panicznie bał się śniegu.

– I dlatego tu przyjechałaś?

– Ja też nie chciałam już nigdy oglądać śniegu. Mały poprzednio bardzo lubił przebywać nad wodą. Nadal jeszcze zabieram go raz w tygodniu do pani psycholog w Miami. I ona mówi to samo. Trzeba czekać. Czas wszystko zaleczy.

Max patrzył w niebo. Wiatr się wzmógł. Rozwiewał mu włosy i opinał koszulę na torsie.

– A co z tobą? Ile czasu minie, abyś ty doszła po tym do siebie?

Spojrzała na odległą plażę, na której majaczył w mroku ich domek, ciemny i opuszczony.

– Po tym, co stało się z Toddem? Kiedy widzę smutek w jego oczach, nadal czasami...

– Nie o to mi chodzi. Każdy głupi widzi, jak bardzo jesteś związana z tym dzieckiem. Ile czasu minie, zanim dojdiesz do siebie po stracie męża?

Wcisnęła głębiej rękę w kieszenie i mocniej zacisnęła pięści.

– Będę szczerą, panie Dunne. Straciłam męża znacznie wcześniej, niż uległ on wypadkowi.

Wpatrywał się w nią ze zmarszczonym czołem, nic nie rozumiejąc.

– Zanim uległ wypadkowi?

Wyprostowała się. Teraz jej głos zabrzmiał szyderczo.

– To był mężczyzna podobny do ciebie. Małżeństwo uważał za żart, a wierność za najśmieszniejszy dowcip, nie wiadomo kiedy i przez kogo wymyślony. No i... obowiązki wynikające z ojcostwa wydawały mu się...

– Chcesz powiedzieć...

– Chcę powiedzieć – przerwała mu – że nie traktował ani małżeństwa, ani ojcostwa poważnie. No... raz na jakiś czas zdobywał się na jakąś drobnostkę, mającą świadczyć o tym, że się jednak przejmuje. Ta ostatnia wyprawa z Toddem na zakupy należała do tych rzadkich demonstracji. – Przechyliła się przez poręcz tarasu i patrzyła w dół na plażę i na ciemne fale. – Ironia losu, prawda? Chciał dla odmiany zrobić coś przyzwoitego i to go zabiło. I omal nie zabiło mojego syna.

– Boże drogi, Lindsey – powiedział miękko Max. – To dlaczego ty od niego nie odeszłaś?

– Właśnie miałam zamiar odejść. Chciałam tylko jeszcze doczekać do świąt. Żeby nie psuć małemu gwiazdki. Ale ta zamieć śnieżna wszystko wcześniej za mnie załatwiła.

Stał za nią i wpatrywał się w jej plecy. Ramiona miała napięte, a dłonie zaciśnięte mocno na poręczy. Był pewien, że ostatkiem sił próbuje nad sobą zapanować i świadomość tego sprawiła, że odczuł nieprzyjemny, mdlący ucisk w dołku.

– Lindsey? Czy ty płaczesz? – spytał po chwili.

– Nie – odpowiedziała obcym, zduszonym głosem. Wiedział, że skłamała.

Chciał zbliżyć się do niej, objąć ją i pocieszyć jakoś, ale nie zrobił tego. Zbyt często wzdrygała się, gdy ją dotykał. Nie był przyzwyczajony do tego. Jej niechęć sprawiała, że stawał się drażliwy i niespokojny.

Zbliżył się jednak do niej na tyle blisko, by móc mówić do jej ucha. Wiatr poruszał kosmyki jej włosów, które łaskotały mu wargi.

– No to po co ciągle nosisz tę obrączkę? – spytał cicho.

– Aby nie zapomnieć.

– Nie zapomnieć o czym?

– O tym, żeby się nigdy więcej nie zakochać – odparła z goryczą w głosie. – Dobrze na tym nie wychodzę. I męczy mnie ta rozmowa. Odejdź, proszę. Chcę wreszcie zostać sama.

Wiatr nadal rozwiewał jej włosy. Poczul na policzku ich jedwabisty dotyk i znowu z trudem opanował się, by jej nie dotknąć.

– Dobrze – szepnął. Poczł zapach jej perfum. Przypominały dziko rosnące kwiaty. – Zostawiam cię samą. Na razie.

Obróciła się, by powiedzieć mu chłodne „dobranoc”, ale wyraz jego twarzy powstrzymał ją od tego. Przyglądał się jej długo, aż wreszcie w kątku jego ust dostrzegła znajomy, szyderczy grymas. Z tyłu, za nimi dobiegał stłumiony pomruk oceanu. W ogrodzie odezwały się świerszcze. Max wzruszył ramionami.

– Dobranoc... pani Dunne. – Jego głos zabrzmiał niezwykle sarkastycznie.

Odwrócił się i odszedł. Lindsey stała samotna, wpatrując się w bezkresny, pusty ocean.

Rozdział 6

Siedzieli na patio i byli już po śniadaniu.

– Nie! Nie! Nie chcę już słuchać o tych wszystkich uliczkach – zaśmiewał się Todd i zatykał sobie dłońmi uszy. – Zaśpiewaj mi coś innego.

Max był jak zwykle boso i miał na sobie zniszczone szorty i rozpiętą hawajską koszulę, tym razem z okropnym malunkiem małp huśtających się na gałęziach palm. Siedział po turecku i dostrajał gitarę. Poranne słońce podświetlało jego włosy.

– Jak nie chcesz o kocie, to zaśpiewam ci o rybie podobnej do kota – burknął i zagrał kilka akordów.

*Ryba zębacz ma wąsy jak kotek
Ale nie ma paluszków u nóg
Nie potrafi przeskoczyć przez plotek
Ani nawet przeskoczyć przez próg...*

Todd chichotał. Bożo, zwinięty w kłębek na kolanach chłopca, ziewał i mrużył ślepią. Pachniały kwiaty. Tuż za ogrodem rozciągała się plaża i błękitnozielony, roziskrzony słońcem ocean. Ten nowy, bajeczny świat wydawał się Lindsey nierealny i dlatego nadal nieustannie była napięta i miała się na baczności.

Spała przy otwartych oknach i obudziwszy się rano poczuła cudowny aromat świeżo parzonej kawy. Z różnych stron dochodził stłumiony, buczący warkot: ktoś odkurzał pokoje, ktoś inny w ogrodzie strzygł elektrycznym sekatorem żywopłot.

A teraz Todd siedział u stóp Maxa i wpatrywał się w niego jak urzeczony. Towarzyszyła im Naomi, którą Max zdążył już również oczarować. Obie kobiety wymieniły spojrzenia. Właściwie był to rodzaj niemego dialogu.

Todd jest nim zachwycony – komunikowała jej wzrokiem przyjaciółka. – Taki właśnie mężczyzna potrzebny jest chłopcu. Skalkuluj to.

Może sobie nim być zachwycony, ale ja jestem ulepiona z twardszej gliny – odpowiadała lodowatym spojrzeniem Lindsey.

Max skończył śpiewać i odłożył gitarę.

– Dość tych piosenek. Twojej mamie zaczynają wędznąć uszy.

Mały chichotał. Kot ziewał i przeciągał się w słońcu.

– Świetnie pan śpiewa, panie Dunne. – Naomi kokieteryjnym gestem

obciągnęła nogaweczki szortów.

– Ma pan niezwykle głos.

Naomi! Ty chociaż mnie nie zdradzaj – pomyślała zrozpaczona Lindsey.

– Czy to jest czarodziejski ranek? – spytał Todd.

– Nie wiem. – Max uniósł pytająco brwi. – A ty jak myślisz?

– Ja myślę, że jest.

– Hmm. – Max wyduł wargi i pokręcił głową.

– Myłeś dziś uszy?

Todd pobladł. Najwyraźniej nie mógł pojąć, jaki ma związek mycie uszu z czarodziejskim rankiem.

– Myłem – bąknął.

– Hmm – chrząknął ponownie Max i pochylił się nad chłopcem. – Pokaż no to ucho. Ej, chłopie! Chyba go dokładnie nie umyłeś. Masz tam masę różnych rzeczy.

Wyciągnął mu z ucha pączek żółtej róży, potem czerwoną różyczkę, różową cynię, a wreszcie muchomora. To ostatnie znalezisko tak rozbawiło małego, że zaczął wic się ze śmiechu. Tarzał się po kamiennej posadzce patio i trzymał za brzuch. Zdegustowany Bożo wstał i odszedł na stronę.

Naomi śmiała się także. Lindsey też już miała się roześmiać, ale w ostatniej chwili odwróciła głowę i spojrzała na morze.

– Wstań z tych kamieni, Todd – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Ubrudzisz sobie koszulę.

– Przestań rechotać, bo się zamienisz w ropuchę – odezwał się Max. – Może byś dał te kwiaty pani Feldman? Bardzo pasują do jej ślicznej bluzki.

Todd nie był ryzykantem. Perspektywa przemiany w ropuchę wyraźnie nie przypadła mu do gustu. Wstał posłusznie i wręczył kwiaty Naomi.

– Śliczne dla ślicznej – skomentował kurtuazyjnie Max.

Lindsey próbowała spiorunować go wzrokiem, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

– Mam jeszcze coś w uchu? – nie dawał za wygraną mały.

Max udał, że bada ten problem z rzetelnością laryngologa.

– W uchu widzę już tylko ucho – wyduł ostateczną diagnozę.

Todd oparł się łokciami o jego kolana i patrzył na niego, nie tracąc najwyraźniej nadziei.

– A czy po cudownym ranku będzie delfinowy dzień?

– spytał.

– Niestety. Niedziela nigdy nie jest delfinowym dniem. A czy ty jesteś pewien,

że wszyscy aby zostali nakarmieni?

– Ja zjadłem śniadanie, ty zjadłeś, Naomi i mama zjadły, Bożo...

Max przerwał mu wyliczankę, wskazując wzrokiem na unoszącego się nisko nad wodą pelikana.

Mały przestał się uśmiechać. Z zatroskaną twarzą zwrócił się z niemym pytaniem ku Lindsey.

– Zapomnieliśmy o Moochu – powiedziała cicho. Todd karmił go codziennie i rozpieszczony stary kaleka błądzi teraz zapewne wokół opuszczonego domku, niecierpliwie czekając na swe śniadanie. – Nie mamy sardynek – oznajmiła bezradnie. Wściekła była na siebie, że o tym zapomniała.

– Ja pójdę z Toddem po sardynki. I tak muszę zabrać z domku szydełko – zaofiarowała się Naomi.

– Pozwólcie, że ja będę fundatorem. – Max wyjął z kieszeni koszuli pięćdziesięciodolarowy banknot.

– Zróbcie duże zapasy, żeby Toddowi nie zabrakło ryb. Tak to jest, jak się ma przyjaciela w biedzie. Trzeba mu pomagać, prawda, stary?

Klepnął Todda po ramieniu i popchnął go w kierunku Naomi, a potem zwrócił się do Lindsey:

– Przejdziemy się po plaży? Musimy omówić parę rzeczy. – Lindsey wzruszyła ostentacyjnie ramionami. Max odczekał chwilę, a gdy Naomi i Todd oddalili się, powitał ją tak, jakby pierwszy raz ją widział tego dnia.

– Dzień dobry, pani Dunne. Jest pani znacznie piękniejsza, gdy nie zgrzyta pani zębami.

– Postępuj tak, abym nie musiała nimi zgrzytać.

– A co ja znowu złego zrobiłem?

– Ha!

– No chodźmy! – Podniósł się i wskazał plażę. – Może piękno natury zneutralizuje twoje wrogie uczucia. I pozwól, poprawię ci tę wstążkę.

– Sama umiem to zrobić. – Lindsey próbowała niezdarnie zawiązać z tyłu głowy opaskę podtrzymującą jej włosy.

– Najwyraźniej nie umiesz. – Stał za nią. Poczwała, jak muska palcami jej kark i przeszedł ją dreszcz. – Nie zapominaj, że jestem żeglarzem. Węzły to moja specjalność. Stój spokojnie.

– Twoja specjalność to hochsztaplerskie sztuczki – rzuciła przez ramię. Stała jednak spokojnie, pragnąc, aby zrobił to możliwie szybko. Jego bliskość niepokoiła ją. Klepnął ją serdecznie w plecy, jakby była jego kumplem i powiedział:

– Gotowe. Związałem cię wspaniałymi węzłami.

Rzeczywiście to zrobiłeś – pomyślała ponuro.

– I może byś zdjęła te buty. Zniszczysz je sobie. I podwiń nogawki. Więcej luzu, lady. Nie bądź taka spięta.

– Ty masz dosyć luzu. Wystarczy za nas dwoje.

Roześmiała się, co znowu ją zezłościło, ale wiedziała, że ma rację. Oparła prawą stopę o kamienną ławkę, rozpięła sandał i zaczęła podwijać nogawkę.

– Przestań się gapić. I nie śmieć się głupio.

– Myślisz, że widok nagiej kostki może we mnie wzbudzić żądzę? – kpił, oparłszy się wygodnie o palmę. – Tęsknisz za epoką wiktoriańską?

Wzruszyła ramionami i zdjęła drugi sandał.

– A sam mógłbyś się ubierać nieco przyzwoiciej. Mam nadzieję, że masz przygotowaną jakąś garderobę na przyjazd twojego drogiego Habiba.

– A co masz przeciwko mojej garderobie? – zdziwił się.

Potrząsnęła głową i ruszyła wyłożoną kamieniami ścieżką prowadzącą na plażę. Dogonił ją. Jak zwykle, idąc obok niego czuła się niepewnie, tak bardzo górował nad nią wzrostem.

– Po pierwsze, masz stale za mało na sobie tej garderoby.

Spojrzała na jego niemal nagą pierś i po chwili tego pożałowała. Nie była przyzwyczajona do takiej ostentacyjnej ekspozycji męskiej urody.

– Po to jesteśmy na Florydzie, aby nie korzystać z guzików. – Poklepał się z satysfakcją po płaskim, nagim brzuchu. – Jeszcze jakieś pretensje?

– Owszem. Twoje koszule. Wyglądają okropnie. Zapięte i nie zapięte.

– No wiesz! – burknął. – Dajesz dowód swej wyjątkowej ignorancji. To są najprawdziwsze hawajskie koszule. Ze złotego wieku koszuli hawajskiej. To prawdziwy skarb dla kolekcjonera.

– Dla kolekcjonera szmat.

Zatrzymał się i złapał ją za łokieć, tak że również musiała się zatrzymać.

– Język masz dziś ostry jak żmija. A wiesz dlaczego się tak wściekasz? Dlaczego patrzysz na mnie tak, jakbyś chciała wsadzić mi nóż w plecy? Dlatego, że jesteś zazdrosna.

Lindsey zarumieniła się z gniewu.

– Zazdrosna?

– Oczywiście. – Intensywność, z jaką się w nią wpatrywał, przestraszyła ją. Chciała się cofnąć, ale jej na to nie pozwolił. – Jesteś zazdrosna – powtórzył.

– Twoje dziecko lubi mnie i to cię doprowadza do furii.

– To śmieszne! – powiedziała ostro. – Nie lubię po prostu, jak nim manipulujesz.

– Ja go zwyczajnie bawię. Bawiłem niegdyś publiczność, a teraz bawię jego. Czy to jakieś przestępstwo?

Ponownie spróbowała się uwolnić i tym razem puścił ją. Wytarł rękę o nogawkę szortów, tak jakby był niezadowolony, że jej dotykał. Byli już na plaży i szli przed siebie tak szybko, jak tylko Lindsey mogła nadążyć.

– Kilka nędznych sztuczek – mruknęła niechętnie.

– Kilka głupich piosenek i nie kończące się przekupstwo.

– Przekupstwo?

– Owszem. Lody, wideo, gry komputerowe i jakieś delfinowe dni...

– To żadne przekupstwo. Ja tak żyję, do cholery! Sam się tym cieszę. Uwielbiam tak żyć.

– Uwielbiasz oczarowywać sobą innych. Uwielbiasz, jak mały patrzy na ciebie tak, jakbyś był jakimś bóstwem. Mówię ci jeszcze raz: przestań nim manipulować.

– O Boże! Myślałem, że jesteś ponad to. – Wykrzywił się pogardliwie. – Jesteś zaborcza, nadopiekuńcza...

– Stanowczo twierdzę, że taką nie jestem...

– Stanowczo twierdzę... – przedrzeźniał ją. – Jak rozumiem, ten dzieciak powiedział dziś więcej zdań niż przez ostatni rok. Myślałem, że będziesz z tego powodu szczęśliwa. Ale gdzie tam! To do ciebie niepodobne.

– Zaklął i wcisnął ręce w tylne kieszenie szortów.

Lindsey, zaskoczona tymi zarzutami, przyglądała mu się z niepokojem.

– Za problemy rozwojowe tego dziecka sama jesteś po części odpowiedzialna – ciągnął dalej, wojowniczo przekrzywiwszy głowę. – Nie mówi, bo nie musi mówić. Za dobrze go rozumiesz. Spójrzy na ciebie, a ty już wiesz, o co mu chodzi. Ze mną ma inny układ. Podpuszczam go i prowokuję do tego, by mówił. I o to właśnie jesteś zazdrosna.

Lindsey zatrzymała się i patrzyła na niego. Rozchyliła usta, ale nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Stała jak sparaliżowana.

– Przestań mnie piorunować wzrokiem – ostrzegł ją, wyraźnie już rozzłoszczony. – Wczoraj już to podejrzewałem. A dziś dokładnie się temu przyjrzałem. Jak mały coś ode mnie chce, to mnie o to pyta. A ciebie nie musi pytać. Jesteś z nim idealnie zestrojona. Po co ma się niepotrzebnie wysilać? A wobec mnie musi się na taki wysiłek zdobyć.

Lindsey uświadomiła sobie, że jej spojrzenie wyraża nie tylko złość, lecz

również żal i poczucie winy. To, co usłyszała, zaszokowało ją i zabolęło, ale uświadomiła sobie, że ten człowiek ma rację. Rzeczywiście, kochała to dziecko tak, jakby jego umysł był częścią jej umysłu. Zawsze była dumna z tego, że tak doskonale go rozumie. Może zbyt doskonale? Może brak dystansu, ignorancja i pycha rzeczywiście wyrządzają dziecku krzywdę?

Ten Max może i jest wykolejencem i renegatem, ale naprawdę dokonał tego, czego ona nie była w stanie. I zajęło mu to niecały dzień. Udało mu się wyciągnąć chłopca z autystycznego stuporu i sprawić, że mały uśmiecha się, śmieje i paple o byle czym jak najnormalniejsze w świecie dziecko.

Czuła, że łyzy pieką ją w oczy. Odwróciła się od Maxa i przysłoniła usta dłonią. Akurat była to zabandażowana, skaleczona ręka. Pomyślała irracjonalnie, że ilekroć znajdzie się w pobliżu tego człowieka, to zawsze coś ją zrani. A przecież nie może od niego teraz uciec. To nie fair.

– Lindsey? – odezwał się tym swoim szorstkim głosem Max. – O rany! Co ja znowu takiego zrobiłem?

Poczuła, jak jego dłonie, ciepłe i pewne, spoczęły na jej ramionach. Obrócił ją ku sobie. W jego oczach – zwykle roześmianych i wesołych – dostrzegła troskę. Zdumiała ją to. Próbowwała odwrócić od niego wzrok, ale ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz do góry. W chwilę potem objął ją drugą ręką i przyciągnął do siebie. Zdawało się, że ostatnią rzeczą, której pragnęła, było wsparcie się o niego, ale jakoś, sama nie wiedząc dlaczego, pozwoliła się przytulić.

Był wysoki, masywny, silny. I w tym momencie udało mu się stworzyć wrażenie, że można na nim polegać. Szukała jakiegoś azylu, a on jej ten azyl oferował.

Zdała sobie nagle sprawę z tego, jak bardzo jest emocjonalnie wyczerpana. I to nie tylko emocjami kilku ostatnich, burzliwych dni. I nawet nie tym, co przeżyła przez te osiemnaście miesięcy, jakie upłynęły od śmierci Jerry'ego – choć były to okropne miesiące.

Nie – pomyślała, przytulając twarz do tej wstrętnej, nie zapiętej koszuli Maxa. Przez lata żyła zmartwieniami. Nieudane małżeństwo, nieodpowiedzialny mąż, nadwrażliwe dziecko. To wszystko razem ją wyczerpało. Walczyła już tak długo. I tak długo była całkowicie samotna. A teraz poczuła się nagle strasznie, strasznie zmęczona.

Przez lata próbowała być silna, dawać sobie ze wszystkim radę. A teraz na chwilę, na małą chwilę musiała po prostu odpocząć, zgodzić się z tym, że czasem nie starcza jej sił, że czasem nie ma racji i czasem popełnia błędy.

Max przyciągnął ją do siebie bliżej i objął ramionami. Wtulił usta w jej włosy i mruzczał coś w rodzaju „no dobrze, już dobrze”. Chyba nawet ją przeproszał. Nie była pewna. Jego głos był cichy i tłumił go szum morza.

Zdała sobie sprawę z tego, że trzyma się klapy tej jego paskudnej koszuli jak linki koła ratunkowego.

I z tego również, że jej policzek przywarł jakimś sposobem do jego nagiej piersi.

Ciało miał opalone i pachnące kokosowym mydłem. Kędzierzawe włosy łaskotały jej skórę. Jego serce biło coraz mocniej, jak fala nadchodzącego przypływu.

Czuła, jak napięte mięśnie jego ud przywierają do niej coraz bardziej intymnie, ale przede wszystkim świadoma była tego, że w jakiś bardzo opiekuńczy sposób jest przez niego obejmowana.

Przytul mnie – chciała wyszeptać. – Choć na chwilę mnie przytul. Tak dawno nikt mnie nie przytulał.

Bała się jednak wyznać coś takiego i w efekcie nic nie powiedziała. Cóż w końcu robi na prywatnej plaży tego mężczyzny, w jego objęciach, wsparta o niego tak, jakby miał on w sobie siłę, której rozpaczliwie potrzebuje i szuka?

W końcu na tym mu zapewne zależało. Od początku zaplanował sobie, że zanim minie ten dzień, wszystkich ich po kolei uwiedzie: Todda, Naomi i wreszcie ją. Tylko że ją nie w przenośni, ale dosłownie. Fizycznie.

Zmusiła się do tego, by się od niego oderwać. Wypuścił ją z objęć, ale nadal trzymał za ramiona. Patrzył na nią z góry, a czoło między brwiami żłobiła mu głęboka zmarszczka.

– Nie moglibyśmy się tak trochę polubić? – burknął. – Dziura w niebie by się z tego powodu nie stała. Odrobina zabawy to żaden grzech.

– Zabawy... – powtórzyła tępo. – O tym tylko bez przerwy myślisz?

Ich oczy się spotkały. Mięśnie jego twarzy napięły się, a na skroni pulsowała mu żyła. Był zadziwiająco poważny.

– Taa – wycedził. – O tym tylko bez przerwy myślę.

Jeżeli to prawda – pomyślała wyprowadzona z równowagi – to dlaczego patrzy na nią z taką powagą? Co się dzieje w jego głowie wtedy, gdy w chmurnych oczach zapalają się te dziwne, tajemnicze światełka?

Poczuła, że ścisnął ją mocniej za ramiona.

– Tak. Na tym mi najbardziej zależy powtórzył, jakby sam siebie przekonywał. I nagle porwał ją na ręce i pomknął w stronę morza.

– Nie! – krzyknęła przerażona, ale niósł ją tak lekko, jakby nic nie ważyła i pędził jak wariat, aż fale zaczęły się rozpryskiwać o jego kolana.

Przymknęła oczy i przywarła do niego, gdy tylko poczuła pierwsze uderzenie fal.

– Przestań! – protestowała.

– Nie! Nie licz na to. Zabawa jest najważniejsza. Nie puszcę cię dopóty, dopóki nie zaczniesz się śmiać.

Chciała coś powiedzieć, ale fala załamała jej się tuż nad głową. Zachłysnęła się.

– Nie mogę się śmiać, bo się topię – wypluwała z siebie wodę i słowa.

Otrząsnął wodę ze swoich włosów i objął ją mocniej. Oczy lśniły mu jak u szaleńca.

– Nie puszcę cię dopóty, dopóki się nie roześmiejesz. Tobie śmiech jest potrzebny tak samo jak temu dziecku.

Nagle, jak kompletny wariat, zanurkował pod falę nie wypuszczając jej z ramion.

Pluła, wrywała się, wierzgała. Zaklinała, groziła – robiła wszystko, by uciec od tej poniżającej sytuacji, gdy ktoś zanurza ją siłą pod wodę. Jak małe dziecko. Ale w końcu dała za wygraną.

Zaczęła się śmiać.

Wracali przemoczeni w stronę willi i oboje wyglądali jak strachy na wróble. I w takim stanie zjawili się na patio, prawie równocześnie z Toddem i Naomi. Jej przyjaciółka na ich widok rozszerzyła oczy ze zdumienia, a po chwili zmrużyła je znacząco.

Todd spojrział z niemą prośbą w oczach na matkę. Wiedziała oczywiście, o co mu chodzi, ale w ostatniej chwili powstrzymała się od tego, by nie skinąć przyzwalająco głową. Przypomniała sobie słowa Maxa. Uśmiechnęła się do małego, ale nic nie powiedziała.

– Co ty mówisz do mamy? – spytał Max. – Kiedy tak na nią patrzysz, to pytasz ją o coś oczami, prawda?

Todd, zawstydzony, odwrócił oczy i uśmiechnął się niepewnie.

– No powiedz, o co ci chodziło – nalegał Max.

Todd podniósł głowę i zaczął im się ponownie przyglądać.

– Kapaliście się w ubraniu? To głupio.

– Widać dziś jest Głupia Niedziela. Chyba tak. Pamiętasz, sam miałeś muchomora w uchu...

Todd zmarszczył nos i ponownie popatrzył na Lindsey. Znowu była pewna, że potrafi czytać w jego myślach. To było oczywiste, ale zdecydowała, że nie będzie za niego mówić.

– A teraz co chciałeś powiedzieć mamie? – Max był nieustępliwy. – Powiedz. Wszyscy chcemy to usłyszeć.

Todd spojrzał na Maxa, potem na Naomi, wreszcie na Lindsey. Spuścił głowę i przyglądał się chwilę kamieniom.

– Wszyscy tutaj możemy się bawić? Prawda? – Jego głos był zmieniony, ale czysty. Czysty i szczęśliwy.

Lindsey zagryzła wargi i zamrugła powiekami. Ale nie z powodu morskiej soli.

– No jasne – upewnił go Max. – Wszyscy się świetnie bawimy.

Todd rysował czubkiem buta kreskę. Uśmiechał się nadal, ale widać było, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

– Max? – odezwał się nieśmiało. – Naomi dostała wszystkie kwiatki z mojego ucha. A mama nic nie dostała?

Max zmarszczył się i wyraźnie się koncentrował.

– Pokaż ucho. Może ci coś tam jeszcze wyrosło. No pewnie! – W rękę trzymał śliczną, żółtą różę.

Wręczył kwiat Lindsey.

– Proszę. Co ty na to?

Todd rozpromienił się. Lindsey przypatrywała się w zdumieniu róży.

Jak on to zrobił? Kwiat był suchy i nie pognieciony, a więc nie mógł go mieć ze sobą przed tą kąpielą. A mogłaby przysiąc, że nie dotknął krzaku róży, gdy wracali. Nawet się do niego nie zbliżył.

Spojrzała na niego niemal z lękiem. Może on naprawdę jest czarodziejem? W jakimś sensie jest nim na pewno. Aż nadto dobrze to czuła.

Rozdział 7

Tę czarowną chwilę zepsuło nagle pojawienie się gospodyni – pani Gristle.

– Panie Dunne – zwróciła się do Maxa. – Odebrałam telefon z Nowego Jorku. Pan Habib nie przyjedzie pojutrze, tak jak to było zaplanowane.

Między brwiami Maxa ukazała się głęboka, podwójna zmarszczka.

– Odwołał swój przyjazd?

Przez moment wyobraźnia Lindsey podsunęła jej nieoczekiwane rozwiązanie: Habib nie przyjedzie i cała ta idiotyczna awantura dobiegnie końca. Ale ku swemu zdumieniu poczuła w tym momencie ból w piersiach, tak jakby wokół jej serca zacisnęła się żelazna obręcz.

– Nie. Przyjeżdża dziś wieczorem.

– Co?! – wrzasnął Max.

– Dziś wieczorem – powtórzyła pani Gristle. – Prosił, by samochód czekał na niego na lotnisku Marathon o dziewiętnastej czterdzieści pięć. – Pani Gristle zrobiła pauzę i wyprostowała się, przybierając sztywną postawę. – I jeszcze jedna sprawa, panie Dunne. Trzeba coś zrobić z tym kotem. Zamknęłam go do pralni, żeby nie łąził po całym domu, ale on wrzeszczy i drapie w drzwi. Mam od tego migrenę. Nie dość, że goście przyjeżdżają niezgodnie z wcześniejszym planem, to do tego wszystkiego muszę się jeszcze użerać z niesfornym kotem. W tej sytuacji nie biorę odpowiedzialności za to, że dom będzie przygotowany do tej wizyty.

– Todd! – odezwał się niebezpiecznie słodkim tonem Max. – Pójdź razem z Naomi na pomoc kotu.

Mały skinął poważnie głową, schwycił Naomi za rękę i pobiegli w głąb domu, by uwolnić kota z aresztu.

– A teraz dwie sprawy, pani Gristle. – Max zmarszczył groźnie czoło. – Jeśli przyjeżdża dziś, ma być przyjęty dziś. I przyjęty jak należy. Rozumiemy się? A co do kota, to ma być on traktowany tak, jak każdy gość. Albo lepiej. A jeżeli pani migreny staną się z tego powodu nie do zniesienia, to... niestety, będziemy musieli się rozstać.

– Coś podobnego! – prychnęła pani Gristle i wycofała się do kuchni.

– Wiedziałem, że źle będę znosił tę całą służbę – burknął Max, gdy drzwi się za nią zamknęły. – Pierwszy raz w życiu mam z tym do czynienia i zaczyna mi to wychodzić bokiem.

Lindsey spojrzała na niego przerażona.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy nie miałaś gospodyni ani ogrodnika? Ta biedna kobieta jest tu z tobą dopiero od dwóch dni?

– Cordwainer przysłał mi ich z jakiejś agencji. Twierdził, że w takim dużym domu nie dam sobie bez nich rady. A tu wygląda na to, że będę musiał toczyć walki zapaśnicze z panią Gristle o to, kto ma kierować tym domem.

– O Boże! – wymamrotała Lindsey, oglądając swoje zapiaszczone stopy i mokre spodnie. – Pani Gristle mnie znienawidzi, jeśli będę się szwendała po domu w takim stanie.

– Poczekaj. Zdażysz się przebrać. Teraz zabieramy się do roboty. – Max wziął ją za rękę i poprowadził do altanki w ogrodzie.

– Gdzie ty mnie znowu ciągniesz? – przestraszyła się.

– Do roboty, pani Dunne – powiedział ponuro.

– Habib za chwilę zapuka do naszych drzwi. A do tego czasu musimy być ze sobą w intymnych stosunkach. Bardzo intymnych. Czeka nas ciężka praca.

Resztę dnia spędzili w altance, wśród palm. Uczyli się pilnie nawzajem swych biografii.

Naomi, rozumiejąc powagę sytuacji, zajęła się Toddem i zadbała o to, aby doniesiono im lunch.

– No dobra – powiedział Max, gryząc kanapkę z krabem – powtórzmy to sobie. Urodziłaś się w St. Cloud, w Minnesocie. Twoja siostra, o dwa lata od ciebie starsza, umarła, gdy miałaś sześć lat. Na imię miała Janie. Zgadza się?

– Zgadza się – przytaknęła ruchem głowy Lindsey. Pamięć miał tak znakomitą, że aż ją to onieśmiałło.

– Twój ojciec był prawnikiem, a matka artystą-grafikiem. Po śmierci twojej siostry zaczęła szukać ukojenia w martini. Rodzice rozeszli się w czasie, gdy poszłaś do college'u. Przeprowadziłaś się do Minneapolis i studiowałaś na Uniwersytecie Stanu Minnesota. Twoim głównym kierunkiem były sztuki piękne, pobocznym zaś – literatura. Dyplom z wyróżnieniem. Poznałaś Jerry'ego McCoya na drugim roku.

Lindsey ponownie przytaknęła i nerwowo pociągnęła łyk lemoniady.

– Zaczęłaś pracować w dziale pocztówkowym firmy Silver Bear. A ten... jak mu tam?

– Jerry – podpowiedziała. To imię ciągle jeszcze wywoływało w niej masę emocji. Zdecydowanie negatywnych.

– Jerry zaczął pracować w firmie rozliczeniowej Swenson, Olson and Gold. Boże drogi, po coś ty wyszła za księgowego? Przecież nie ma chyba na świecie

nudniejszej roboty.

Popatrzyła na niego, oczekując, że zobaczy jego uśmiech, ale wyraz jego twarzy był poważny. Spuściła wzrok. Potrafił spojrzeć na nią tak przenikliwie, że przez chwilę nie była w stanie oddychać.

– On był taki ugrzeczniony – wyszeptała. – Najgrzeczniejszy chłopak, jakiego spotkałam. I wydawał się taki dojrzały. Wszystko w nim wydawało się wprost... perfekcyjne.

– Perfekcyjne... – powtórzył, akcentując to słowo z ironią.

– Skąd miałam wiedzieć? – tłumaczyła się nie wiadomo dlaczego. – Przedtem nigdy nie miałam poważnego romansu. Byłam zbyt nieśmiała. Ubierał się nienagannie, mówił nadzwyczaj poprawnym językiem, miał celujące oceny. Za dobrze się wszystko zapowiadało...

– Mój Boże! – westchnął Max. – Jakże nisko pani upadła, pani Dunne! I to po takich doświadczeniach w małżeństwie!

Lindsey rzuciła mu niechętnie spojrzenie. Grzecznością nie grzeszył. Jeżeli był dojrzały, to potrafił utrzymać to w sekrecie. Ubierał się poniżej wszelkiej krytyki. Albo prawie wcale się nie ubierał. Robiło się gorąco i obawiała się, że lada chwila zdejmie z siebie tę wstrętą koszulę z małpami-akrobatkami.

Niedościgniony był jedynie w tym, że wygadywał stale jakieś okropne rzeczy. Na pewno stopnie miał także okropne, a w dodatku był dumny z tego, że wyrzucali go kolejno z rozmaitych uczelni w Luizjanie, Alabamie i na Florydzie.

Próbowała sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby wdarł się w jej życie jak huragan wtedy, zamiast Jerry'ego. Zaintrygowało ją to, ale po chwili poczuła niepokój i stłumiła te myśli.

– Za dobrze się wszystko zapowiadało – powtórzyła defensywnym tonem. – Nie tylko mnie wydawał się doskonały. Sobie również. Sądził także, że nikt mu się nie potrafi oprzeć i, aby sobie tego dowieść, zaczął wynajdywać kolejne kochanki.

– Dlaczego? Przecież powinnaś mu... wystarczyć. Po co cię oszukiwał? Widać udawał tylko, że tak bardzo wierzy w siebie.

– Oczywiście. A te oszustwa zaczęły się od momentu, gdy okazało się, że Todd ma przyjść na świat. Ojcostwo go przerażało. Wydawało mu się, że czas galopuje, ucieka, życie przechodzi obok niego...

– O rany! – Max ziewnął. – Nie znoszę takich facetów. Po co oni się w ogóle żenią?

– Nie ziewaj, gdy jestem w połowie historii mego życia. To brak ogłady. Myślę, że ożenił się ze mną dlatego, że inaczej nie byłby w stanie zaciągnąć mnie do

łóżka. Byłam ładną dziewczyną.

– No... i to dopiero jest brak ogłady! – Max ziewnął ponownie. – Żenić się z dziewczyną po to, żeby się z nią przespać. Byłaś ładną dziewczyną? A teraz już nią nie jesteś? Wiesz co? Tu można się ugotować. Zdejmę tę koszulę.

Tego się dokładnie obawiała. Zrzucił z siebie koszulę, cisnął ją na bok i rozwalił się na leżaku z westchnieniem ulgi. Promienie słońca, które wpadały przez ażurowe ściany altanki, rzucały mozaikę światła i cieni na jego nagi tors.

Lindsey przełknęła ślinę.

– Nie jestem ładną dziewczyną...

– Dobra, dobra. – Spojrzał na nią z ukosa i uniósł brew.

– Jestem ładną kobietą. – Położyła akcent na ostatnim słowie.

– Poddaję się! To jakieś archaiczne rozróżnienie. – Poklepał się po nagim brzuchu, podłożył sobie ręce pod głowę i zamknął oczy, jak gdyby ten temat znudził go ostatecznie. A do tego jeszcze uśmiechał się do siebie, jakby przypomniawszy mu się jakiś dowcip, którego nie chciał głośno powtórzyć.

– Przestań się drażnić – powiedziała Lindsey. – Mamy pracować.

– No to nie traćmy czasu na wspominki o twoim nieodżałowanej pamięci mężu. Habib powinien usłyszeć, że byliście szczęśliwi, a nie bliscy rozvodu.

Lindsey złapała się na tym, że nie może oderwać oczu od jego przystojnej twarzy. Wiejąca od morza bryza rozwiewała mu włosy. Korzystając z tego, że oczy miał zamknięte, przyglądała się jego ustom. Wydały jej się zmysłowe i cyniczne, a to dziwne połączenie sprawiało, że było w nich coś tajemniczego. Przypomniała sobie dotyk jego warg – zaborczy i żywiołowy. Przecież te usta już ją całowały. Namiętnie, do utraty tchu.

To wspomnienie sprawiło, że poczuła się w jakiś przyjemny sposób ocieślała. Tak, jakby tropikalny upał odurzył ją i otumanił. Widok jego długiego, rozciągniętego leniwie na leżaku ciała, wywoływał w niej myśli i pragnienia, na które nie powinna sobie była pozwalać.

Drgnęła, gdy nagle, nie otwierając oczu, odezwał się:

– Rzeczywiście byś to zrobiła? Rozwiodłabyś się z nim?

Odwróciła od niego wzrok. Poczula nagły przyptyk poczucia winy. Tamten wypadek wstrząsnął nią tak bardzo, że żałowała potem tych myśli o rozwodzie. Czy gdyby Jerry żył, potrafiłaby mu wybaczyć? Może on by się zmienił? Może ona by się zmieniła? Któż to może wiedzieć?

– Sama nie wiem – wyznała. – Wszystko się jakoś powikłało...

– Powikłało... – westchnął i leniwie, od niechcienia zaczął nucić:

*Wieczne komplikacje stale
Ciche dni i gorzkie żale...*

*A tak przecież, kochanie, nie było
Gdzie się też zapodziała nam miłość...*

– Pamiętam tę piosenkę – powiedziała z kwaśnym uśmiechem Lindsey. – Bardzo mi się kiedyś podobała.

– Dziwny zbieg okoliczności. Bo to właśnie ja ją napisałem.

– Ty?

– No właśnie... – Przeciągnął się i ziewnął raz jeszcze. – A więc... co dalej? Będąc w ciąży przestałaś pracować na pełnym etacie, ale nadal współpracowałaś z firmami pocztówkowymi jako niezależna artystka. Todd urodził się siedemnastego września, w czwartek późnym wieczorem. Twoim ulubionym kolorem jest zieleń, ulubioną potrawą – włoska lasagna, zaś ulubionym przysmakiem – czekolada.

– Przyjechałam tu dziewięć miesięcy temu – recytowała teraz Lindsey. – Spotkaliśmy się trzy, przepraszam, cztery miesiące temu, gdy po raz pierwszy przyjechałeś obejrzeć willę. Spacerowałam wtedy... nie, nie... O już wiem! Pomagałam Toddowi budować zamek z piasku.

Zrozpaczona, pokręciła bezradnie głową.

– Nie zapamiętam tego wszystkiego. Nie umiem kłamać. Nic z tego nie wyjdzie. Będziesz musiał powiedzieć Habibowi, że mam zapalenie krtani.

– Upał źle na ciebie wpływa. Chyba będę musiał wrzucić cię do basenu. A przy okazji i siebie.

– Nie! – zaprotestowała. Perspektywa znalezienia się powtórnie w jego ramionach była zbyt ryzykowna. Znadto jej się to poprzednim razem spodobało.

– No to zachowuj się jak należy – powiedział leniwie. Oczy miał nadal zamknięte. – Mój ulubiony kolor, przysmak? Imię mojego pierwszego psa?

– Błękitny, owoce cytrusowe. A pies nazywał się...

– Zut. Okropne bydlę. Był główną przyczyną tego, że stałem się miłośnikiem kotów.

– Tak, tak – kontynuowała Lindsey. – Matka przyuczyła go, żeby nie pozwalał ci uciekać. Pies łapał cię wówczas za majtki...

– Często nie tylko za majtki. Chcesz zobaczyć blizny?

– W żadnym wypadku!

– Pruderyjna jesteś. – Znowu zamknął oczy i wyciągnął się na leżaku. – A teraz mój ulubiony temat: ja sam.

Lindsey opadła na leżak i również zamknęła oczy. Popołudniowy upał dawał jej się we znaki. Czuła się rozleniwiona, a zarazem niespokojna. Próbowła koncentrować się na faktach, a nie na uczuciach.

– Urodziłeś się w Lafayette, w stanie Luizjana. Twoja matka była Cajunką, a ojciec Irlandczykiem.

Rok po twoim urodzeniu rodzice przeprowadzili się do Biloxi, ponieważ twój ojciec tęsknił za morzem.

– To był niespokojny duch ten mój papcio.

– Pływał głównie na małych parowcach-trampach. Ale w domu bywał na tyle często, by spłodzić następnych troje dzieci.

– Szkoda tylko, że nie znalazł czasu, żeby się nimi trochę pozajmować – zauważył bez specjalnego żalu Max.

– Jako uczeń zachowywałeś się skandalicznie...

– Nazwałbym to raczej twórczym buntem przeciwko systemowi, który usiłował złamać moją indywidualność – sprostował.

– Jako piętnastolatek zacząłeś śpiewać przed nocnymi klubami. Do środka cię nie wpuszczali, bo byłeś za młody.

– To były spelunki. Nazywaj rzeczy po imieniu.

– Zacząłeś pisać teksty piosenek mając dwanaście lat. Sam nauczyłeś się grać na gitarze.

– Moja mama dorabiała jako kelnerka, żeby mi kupić tę gitarę. Kochana była ta moja mama. Wspaniała.

– Marzyła o tym, byś ukończył studia.

– Staralem się. – W jego rozleniwiony głos wkradła się nuta poirytowania. – Ale ciągle coś mi stawało na przeszkodzie. Zakładałem coraz to nową kapekę, musiałem ruszać w trasę...

No właśnie, pomyślała zdesperowana. Beznadziejna sprawa. Najbardziej niespokojny duch, jakiego można sobie wyobrazić. Zuchwały, popędliwy, uparty. Istny pędziwiatr. Ale mimo wszystko coraz bardziej jej się zaczynał podobać. A przecież było to czymś złym, szalonym, pozbawionym sensu. Chyba zbyt długie przebywanie na słońcu musiało dać się jej we znaki.

Pomasowała sobie skronie, starając się zwalczyć narastający ból głowy.

– Wyrzucili cię z Uniwersytetu Floryda.

– Nie używaj słowa „wyrzucenie”. Potraktuj to jako ważne doświadczenie na

drodze mojego rozwoju.

– Miałaś więcej takich doświadczeń na drodze swojego rozwoju. Na wielu innych uczelniach – skomentowała cierpko. Z trudem opanowała się, by na niego nie zerknąć. – Biedna była ta twoja mama.

– Miała jeszcze trójkę, która skończyła uczelnie.

– Roześmiał się. – A ja miałem dobrze prosperującą kapelę. I pomagałem finansować ich studia.

Poczuła nagle, jak jego duża dłoń odnajduje jej rękę spoczywającą na bocznym oparciu leżaka. Przestraszyła się i otworzyła oczy.

Spoglądał na nią spod rzęs. Jego oczy miały niemal senny wyraz, a w kąciку ust czaił się uśmiech. Uścisnął jej rękę. Na koniuszkach jego palców dały się wyczuć twarde odciski od gitarowych strun.

– Musisz się do tego przyzwyczaić – powiedział, leniwie rozwlekając słowa. – Mężowie dotykają swych żon. Nie możesz skakać na metr w górę, kiedy się to zdarza.

Wpatrywała się w ich splecione dłonie jak zahipnotyzowana. Przez rękę przechodził jej gorący prąd, spływał wzdłuż kręgosłupa w dół ciała, wywołując ociężałość bioder i słabość w kolanach.

– Nie jesteś moim mężem. – Jej głos był napięty.

– Z formalnego punktu widzenia jestem nim. – Jego dłoń powędrowała wzdłuż jej ręki, spoczęła na ramieniu i zaczęła je delikatnie masować.

– Przestań – zaprotestowała, niemal bez tchu.

– Pozwól. Czuję, jak bardzo jesteś napięta. Przecież mamy wyglądać naturalnie. Rozluźnij się. – Jego palce cierpliwie uciskały usztywnione mięśnie jej ramion.

– Przestań się napinać. Istna kobieta z żelaza. Zdaje się, że to będzie wymagało dłuższej terapii.

Podniósł się ociężale, jak wielki, budzący się ze snu kot i postawił ją na nogi. Powiodł ją w kierunku murku okalającego ogród, usiadł na nim i posadził ją obok siebie tak, że była zwrócona do niego plecami. Po chwili obie jego dłonie spoczęły na jej ramionach i zaczęły je rozcierać, ugniatać i uciskać.

– Przestań – powtórzyła zdenerwowana.

– Ty przestań zwracać uwagę na to, co robię – mruknął.

Akurat! Łatwo powiedzieć – pomyślała ponuro.

– No to dokąd żeśmy dojechali? – odezwał się spoza jej pleców. – Moja pierwsza dobra kapela. Jak się nazywała?

Zamknęła oczy i próbowała wyprzeć ze świadomości to, co z nią robi, ale jego

dotyk coraz bardziej ją rozpraszał.

– Ten zespół nazywał się... „Maximilian i... Marsjanie”.

– „Księżycowe Psy” – poprawił ją. Jego palce zaczęły pieścić jej kark, wywołując w niej dreszcz. – Powinnaś sobie uczesać te włosy. Masz grzebień?

Nie odpowiedziała, ale on bez słowa przyniósł z altanki kosmetyczkę, którą poprzednio, wraz ze śniadaniem, przysłała jej Naomi i zaczął bezceremonialnie w niej grzebać. Znalazł tam małą szczotkę, wrócił i usiadł obok niej.

Rozwiązał żółtą wstążkę spinającą jej włosy i zaczął rozczesywać powiewające na wietrze, długie pasma jej włosów.

– Słona jesteś – szepnął. – Jak syrena. Założę się, że cała masz słony smak.

– Tylko nie waż się próbować – ostrzegła go, siedząc nieruchomo jak posąg.

– Naprawdę przypominasz mi syrenę. Rozkosznie słoną. Długowłosa i o oczach koloru morza. A syreny przepadają za tym, by szczotkować im włosy. Działa to na nie kojąco – mrucał, nie przestając jej czesać.

Nadal siedziała bez ruchu. Rzeczywiście wyobraziła sobie syrenę, która wynurzyła się z morza. I wpadła w ręce pięknego pirata, który posadził ją na murku i rozczesuje jej włosy.

– Czesanie może dostarczać bardzo zmysłowych doznań – odezwał się znowu.

– Jeśli robi się to wolno i z uczuciem. Wszelkie przyjemne rzeczy powinny trwać możliwie jak najdłużej, nieprawdaż?

– Ktoś, kto tak lubi czesanie, powinien sprawić sobie pudła – odcięła się. – Przestań, proszę! Bo mnie... denerwujesz.

Schylił się nad nią i wyjął jej z ręki wstążkę.

– Nie zwracaj na to uwagi. Przejdźmy do następnego mojego zespołu. Jak się nazywał?

Lindsey zmarszczyła brwi, usiłując się skoncentrować. Teraz czesał ją nie z dołu do góry, lecz odwrotnie, otulając pasmami włosów jej ramiona jak peleryną.

– Następny nazywał się „Circus Maximum”. A trzeci z kolei... – zawahała się – „Dunne and Dunne Again”.

– Nie. – Zebrał jej włosy tuż przy karku i przewiązał je wstążką. – Trzeci nazywał się „Dunne and UnDunne”.

Jego dłonie znowu spoczęły na jej ramionach i zaczęły ją masować.

– Dunne and UnDunne – powtórzyła pilnie i oblizła wargi. Rzeczywiście były słone. Odrobinę, ale były. – Z tym zespołem nagrałeś swój pierwszy wielki przebój, „Tequila City”. Nieco później zacząłeś występować solo.

– Dokładnie kiedy? – Jego palce coraz bardziej natrętnie i prowokująco

począły sobie z jej ciałem.

– Rok później. Nie! Półtora roku. „Tequila City” zdobyła dla ciebie platynową płytę. – Ponownie zwilżyła językiem wargi, zamknęła oczy i poddała się jego dotykowi.

– Trzy następne złote płyty: „Sharks”, „The Uncharted Sea of My Heart” i „Ali the Ships at Sea”. Potem straciłeś głos od zbyt częstego występowania.

– Wielka strata to nie była, bo i głos nie był wielki – mruknął.

– I... co bardzo ważne – recytowała jak wyuczoną lekcję – największe zadowolenie sprawiały ci zawsze kontakty z muzyką z różnych stron świata. World beatem zainteresowałeś się na Karaibach.

Och, Max – myślała bezradnie – jak ja to wszystko spamiętam? Przeżyłeś tyle i robiłeś tak wiele rzeczy, i byłeś taki wolny, niezależny, że po prostu nie mieści mi się to w głowie. Nigdy nie miałam z kimś takim do czynienia.

Palce na jej ramionach znieruchomiały nagle. Rozmarzona, całkowicie uległa czarowi jego dotyku, leżała z zamkniętymi oczami przytulona do nagiej piersi mężczyzny.

Czuła, jak Max nachyla się nad nią i zdobyła się jedynie na nieśmiały uśmiech. Wziął ją w ramiona ruchem tak naturalnym i pełnym gracji, jak w jakimś sennym tańcu. I w chwilę później poczuła ciepło jego oddechu na swym policzku i słony smak jego ust na swych ustach.

Palce z twardymi gruzelkami odcisków dotknęły jej nagiej szyi. Pocałunek był słodki, głęboki, a zarazem cudownie delikatny.

Poczuła, jak jakaś siła – potężniejsza od fali przyływu – ciągnie ją w głąb, tam, gdzie nie istnieje już nic poza fizycznym doznaniem. Poddała się, jakby był to jej żywioł. Jakby naprawdę była syreną.

Rozdział 8

Jej dłoń jakby sama znalazła się na jego policzku, który wydał jej się ciepły i nieco szorstki w dotyku. Rozchyliła wargi i poczuła, jak jego język przesuwają się wzdłuż krawędzi jej zębów i że całuje ją coraz zachłanniej i mocniej, jak ktoś, kto kosztuje rzadkie i drogie wino.

Przeniosła dłoń na jego ramię, a potem, nieśmiało, dotknęła kędzierzawego zarostu na jego nagiej piersi. Jej dotyk wywołał w nim dreszcz i kazał mu objąć ją jeszcze mocniej.

Gdzieś z tyłu, jakby z oddali, słyszała szumiące morze. Usta Maxa pieściły ją nadal, a jego palce błądziły w okolicach karku, odnalazły wstążkę, rozwiązały ją i wplotły się w rozwiewane wiatrem pasma jej włosów. Poczowała, że dzieje się z nią coś dziwnego. Tak jakby samotna, izolowana od świata Lindsey McCoy przestała nagle istnieć, a jej miejsce zajęła jakaś inna osoba. Nowa i zaczarowana.

Całuj mnie, Max – myślała. Zaczaruj mnie. Zaczaruj cały świat. Pieść mnie, całuj, kochaj.

Kochaj? Nie – uświadomiła sobie zmieszana. Miłość nie może mieć z tym nic wspólnego. To niedorzeczne, niemożliwe.

– Mamo! – tuż obok usłyszała cienki głosik Todda.

O Boże! Oderwała usta od Maxa, odwróciła głowę i spojrzała wprost w szeroko rozwarte niebieskozielone oczy małego. Trzymał w ręku kota, który zaczął się wyrwać i ocierać o gołe udo Maxa.

– Co wy robicie? – Chłopiec wyraźnie był strapiiony.

Lindsey próbowała uciec jak najdalej od Maxa, ale on nadal jedną ręką obejmował ją za ramię. Popatrzył na Todda i błysnął zębami w uśmiechu.

– O co ci chodzi, chłopie? Przecież widzisz, że całuję właśnie twoją mamę – powiedział.

– Ale dlaczego? – nachmurzył się mały.

– Chodź tu, to ci wszystko wytłumaczę.

Todd, pełen wątpliwości, zbliżył się. Max podniósł chłopca i posadził go z drugiej strony obok siebie. Objął ich oboje ramionami. Kot najwyraźniej poczuł się odrażony, gdyż wskoczył Maxowi na kolana i przyglądał się, co z tego wyniknie.

Todd spojrzał podejrzliwie najpierw na Maxa, potem na Lindsey.

– Powiedz, dlaczego całowałeś moją mamę? – domagał się wyjaśnienia.

– A ty dlaczego ją całujesz?

– Bo ją lubię.

Max wzruszył swymi wielkimi ramionami i przyciągnął ich oboje bliżej do siebie.

– A widzisz! O to właśnie chodzi. Jaja też lubię.

– Ale ja ją inaczej całuję – zapewnił mały.

– A bo to nie był zwykły pocałunek – wyjaśnił Max. – To była madagaskarska przysawka. Jak będziesz większy, to sam ją wypróbujesz. Ale nie na swojej mamie.

– Co? – Todd zmarszczył brwi, wyraźnie nic nie rozumiejąc.

– Jeśli dżentelmen chce się przekonać, czy jakaś pani również go lubi, wtedy stosuje madagaskarską przysawkę.

– Moja mama lubi najbardziej mnie – stwierdził Todd.

– Oczywiście, że tak – przyznał Max. – Ale mnie też trochę lubi. W porównaniu z tobą tylko odrobinę, troszeczkę. No to chyba wszystko jest w porządku, nie?

– Nie wiem. – Todd nadal nie wyglądał na zadowolonego.

Lindsey zacisnęła zęby. Czowała się okropnie. Oto jej dziecko – stroskane i niechętne – i mające po temu powody. Nie powinna była całować się z Maxem. To człowiek nieodpowiedzialny, niepoważny.

– Słuchaj, ona jest moją przyjaciółką – powiedział Max i uściśnął jej ramię. – A wiesz, dlaczego ją między innymi lubię? Dlatego, że jest taką dobrą mamą. Kto znalazł ci tego kota i przywiózł go z powrotem?

Todd kiwnął głową, ale gryzł wargę i myślał o czymś intensywnie. Max pogłaskał go po głowie.

– A kto cię tu sprowadził po to, żebyś mógł mieć czarodziejskie ranki i delfinowe dni?

Todd jeszcze mocniej zagryzł wargę. Zmrużył oczy i spojrzał na Maxa.

– A na czym polega delfinowy dzień?

– Delfiny ci same o tym opowiedzą – odparł Max.

– Delfiny nie potrafią mówić – zaprotestował Todd.

– Potrafią, potrafią – zapewniał go Max. – A wiesz, co delfin robi, jak cię polubi?

Niewiarygodne – pomyślała Lindsey. On z tego jakoś wybrnie. Niesłychany z niego krętacz. Muszę stale o tym pamiętać.

Todd zaprzeczył ruchem głowy, wbrew sobie na nowo zafascynowany.

– Jeśli delfin cię polubi – powiedział konspiracyjnym tonem Max – to zrobi ci

madagaskarską przyssawkę. Taką śliczną, mokrzątką, że aż cię całego zaślini.

Todd ryknął śmiechem i omal nie spadł na plecy w rabatkę ze stokrotkami. Max wyglądał na głęboko dotkniętego jego niedowiarstwem.

– Mówię serio. – Podtrzymał małego i posadził go z powrotem. – Przekonasz się. Oczywiście, jeśli mamusia ci pozwoli? Co ty na to, mamó?

Todd, nadal uśmiechnięty, popatrzył pytająco na Lindsey, która zdobyła się jedynie na to, aby wykonać jakiś nieokreślony ruch ręką i wybąkać:

– Ale przecież Habib...

– Habib nie jest znowu taki ważny, żebym nie znalazł czasu dla mojego kumpla, Todda. No to jak, zgadzasz się, mamó?

Lindsey skinęła głową. Wargi paliły ją nadal od jego pocałunku. Próbowwała poprawić sobie włosy.

– A teraz ty pocałuj mamę, za to, że jest taka miła.

Todd zeskoczył z murku i uniósł ku niej twarz.

Nachyliła się i z bijącym sercem pocałowała go w policzek. W chwilę potem mały popędził gdzieś za kotem i zniknął.

Lindsey, upokorzona dodatkowo tym, że się czerwieni, próbowała strząsnąć z siebie ramię Maxa.

– To było okropne – syczała. – Ty chyba w ogóle nie masz wstydu. A po tym wszystkim łzesz jak z nut i... i...

– A czego tu się wstydzisz? Zwykłej madagaskarskiej przyssawki? Wy tłumaczyłem mu, on to przyjął do wiadomości i nie wygląda na zmartwionego. W czym problem?

Chciała zaprotestować i powiedzieć, że nie wolno okłamywać dziecka, ale zamilkła, niepewna, czy Max rzeczywiście kłamał. A zresztą cóż było obiektywnie prawdziwego w przypadku ich pocałunku? Sama nie wiedziała.

Wściekła była jednak nadal na siebie o to, że znowu uległa czarom Maxa i że dziecko było świadkiem jej szaleństwa. I równie wściekła na Maxa, choć powody były w tym przypadku tak powikłane, że sama nie potrafiła się w nich połapać.

– Więcej mnie nie całuj – powiedziała, potrząsając głową.

– Dlaczego? – roześmiał się. – Przecież jesteśmy po ślubie.

– Nie, nie jesteśmy – sprzeciwiła się. – To jest farsa. Nie bądź taki kochliwy. Przestało mi się to podobać.

Przeciągnął się leniwie, a w chwilę potem pochylił się nad nią i ujął ją pod brodę.

– Kochanie – zaczął pewnym głosem – taki się już urodziłem. A tobie się to nie

tylko podobało. Byłaś tym wprost zachwycona. Zaczyna to być interesujące.

Szarpnęła się w bok, uciekając od kontaktu z nim.

– Nie. Niech ci się zdaje, że to się nigdy nie zdarzyło.

Roześmiał się, podniósł i wsparł plecami o pień palmy. Stał tak, rozluźniony, i wpatrywał się w nią z jawnym wyzwaniem w oczach. W końcu uśmiechnął się i powiedział:

– Zdarzyło się, zdarzyło. Tylko pytanie: co z tego wyniknie? – Nadal uśmiechał się, ale w głębi jego oczu zapaliły się te tajemnicze ogniki.

– Okropnie jestem zdenerwowana – powtórzyła po raz dziesiąty Lindsey. – Jak my możemy brać udział w czymś takim?

Naomi, choć sama również zdenerwowana, próbowała ją uspokoić. Obie siedziały teraz na patio ubrane w swe najlepsze stroje i oczekiwały na przybycie Habiba, którego Max miał przywieźć z lotniska. Czy ubrał się na tę okazję przyzwoicie – pozostawało sprawą otwartą. Ostatnio miał na sobie chińską roboczą bluzę i naszyjnik z kłów dzika. Gdy wyjeżdżał, Lindsey kapłała Todda i nie widziała, czy się przebrał.

Bożo polował na ćmy wśród oleandrów, a Todd usnął na kolanach Lindsey z głową przytuloną do jej ramienia. Bardzo dobrze, że śpi – pomyślała. Im mniej będzie widział z tej całej maskarady, tym lepiej.

Usłyszała wreszcie samochód Maxa podjeżdżający pod dom. Serce zaczęło jej bić tak mocno, że przestraszyła się, czy nie obudzi to małego. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić:

– Boże, pomóż mi przez to przejść. Przecież wiesz, że robię to tylko dla mojego dziecka. Przeprowadź mnie przez to szczęśliwie, a obiecuję, że nigdy więcej już nie skłamię.

Mineła jeszcze nieskończenie długa chwila, zanim gospodarz wprowadził Fergusa Habiba na patio.

Pierwszą reakcją Lindsey było absurdalne nieco poczucie wdzięczności za to, że Max zdobył się na wysiłek, by wyglądać przyzwoicie. Miał na sobie białe spodnie, cienką niebieską koszulę i, co graniczyło niemal z cudem, krawat. Z trudem opanowała czysto kobiecy impuls, by podejść do niego, mocniej mu go zawiązać i przyglądać spadające na czoło włosy.

Fergus Habib był małym, chudym człowieczkiem. Miał zapewne sześćdziesiąt parę lat, ale jego twarz była tylko odrobinę pomarszczona. Nosił okulary w drucianej oprawce, miał krzaczaste, siwe brwi i takie same wąsy, które sięgały niemal od ucha do ucha. Lindsey rzucił się natychmiast w oczy jego krawat, który

do złudzenia przypominał żywego pstrąga.

– Cześć! – powitał ich radośnie Max. – Przepraszam, że czekaliście, ale samolot się spóźnił. – Położył dłoń na ramieniu gościa i gestem ręki wskazał siedzące na patio osoby. – Pozwoli pan, że przedstawię moich bliskich. Moja żona, Lindsey, jej syn, Todd... usnął właśnie, biedactwo... i jego niania, Naomi Feldman, która też właściwie należy do rodziny.

Tylko urodzony kłamca potrafi tak łąać bez zająknienia – pomyślała Lindsey. Dobrze by było, gdyby stale o tym pamiętała.

– Miło mi pana poznać. – Uśmiechnęła się do Habiba i próbowała wstać, ale zanim to zrobiła, podszedł do niej i wyciągnął rękę.

– Proszę się nie fatygować. Pozwoli pani, że schylę się i ucałuję jej dłoń.

Usłyszała, jak trzasnął obcasem o obcas i poczuła, jak jego wąsy łaskoczą jej nadgarstek.

– I pani niech również nie wstaje – Habib zwrócił się do Naomi. – Pragnę ucałować pani rękę. Spoczywa w nich przyszłość tego ślicznego dziecka. A one również są śliczne.

Naomi rozszerzyła ze zdziwienia źrenice, a Lindsey odczytała wyzierające z jej twarzy nieme pytanie: Co to wszystko znaczy? Jakiś człowiek z krawatem w kształcie pstrąga całuje mnie po rękach?

– Proszę usiąść, panie Habib. – Max podsunął mu jedno z najwygodniejszych krzeseł. – Napije się pan czegoś? Jak pamiętam, alkoholu pan nie toleruje, prawda?

– Już nie. Ale chętnie wypiję szklaneczkę źródlanej wody z łyżeczką miodu. – Habib usiadł, krzyżując nogi, a Max wezwał panią Gristle i przekazał jej to dziwne zamówienie.

– Chłopiec ma pięć lat? – Habib zwrócił się do Lindsey, która nadal trzymała w ramionach śpiącego Todda. – Tak mówił pani mąż.

Mój mąż! – pomyślała Lindsey w przyływie niechęci.

– Tak – przytaknęła skinieniem głowy.

– Rozumiem, że to dziecko z poprzedniego małżeństwa?

Lindsey przełknęła ślinę i oparła policzek o główkę Todda.

– Jestem... To znaczy... byłam wdową i potem...

– Czy minął stosowny czas, zanim zawarła pani następne małżeństwo? – Ten mały człowieczek miał bardzo władcze maniery, ale rozpierająca go wewnętrzna energia i intrygujący akcent rozbrajały jakoś Lindsey.

– Czy stosowny? Nie wiem. Prawie dwa lata.

– Dwa lata to wystarczy – zawyrokował Habib. Spojrzał znacząco na Naomi. –

Ja jestem wdowcem od lat trzech.

– Przykro mi, że dotknęła pana ta strata – odezwała się Naomi.

– Jakże pani jest wrażliwa! – Habib skłonił się w jej kierunku. – Czy i panią również dotknęła taka strata?

– Mój mąż zmarł przed czterema laty. – Naomi niespokojnie wierciła się na krześle. – Ale niech nam pan opowie coś o sobie, panie Habib. I o pana muzyce. Zarówno ja, jak i pani Dunne słabo się jeszcze orientujemy w tej dziedzinie. – Naomi najwyraźniej starała się zmienić temat. Habib wpatrywał się w nią jak urzeczony.

– O mnie? Urodziłem się w Bułgarii – zaczął dramatycznym tonem. – A moje korzenie sięgają różnych stron świata, tak jak muzyka, którą nagrywam.

Do licha! – zdumiała się Lindsey. – Przecież on z nią flirtuje. A miał to być taki stateczny człowiek! Będą z tego nowe komplikacje.

Max podał Habibowi jego napój i usiadł w fotelu na biegunach tuż obok Lindsey. Uśmiechnął się do niej, ale był to znaczący, szelmowski uśmiezek. Przechylił się i pocałował ją w nagie ramię.

– Halo, kochanie. – Odpowiedziała mu zdawkowym uśmiechem i zwróciła się do Habiba.

– A więc pochodzi pan z Bułgarii?

– Nie takie to proste. – Wzruszył ramionami. – Mój dziadek był Irlandczykiem. Po pierwszej wojnie światowej pojechał do Bułgarii i zakochał się tam w mojej babce, która była pół-Bułgarką i pół-Turczynką. Ich najstarsza córka była moją matką. Ojciec zaś był w połowie Francuzem, a w połowie Marokańczykiem.

– Toż to istna wielonarodowościowa sałatka! – zdumiała się Naomi.

Habib wybuchnął śmiechem i poklepał się po udzie.

– Przepadam za kobietami z poczuciem humoru. I sam mam poczucie humoru. Dlatego noszę krawat udający rybę. Zauważyła go pani?

– Chciałabyś, żebym nosił krawat z pstrąga? – szepnął do ucha Lindsey Max. – Może by cię to podniecało, kto wie?

– Mógłbyś się cały obwiesić makrelami. I tak byś nic nie wskórał – odpowiedziała również szeptem, dbając o zachowanie miłego wyrazu twarzy. Ponownie zwróciła się do Habiba. – Musiał pan mieć wspaniałą rodzinę. Ludzie z tak różnych stron świata, którzy potrafili jakoś się ze sobą zgodzić...

– Nie. Wcale się ze sobą nie zgadzali. – Habib spoważniał nagle. – Bez przerwy się kłócili. I dlatego, gdy tylko podrosłem, uciekłem z domu do Finlandii.

Max udawał, że słucha z zainteresowaniem, bawiąc się cały czas przepaską

spinającą włosy Lindsey. Jego palce dotykały jej karku, wywołując uczucie mrowienia w okolicach kręgosłupa.

– Do Finlandii? – Jej głos zabrzmiał nienaturalnie.

– O Boże! Rzeczywiście jest pan obywatelem świata.

– Och, to był jedynie początek – powiedział z przesadną skromnością Habib. – Obecnie ulokowałem centrum mego biznesu w Dublinie. Artyści, którzy u mnie nagrywają, pochodzą z całego świata: z Irlandii, Szkocji, francuskiej Bretanii. A jakże! Również z Albanii, Jugosławii, a nawet z Turkiestanu. Ale pan Dunne zna to wszystko na pamięć. Nie chciałbym go zanudzać.

Max przysunął się bliżej, interesując się rzekomo węzłem na przepasce. Jego oddech owiewał jej nagie ramię, a palce wsunęły się pod wstążkę i pieściły jej kark. Znowu poczuła odciski od strun gitarowych.

– Ależ skąd! – zaproponował uprzejmie. – Absolutnie nie jestem znudzony.

Lindsey była rozdrażniona i zażenowana. Ty łotrze!

– myślała, nie mogąc się bronić. – Próbujesz nastroić mnie tak, jak tę swoją gitarę. Ale nic z tego!

Mimo wszystko dawał sobie z tym radę nadspodziewanie dobrze: czuła, że ma sucho w ustach, a wokół bioder rozlewała jej się dziwna słabość.

– Niech nam pan opowiada dalej o swojej muzyce – starała się podtrzymać konwersację Naomi.

– Moja muzyka jest wspaniałą hybrydą, moja droga pani Feldman. W latach pięćdziesiątych w pani kraju narodziła się najwspanialsza muzyka tego stulecia: rock and rolli. Wspanialsza od najwspanialszych symfonii. I ona również była hybrydą. Afrykańskim rytmom nadano nową jakość, nowe znaczenie, przez połączenie ich z amerykańską muzyką pop. Pomyślałem wtedy, że ta muzyka zmieni świat. I tak się stało.

– Lubi pan rock and rolla? – spytała zdumiona Naomi.

– Czy lubię? Czcę, wielbię! – krzyknął Habib, chwytając się rękami za serce. – Moje życie było pozbawione celu i sensu, aż do tej nocy, kiedy po przeprowadzeniu się do Szkocji, w jakimś obskurnym barze w Aberdeen usłyszałem Elvisa Presleya śpiewającego „Hound Dog”. To było coś wspaniałego!

– Coś wspaniałego? – zdumiała się tym razem Lindsey.

– Tak. Coś wspaniałego. Od początku wiedziałem, że ta muzyka zdobędzie cały świat, tak jak wasza coca-cola i džinsy. I nie politycy zjednoczą ludzkość, tylko muzyka, muzyka! To dzięki niej ludzie staną się sobie braćmi.

– I siostrami? – spytała, unosząc brew Naomi.

– Oczywiście – tokował Habib. – Wszędzie, jak świat długi i szeroki, najrozmaitsze tradycje muzyczne mieszają się z rockiem. Elektryczne gitary w Indiach! Syntetyzatory w Afryce! Disco na Karaibach! Calypso w Berlinie! Nowa muzyka i nowa świadomość rodzi się wszędzie i bez przerwy. Nawet teraz, gdy to mówię.

– Święta racja, panie Habib – przytaknął Max. Nachylił się i pocałował Lindsey w nagie ramię. Zadrżała lekko, ale nie śmiała się odsunąć w obawie, aby gość tego nie zauważył.

– A więc gdy odkryłem muzykę rockową – ciągnął dalej Habib – odkryłem również, że moim życiowym posłannictwem jest nagrywać tę muzykę. Gdziekolwiek pojawiali się artyści, którzy usiłowali połączyć swą rodzimą tradycję muzyczną z rockiem, pojawiałem się również i ja i zapraszałem ich do mojego studia. Często jednak spotykały mnie niepowodzenia. I wtedy dokonałem drugiego wielkiego odkrycia. – Uniósł głowę i spojrzał w kierunku gwiazd. – Odkryłem astrologię... Astrologię – powtórzył po dramatycznej pauzie. – I teraz żyję w harmonii ze wszechświatem. Pozwalam prowadzić się gwiazdom i nareszcie mój biznes prosperuje wspaniale. I nigdy, przenigdy nie podejmę żadnej decyzji, nie konsultując się z nimi. – Skierował swój przenikliwy wzrok na Maxa. – Dlatego też odrzuciłem początkowo pańską ofertę, panie Dunne. Mój astrolog ostrzegł mnie, abym w obecnym czasie nie robił żadnych interesów z kimś niezonatym. To zresztą było oczywiste, zważywszy na układ planet w moim ósmym domu, mój ascendent i obecne położenie Marsa.

– Czyż nie jest to zbyt uproszczenie? – zaoponował Max. – Fakt, że ktoś nie jest żonaty, nie dyskwalifikuje go jako biznesmena.

– Oczywiście, ma pan rację. Ja jestem najlepszym przykładem. Nie jestem żonaty, a biznesmenem jestem wspaniałym. Ale nie rozumie pan logiki gwiazd. Wynika z niej niezbicie, że z uwagi na aktualną konfigurację planet, ja akurat powinienem robić interesy z kimś, kto jest ustatkowany, a nie z kimś, kto ma reputację seksualnego kota rozbójnika.

Lindsey poczuła, że ciało Maxa się napięło.

– Nie jestem... – zająknął się. – Nie byłem...

– Bądźmy szczerzy – przerwał mu Habib. – Taką cieszył się pan, niestety, reputacją. Dlatego też, jak mi się wydaje, wybrał pan sobie tego kota jako znak firmowy pańskiego przedsiębiorstwa.

– Nigdy w ten sposób o sobie nie myślałem – wycedził przez zęby Max.

– Ale inni tak o panu myśleli – oświadczył chłodno Habib. – Przecież rozumie

pan, że musiałem zebrać opinie o ewentualnym...

– Wiem – bronił się Max. – Zebrał pan opinie od moich konkurentów. W oczywisty sposób stroniczo. Należało wejrzeć głębiej. Wtedy odkryłby pan, że moja matka nazywała się zdrobniale Cat. Catherine Dunne. Była wspaniałą kobietą, Habib. Wspaniałą matką. I wybierając nazwę firmy starałem się uhonorować jej pamięć.

Lindsey spojrzała na Maxa, ale z jego pokerowej twarzy nie była w stanie wyczytać, czy mówi prawdę, czy jest to kolejne łgarstwo.

– Hmm – Habib nie wyglądał na zbitego z tropu.

– A czy będąc kawalerem, nie napisał pan piosenki zatytułowanej „Wzburzymy falę w wodnym materacu”?

– To było dawno temu. – Max zacisnął szczęki.

– Byłem wówczas młodym, zwariowanym muzykiem...

– Rozumiem. – Habib nie pozwalał odebrać sobie inicjatywy. – Ale jeszcze lepiej rozumiem mądrość gwiazd. Czy pan tego nie czuje, Dunne? Małżeństwo jest czymś pełniejszym, bogatszym, głębszym. Gwiazdy nie kłamią.

Lindsey wyczuła w tym momencie, że poirytowany Max skłonny jest do kłótni nie tylko z Habibem, ale również z gwiazdami – gdyby te tylko skłonne były go wysłuchać.

– Jakież to fascynujące! – powiedziała z przesadną egzaltacją. – Słuchając was zapomniałam o całym świecie. A Todd powinien być już w łóżku godzinę temu.

– Spojrzała wymownie na Maxa. – Pomożesz mi, kochany, go położyć?

Przełknęła ślinę, pełna obawy, że niebo odstrzeli ją natychmiast za pomocą pioruna, ale póki co nadal wpatrywała się w Maxa, uśmiechając się coraz promienniej.

– Może ja powinnam... – przypomniała sobie swoją rolę Naomi.

– Nie – przerwał jej Max. – Sami to zrobimy, tak jak wczoraj. Tak jest najlepiej i zawsze powinniśmy kłaść go do łóżka oboje. Chodź, najdroższa! Pozwól, że go wezmę. Jest ciężki, a ty trzymałaś go na kolanach przez cały wieczór. Weź kota.

Max wstał, podał jej kociaka i z zaskakującą delikatnością podniósł z jej kolan dziecko. Przytulał go do siebie ramieniem, a drugą dłoń splótł z dłonią Lindsey i pomógł jej wstać.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu – zwrócił się do Naomi – to bądź tak dobra i pobaw przez chwilę pana Habiba.

Habib rzucił Naomi wymowne spojrzenie spod krzaczastych brwi.

– Byłoby to rozkoszne, gdyby zechciała mnie pani zabawić, pani Feldman –

rozpromienił się.

– Co za denerwujący, stary wariat! – wybuchnął Max, gdy tylko znaleźli się za drzwiami. – Ledwie się tu znalazł, a już włączył z butami w moje życie, krytykuje moje prowadzenie się, potępia moją przeszłość, a sam romansuje z moją guwernantką.

– Tobie się chyba coś ze złości pomieszało – zauważyła Lindsey. – Ona nie jest twoją guwernantką. I przestań tupać, bo obudzisz Todda.

Stapał ostrożnie, ale ani odrobinę się nie rozchmurzył.

– Nie jestem, do cholery, jakimś rozpustnym kocurem ani kozłem – złościł się. – Nikt normalny sobie dziś na to nie może pozwolić. Zależy mi na zdrowiu...

– Czyżby? – zauważyła sarkastycznie Lindsey. Potrafiła sobie wyobrazić, że Max był niegdyś dokładnie taki, jak przedstawiał to Habib.

– Żebyś wiedziała. – Otworzył drzwi od ich sypialni, poczekał, aż położy kota w nogach łóżka i odkryje kołdrę, a następnie ułożył w nim śpiącego chłopca. Ponownie zaskoczyła ją delikatność, z jaką to zrobił.

Nie chciała przebierać małego w pidżamę. Mógłby się obudzić. Zdjęła mu jedynie buty, nakryła kołderką i pocałowała w policzek. Wyprostowała się i nadal przypatrywała się synowi.

– Taki jest śliczny, gdy śpi.

– Podobny do ciebie – odezwał się szorstkim głosem Max. – Chodź! Musimy uratować Naomi przed Habibem.

Przepuścił ją przed sobą i zamknął za nią drzwi. Lindsey uśmiechnęła się nieznacznie, zaskoczona jego troską o przyjaciółkę.

– Co ja widzę? Ciebie prawdziwego uśmiechu? – spytał z przesadnym zdumieniem Max. – Pod moim adresem?

Natychmiast spoważniała. Ku jego zadowoleniu. Ten jej uśmiech wywoływał w nim jakieś nieoczekiwane, dziwne, szalone odczucia. Gdy miał dwanaście lat, to uśmiech tego rodzaju skłoniłby go do istnych popisów męstwa: kazałby mu stanąć na głowie, napiąć mięśnie, walczyć ze smokami, zdobywać niebosiężne szczyty, pisać wiersze i komponować pieśni. I wytatuowałby sobie jej imię prosto na sercu.

Ale ona patrzyła mu teraz w oczy z powagą. Poważna syrena – pomyślał. – Nadzwyczaj niebezpieczny gatunek syren. Nawet najtwardszy żeglarz może utonąć w takich oczach.

– Naprawdę zachowuj się przyzwoicie. – Ton jej głosu był równie poważny, jak wyraz jej twarzy.

Błysnął zębami w uśmiechu i próbował otoczyć jej szyję ramieniem.

– Jak mogę się zachowywać przyzwoicie, kiedy jesteś obok, kochanie? Z mózgu robi mi się przy tobie musująca lemoniada.

– Mówię poważnie. – Postąpiła krok do tyłu, nie pozwalając się objąć. – Nie tylko wobec mnie, ale również wobec Habiba. Po co tu go ściągnąłeś? Po to, by załatwić z nim interes czy po to, żeby się z nim kłócić? Tylko dlatego, że nie możesz ścierpieć sytuacji, gdy ktoś się tobą bez przerwy nie zachwyca.

Wzruszył ramionami. Odgarnął kosmyk włosów, który po chwili z powrotem opadł mu na czoło.

– Wspaniale! Uratowałaś mnie przed tym starym dziwakiem. Uratowałaś mnie przede mną samym. Co za to chcesz? Medal za Ratowanie Tonących? Dostałaś już ode mnie najdroższego kota na świecie.

– Uspokój się i zachowuj się przyzwoicie. Spójrz na swój krawat. Ty chyba emanujesz jakieś siły, które sprawiają, że wszystko wokół ciebie robi się krzywe. Nawet obrazy na ścianach.

Wyciągnęła ostrożnie rękę, tak jakby robiła coś, czego wolałaby uniknąć i poprawiła mu przekrzywiony krawat. Przez moment popatrzyła na jego potargane włosy, tak jakby i je chciała poprawić. Nie zrobiła tego jednak. Skrzyżowała ręce i spytała:

– Może by ci się przydał jakiś spray do włosów?

– Nie! – odparł.

Uświadomił sobie, że to poprawianie krawata sprawiło mu przyjemność i był o to na siebie wściekły. Także i to, że chciała mu przygładzić włosy i tego nie zrobiła. A to jeszcze bardziej go zirytowało.

– Nie masz się już do czego przyczepiać? – Wzruszyła ramionami i zaczęła schodzić po schodach. Podążył za nią. – Wiesz, że zachowujesz się teraz jak typowa żona? Jazgot i pretensje. Dokładnie jak żona.

Zatrzymała się i zmierzyła go wyzywającym spojrzeniem.

– Jak żona? Na tym ci przecież zależało. Chciałeś mieć żonę, prawda?

– Nie chciałem, tylko potrzebowałem. I tylko dla pozorów. Dla biznesu. Ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy na tym wielkim, pięknym świecie! Dałbym się raczej stoczyć z góry w beczce ponabijanej gwoździami! Wolałbym siedzieć po uszy w bagnie i odżywiać się pijawkami...

– Cicho! – Tym razem ona zasyczała ze złości i schwyciła go za ramię. – Habib tu idzie.

Stał obok niej. Dotyk jej zimnych palców na bicepsie w jakiś nieznanym sposobie go poruszył. Odczytał to jako ostrzeżenie: nawet w złości nie wolno

miażdżyć kobiecie palców. Próbował zdjąć je ze swego ramienia bez stosowania przemocy, lecz zamiast to zrobić, przycisnął je dłońmi do siebie i w tym momencie ujrzał u podnóża schodów Habiba z pustym dzbankiem w ręku.

– Czego on tu chce, do cholery?! – warknął.

– Lemoniada mu się skończyła. Nie chce nikogo fatygować. Postępuje jak dżentelmen, czego pewnie nie jesteś w stanie zrozumieć. Zachowuj się przyzwoicie. Mamy przecież wyglądać na zakochanych – przywoływała go do porządku Lindsey.

Habib rzeczywiście zdawał się zmierzać w stronę kuchni. Max kątem oka dostrzegł, że zatrzymał się na chwilę w salonie i popatrzył w ich stronę.

– 'Kochanie! – błyskawicznie objął ją i przytulił do siebie. – Zaraz będziemy wyglądali na tak zakochanych, że aż ci się w głowie zakreści. – I zanim zdążyła zaprotestować, zaczął ją całować tak namiętnie, że na moment zrobiło jej się ciemno przed oczami.

Rozdział 9

Przyciskał ją do siebie tak mocno, że brakowało jej tchu. Poddała się, rozchyliła wargi i odpowiedziała pocałunkiem na pocałunek.

– Ach wy, szczęśliwi kochankowie! – Gdzieś z dołu doszło do niej wołanie Habiba. – Nie będziecie już chyba mieli ochoty na filozoficzne dyskusje ze starym człowiekiem. Świeże małżeńskie łoże przyciąga jak magnes.

– Ten facet nie powinien nosić krawata, tylko kaganiec – szepnął Max z ustami tuż przy jej ustach i znowu ją pocałował.

– Do dzieła, Dunne! Do dzieła! – wołał piskliwym głosem Habib. – Dajmy sobie spokój z konwenansami. Ja tu się świetnie bawię. Niech pan zanieś swą oblubienicę do łóżka.

Max momentalnie oderwał od niej usta i, zanim się zorientowała, co zamierza zrobić, porwał ją na ręce i poniósł w górę po schodach.

– Co ty wyprawiasz? – wysapała, odruchowo obejmując go rękami za szyję.

– Cicho bądź! – strofował ją przez zaciśnięte zęby. – Przecież nie pozwoliłaś mi się klócić ze starszym panem.

– Ale przecież...

Zatrzymał się na stromym zakręcie schodów i stłumił jej słowa pocałunkiem.

– Ach! – wrzasnął Habib. – Czyż małżeństwo nie jest wspaniałą rzeczą?

Max odwrócił się nieco, spojrzał w dół i pożegnał go z nieszczerym uśmiechem na ustach.

– W istocie, panie Habib. Dobrej nocy, sir.

Dotarł na piętro, pchnął nogą drzwi swej sypialni, wniósł ją do środka, zatrzasnął za sobą drzwi kopniakiem, przebiegł przez pokój i upuścił ją na wielkie, podwójne łoże z tak wysoka, że kilkakrotnie podskoczyła na materacu jak piłeczka.

Nie spojrzawszy nawet na nią usiadł na brzegu łóżka, wsparł łokcie na kolanach, podparł dłońmi skronie i kiwał się tak, jakby miał najokropniejszy na świecie ból głowy. Pod nosem mruczał jakieś przekleństwa.

– Czyż małżeństwo nie jest wspaniałą rzeczą? – zazgrzytał zębami i znowu zaklął paskudnie.

Lindsey przepełzła na łokciach i kolanach na skraj łóżka, spuściła stopę na podłogę i miała zamiar wstać, ale schwycił ją za łokieć i zmusił do tego, by usiadła przy nim.

– Spokojnie! Nie możesz przecież teraz stąd wyjść. Wpadliśmy w pułapkę.

Lindsey odrzuciła z twarzy włosy.

– Sam nas wpędziłeś w tę pułapkę! Po coś mnie tu przyniósł?

– A co miałem robić?! – warknął. – Najpierw musiałem cię jakoś uciszyć. A potem... Kiedy się całuję, to nigdy nie potrafię myśleć logicznie.

Powiódł wzrokiem po ścianach pokoju, jakby naprawdę był on celą więzienną. Zaczął się szamotać z węzłem krawata, rozpiął dwa guziki koszuli, ściągnął go przez głowę i cisnął z rozmachem w kąt. Lindsey skarciła go wzrokiem.

– Nie prosiłam cię, żebyś mnie całował. I to jeszcze w taki sposób. Ten twój madagaskarski lizosys.

– Nie lizosys tylko przyssawka – poprawił ją zrzędlawie. – I to nie ja tak całuję, tylko ty. Wystarczy dotknąć twoich ust. Nawet najdelikatniej. I co potem mężczyzna ma robić? – Popatrzył na sufit, tak jakby był na nim wydrukowany przepis, jak wyjść z tej kłopotliwej sytuacji.

– No wiesz... – oburzyła się i wbiła wzrok w podłogę.

– No wiesz... – przedrzeźniał ją bezlitośnie. Podparł głowę rękami i zaczął się w nią wpatrywać. W głębi jego oczu zapaliły się znowu te dziwne płomyczki. Nie mogła znieść tego spojrzenia.

– Po co dałam się wciągnąć w tę farsę? – zaczęła narzekać. – Odkąd poznałam tego Habiba, to już jest nie do wytrzymania. To przecież przyzwoity, uczciwy człowiek. Nie można go tak okłamywać. Bez względu na powód.

Max milczał przez chwilę. Lindsey usłyszała bicie własnego serca, czuła przyspieszone pulsowanie w każdym punkcie, w którym wyczuwa się tętno.

– Mogłoby to... przestać być kłamstwem – powiedział cicho.

Znieruchomiała nagle. Po raz pierwszy zdała sobie w pełni sprawę z tego, że siedzą na łóżku. Zerknęła na niego i po chwili pożałowała, że to zrobiła. Kasztanowe włosy spadały mu na oczy i opierały się na kołnierzyku koszuli. Znowu wyobraziła sobie nadzwyczaj przystojnego pirata – postać z jakiejś barwnej starej sagi. Spuściła wzrok i zaczęła bawić się opaską, którą zdjęła z włosów.

– Można przecież zrobić tak, żeby wszystko nagle stało się prawdą – powiedział stłumionym szeptem, pochylając się nad nią. – Jesteśmy zaślubieni, a ja cię bardzo pragnę.

Poczuła, jak gdzieś głęboko wzbiera w niej fala pożądania. Usztywniła ramiona i nie odezawszy się ani słowem wygładzała palcami pogniecioną opaskę.

– I ty też tego pragniesz – przeciągał słowa. – Gdy się dotykamy, chcesz mnie tak samo, jak ja ciebie. Moglibyśmy się wspaniale kochać.

Pragnienie fizycznego zbliżenia stało się tak dojmujące, że graniczyło niemal z

bólem. Wiedziała jednak, że to donikąd nie prowadzi.

– Przez kilka dni? – spytała z goryczą. – Do wyjazdu Habiba?

Pochylił się i pocałował jej nagie ramię.

– Może dłużej .. Kto wie?

– Ja wiem. – Narastał w niej gniew. – Nie mam zamiaru być twoją kolejną jednodniową... czy kilkudniową zdobyczą.

– A właśnie, że chcesz. – Pieścił ustami jej ramię coraz natarczywiej.

Otrząsnęła się, unikając jego pocałunków. Gniew okazał się silniejszy niż pożądanie.

– To nie w moim stylu. Jestem normalna. Mam takie same pragnienia jak wszyscy, ale jestem dojrzała. Wiem, że nie zawsze można mieć to, co się chce. Nie interesuje mnie zaangażowanie się w jakąś tanią łóżkową przygodę.

– To nie żadna tania przygoda, tylko małżeństwo.

– Nie. To nie jest żadne małżeństwo. Małżeństwo to zgoda na to, żeby coś trwało wiecznie. To wielkie zobowiązanie. Ty być może nie masz żadnych zobowiązań. A ja mam. Wobec tego dziecka, które śpi teraz w pokoju na dole.

Przestał się uśmiechać. Zmarszczył brwi i rzucił jej chłodne, zniecierpliwione spojrzenie.

– Przestań się zasłaniać swoim dzieckiem, Lindsey. Co ono ma z tym wspólnego?

– Wszystko co mnie dotyczy, dotyczy również i jego – odparła gwałtownie. – To jest moje wielkie zobowiązanie. Na następnych kilkanaście lat. Tylko ja jestem odpowiedzialna za jego poczucie bezpieczeństwa. Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby przez nasze życie przewędrowała kawalkada kolejnych mężczyzn.

– Jeden mężczyzna to jeszcze nie kawalkada.

Zignorowała tę drwinę. Wstała. Dawno już powinna to zrobić. Szalonym pomysłem było przesiadywanie z nim na krawędzi jego łóżka.

– Jesteś atrakcyjnym mężczyzną, Dunne – powiedziała tonem możliwie rzeczowym i beznamiętnym.

– Szkoda, że nie jestem amatorką krótkotrwałych związków.

Max wstał również i przyglądał się jej z uśmiechem w kącikach warg.

– Szkoda, że ja nie jestem amatorem długotrwałych związków. Ale to nie znaczy, żebyśmy mieli rezygnować z tego, co mamy sobie do zaoferowania.

– Ja właśnie z tego rezygnuję. – Zwróciła się ku drzwiom.

– Gdzie idziesz? Co Habib sobie pomyśli?

– Pomyśli, że matka pragnie sprawdzić, czy jej dziecko śpi spokojnie.

– A jak wytłumaczysz mi tę warstwę lodu, który pokrywa cię jak zepsutą lodówkę? Pomarańcze mogą się przemrozić w połowie stanu Floryda, gdy wyjdiesz teraz na dwór.

– Napisz sobie o tym piosenkę – rzuciła przez ramię z ręką na klamce.

– Spójrz prawdzie w oczy. Wiesz, dlaczego jesteś taka wściekła? Dlatego, że chciałaś pójść ze mną do łóżka. Oboje o tym świetnie wiemy.

Odwróciła się na pięcie i popatrzyła na niego ze złością.

– Możesz sobie o tym pomarzyć!

– A ty nie musisz nawet marzyć, kochanie. – Uśmiechnął się szeroko. – Gdybyś zmieniła zdanie, to drzwi będą otwarte. Nie musisz pukać.

Wypadła z jego pokoju i nie trzasnęła drzwiami tylko dlatego, że nie chciała, by Habib to usłyszał.

– Lindsey, muszę z tobą porozmawiać. – Głos Naomi brzmiał niemal rozpaczliwie. Habib i Max jedli właśnie śniadanie, a Lindsey zajmowała się Toddem, starając się w miarę możliwości trzymać od nich z dala. – Mogę wejść?

– Wejdz, proszę. Todd bawi się na tarasie. Co się stało?

– Lindsey! Habib jest bardzo przebiegły. Obawiam się, że coś podejrzewa. Mam wrażenie, że zaleca się do mnie po to, żeby wyciągnąć ode mnie jakieś informacje lub zrobić ze mnie swojego szpiega.

Lindsey zachmurzyła się. Naomi była atrakcyjną kobietą i podobała się mężczyznom. Ale w domu Maxa wszystko działało się na opak i wszystko było możliwe.

– Zadaje mi zbyt wiele pytań – mówiła dalej Naomi.

– Wykręcam się jakoś. Mówię, że nie wdaję się w dyskusję na temat moich pracodawców. Ale on jest naprawdę bardzo inteligentny. Bez przerwy mnie o różne rzeczy wypytuje, a ja czuję się okropnie, ilekroć skłamię.

– No właśnie! To samo jest ze mną. Będziemy musiały trzymać się od niego z daleka.

– No pewnie! On nie jest w moim typie. Jestem wybredna. I co by moje dzieci powiedziały na ten jego krawat w kształcie pstrąga?

– A nie wiesz, po co on nosi taki krawat? – zainteresowała się Lindsey, zapominając na chwilę o zmartwieniu.

– Twierdzi, że daje mu on przewagę w prowadzeniu negocjacji. Rozprasza uwagę przeciwnika. Może jest trochę pomyłony, ale bystry jest wyjątkowo. I naprawdę ma w swym ręku najlepszych muzyków po tamtej stronie Atlantyku. Gra

toczy się o wielkie pieniądze. To również mnie denerwuje.

– Słuchaj! Może wzięłabyś sobie wolny dzień?

– wpadła na pomysł Lindsey. – Odwiedź swoich krewnych w Miami.

– Chyba rzeczywiście tak zrobię. Tylko czy dasz sobie radę beze mnie?

Rozmowę przerwał Bożo, który przybiegł z tarasu i nie czekając na zaproszenie wskoczył na kolana Lindsey. Naomi przyglądała mu się z wyrazem rezygnacji na twarzy.

– Kocie! – powiedziała do zwierzaka. – To przez ciebie zaczęło się to całe wariactwo. A raczej przez to, że masz takie interesujące umaszczenie. Gdybyś był szarym, pręgowanym kocurem, wszystko nadal byłoby normalne.

Bozo uniósł swój pyszczek kłowna, przechylił łeppek i ziewnął. Wyglądał tak, jakby śmiał się w kulak z tego, że udało mu się rozpętać taką awanturę.

Koło Ośrodka Badań nad Delfinami Lindsey przejeżdżała nieskończoną liczbę razy, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, by go odwiedzić. Jakoś źle jej się to kojarzyło. Wyobrażała sobie smutne delfiny w gigantycznych akwariach i ubranych w białe kitle naukowców, którzy podłączają je dziesiątkami przewodów do jakichś wymyślnych maszynerii.

Max wiózł ich tam teraz swoim lśniącym kabrioletem i opowiadał po drodze o tym, czym faktycznie zajmuje się ten ośrodek. Prowadzono w nim badania naukowe nad DNA, inteligencją i hodowlą delfinów oraz zajęcia uniwersyteckie. Mieściła się tam również Główna Kwatera Ratownictwa Zwierząt Morskich. W placówce tej leczono zwierzęta ranne i chore, a nawet zorganizowano coś w rodzaju domu starców, w którym dożywali swoich dni weterani pokazów cyrkowych i delfiny, które nabawiły się ciężkich schorzeń po zbyt długim więzieniu w akwariach.

W ramach programu edukacji ekologicznej „Nasza Wspólna Ziemia” pozwalano tu także odwiedzającym zapoznawać się z wodnym światem delfinów, dotykać ich i bawić się z nimi – oczywiście w ograniczonym czasie i pod ścisłym nadzorem pracowników Ośrodka. Max zapewniał ich, że jedna taka wizyta wystarczy, aby najbardziej gruboskórny człowiek stał się zaprzysiężonym miłośnikiem zwierząt i obrońcą ich praw.

– Będziemy pływać w oceanie? Z wielkimi rybami? – zaniepokoił się Todd.

– Zobaczysz, jaka to frajda. – Max pogłaskał ciemną czuprynkę chłopca. – A delfiny wcale nie są rybami. To bardzo inteligentne zwierzątka. Niektórzy twierdzą, że mądrzejsze od ludzi.

– Mama mówi, że pływanie w oceanie jest niebezpieczne. Można się nawet utopić – Todd był nadal zaniepokojony.

Max skarcił wzrokiem Lindsey.

– Przy mnie nic ci się nie stanie.

Todda najwyraźniej to uspokoiło. Rozluźnił się i z westchnieniem ulgi opadł na kolana matki. Lindsey z niechęcią pomyślała, że Max ma na niego tak przemożny wpływ. Sama z trudnością potrafiła namówić małego, by wszedł po kolana do morza. Pewnie dlatego, że sama się bała.

Udali się do małego pawilonu, gdzie wraz z innymi odwiedzającymi wysłuchali prelekcji. Ku zdumieniu Lindsey, prelegentami nie byli odziani w białe kitle profesorowie, lecz młodzi, opaleni na brąz ludzie w kostiumach kąpielowych. Jeszcze bardziej zdumiało ją to, że opowiadając o delfinach charakteryzowali rozmaite osobowości swych podopiecznych, tak jakby każdy z nich był tak niepowtarzalną indywidualnością, jak ludzka istota.

Todd był coraz bardziej zniecierpliwiony i podekscytowany, a Lindsey coraz bardziej zalekniona. Nie miała nigdy do czynienia z żadnym zwierzęciem większym od kota Bożo, a oboje z Toddem byli raczej marnymi pływakami. Tylko Maxowi – jak zwykle – nie brakowało pewności siebie. Gdy nadszedł czas, by zapoznać się wreszcie z delfinami, wsadził małego na ramiona i powędrował w stronę specjalnie przeznaczonych do takich spotkań laguny. Zabawiał chłopca po drodze żartami, pomagając mu pozbyć się w ten sposób resztek obaw.

Zdjął Todda z ramion i posadził na skraju przylegającego do laguny małego basenu. Lindsey szła wolniej i została kilkanaście metrów za nimi. Mały pobiegł ku niej. Śpiesz się! Nie mogę się doczekać – zdawała się mówić jego rozradowana twarzyczka.

Lindsey, ubrana w skromny jednoczęściowy kostium kąpielowy, otuliła się dodatkowo szczelnie swym białym żakietem. Pochodziła ze Środkowego Zachodu i stroje kąpielowe używane na Florydzie wydawały jej się nieprzyzwoicie skąpe.

– Nie denerwuj się. – Max błysnął zębami w uśmiechu. – Syrena powinna mieć jakichś przyjaciół z prawdziwymi płetwami.

– Nie jestem syreną.

– Już ja się na tym znam. W połowie jesteś gorąckrwistą kobietą, a w połowie zimną rybą. A Todd jest syrenim dzieckiem. Słuchaj, stary! – zwrócił się do chłopca. – Może jako dziecko syreny zostaniesz kiedyś księciem delfinów. Kto wie?

Oczy małego roziskrzyły się. Najwyraźniej ciekaw był, co to może znaczyć.

Gdzieś opodal zaszczekał morski lew. Gdzieś indziej para delfinów wdała się ze sobą w pogawędkę i ich wysokie, śmieszne głosy odbijały się echem od ścian basenu.

Ale Max nie odezwał się ani słowem, dopóki mały nie zapytał:

– A co to jest „książę delfinów”?

Max po przyjacielsku poklepał go po ramieniu.

– Delfiny są bardzo mądre. Mają większe mózgi niż ludzie. I jest taka legenda, wedle której dawno temu próbowały się one porozumieć z ludźmi. Ale ludzie okazali się zbyt głupi i zbyt samolubni. I delfiny zrezygnowały z prób nawiązania z nimi kontaktu. Ukryły się w głębinach mórz.

Uniósł chłopca z ziemi i, trzymając go pewnie w ramionach, z powagą spojrzał mu w oczy.

– I teraz delfiny czekają, aż znajdzie się ktoś, kto potrafi ich zrozumieć. Na człowieka, który będzie godny tego, by stać się księciem delfinów. Przekazą mu wówczas całą swoją mądrość. Zwierzęta i ludzie będą odtąd żyli w przyjaźni. W wielkim królestwie pokoju.

Todd sprawiał wrażenie w pełni oczarowanego.

– Nie faszeruj głowy dziecka jakimiś bzdurami burknęła bezdusznie Lindsey.

– To nie są żadne bzdury, tylko legenda Mądra i bardzo piękna. – Max uściskał chłopca, pragnąc go uspokoić i ośmielić. – No, zuchu! Ruszamy do wody! Czas zaprzyjaźnić się z delfinami.

Ostrożnie, by nie zapryskać wodą twarzą dziecka, zsunął się do laguny. Lindsey przygryzła dolną wargę. Todd był radosny i ani odrobinę nie wystraszony. Stale dziwiło ją, że Max potrafi być taki delikatny.

Instruktor – młody, spalony na brąz mężczyzna imieniem Gary pilnował ich nie opuszczając małego basenu. Laguna odgradzona była od pełnego morza podwodną siatką. Od drugiego jej brzegu płynął ku nim lśniący, szary delfin. Było to wielkie, potężne stworzenie, mierzące prawie dwa metry. Lindsey jeszcze silniej zagryzła wargi.

Max brnął w głębokiej wodzie. Poruszał się tak sprawnie i naturalnie, jakby sam był jakimś morskim zwierzęciem. Podtrzymując Todda, zamachał wolną ręką w jej kierunku.

– Chodź, syrenko!

Niewiarygodne! Dlaczego ja to robię? – pomyślała Lindsey, zdejmując zakieciik zastępujący jej płaszcz kąpielowy i zanurzając się w basenie. – Co on takiego zrobił, że Todd tym się cieszy i nie boi się niczego? Chyba naprawdę jest

czarodziejem. Tylko czemu wywrócił do góry nogami nasz świat?

Świat wywrócony do góry nogami jest wspaniały i zabawny – wydawała się mówić twarz jej dziecka. Wystarczyło, że zjawiał się Max, by Todd uważał życie za coś doskonałego. A teraz delfin szarżował prosto na nich i mimo tego, że instruktor zawołał go jakimś żeńskim imieniem, zbliżał się wprost do Maxa, jak do starego znajomego.

– Patrz, co masz robić, żeby się z nim przywitać – powiedział Max i, nadal podtrzymując Todda, wyciągnął nad wodę rękę w kierunku delfina.

Zwierzę, nauczone odpowiadać na taki gest, zatrzymało się tuż przed nimi i przyglądało im się badawczo. Jego oczy miały inteligentny i niemal ludzki wyraz. Uniosło następnie głowę ponad wodę i oparło swój długi, szary pyszczek o dłoń Maxa.

– Widzisz. Pani delfinka prosi, żebym ją pocałował.

Todd przyglądał się rozszerzonymi ze zdumienia oczami Maxowi, który pocałował delfina, a następnie przycisnął jego lśniący, długi ryjek do swego policzka, pozwalając się również „pocałować”. Lindsey była nie mniej zdumiona: ta zabawa wyraźnie podobała się zwierzęciu.

Delfin pomknął na środek laguny, ale nie spuszczał z nich spojrzenia swych przyjaznych, rozumnych oczu.

– Teraz twoja kolej! – Max trzymał Todda w pasie obiema rękami. – Nie bój się. Wyciągnij rękę, a gdy do ciebie podpłynie, pocałuj ją.

Lindsey wstrzymała oddech. Todd bez chwili wahania wyciągnął rękę ponad wodę. Niemal błagalnym gestem przyzywał delfina, który natychmiast zanurzył głowę pod wodę i zaczął płynąć w jego kierunku. Wypląnął na powierzchnię tuż przed nim, przyjrzał mu się raz z jednej strony, raz z drugiej i ufnie oparł pysk na rękę chłopca. Todd uśmiechnął się promiennie i zbliżył twarz do twarzy zwierzęcia. Z głośnym cmoknięciem pocałował go w policzek, a następnie pozwolił, by delfin przycisnął swój szary pyszczek do jego buzi. W tym momencie rozpromienił się, wprost zadrżał z zachwytu. Delfin nurknął pod wodę, wypląnął opodal i przyglądał się ich całej trójce figlarnie, jakby się z nimi przekomarzając.

– Teraz ty, syreno – zachęcał ją Max. – Wypróbuj tę twoją madagaskarską przyssawkę na delfinie.

Lindsey, czując się tak, jakby wkraczała do innego świata, zaczęła płynąć w ich stronę. Nie spuszczała z oczu delfina, a on także się jej przyglądał. Nieśmiało, zastanawiając się, czy aby jej się to wszystko nie śni, wyciągnęła rękę ponad wodę. Delfin zaczął płynąć w jej kierunku i mogłaby przysiąc, że się do niej uśmiecha.

„No widzisz” – zdawał się mówić – . jestem częścią twojego świata, a ty jesteś częścią mojego. Czyż nie jest to piękne, cudowne miejsce, ta nasza ziemia?”

Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się badawczo, z ukosa, a po chwili wsparł swój pyszczek na jej dłoni.

– Hej! Delfinko! – szepnęła. – Przybliż. – przez sekundę szukała odpowiedniego słowa – twarz.

Jaką lśniąca i ciepłą ma skórę, pomyślała. Przycisnęła do niej wargi. Mokry, pluszowy dotyk przypomniał jej lalkę z dzieciństwa. Nadstawiła policzek i poczuła dziwną, jakby z innego świata pieśczętę. Po sekundzie delfina już nie było. Odplłynął i czekał na zaproszenie do jakiejś następnej zabawy.

Lindsey poczuła ucisk w krtani, który uparcie nie chciał ustąpić, gdy razem z Toddem i Maxem dalej bawili się z delfinem. Potrafił podawać płetwę, jakby wymieniał uścisk dłoni, a nawet odtańczył z nimi coś w rodzaju twista. Ale jeszcze bardziej niż inteligencja zwierzęcia zdumiewała ją reakcja Todda. Dotąd tylko kot Bożo potrafił uczynić go tak szczęśliwym.

Czas przeznaczony na „wzajemne poznanie się z delfinami”, niestety, dobiegał końca.

– Uważaj – powiedział Max, przytrzymując Todda.

– Teraz się okaże, czy ona cię naprawdę polubiła. Chcesz to sprawdzić?

Todd przytaknął ruchem głowy, wpatrzony w pływającą na środku laguny samicę delfina.

– Podpłyn do niej – tłumaczył Max. – Jeżeli cię polubiła, to zbliży się do ciebie i zwróci się płetwą grzbietową w twoją stronę. Wtedy złap ją w ten sposób – zademonstrował, jak się to robi – a ona będzie z tobą śmigać po całej lagunie. W życiu nie miałeś takiej przejażdżki.

Lindsey z drżeniem serca wpatrywała się w Todda, który wyrwał się niemal z objęć Maxa i bez słowa ruszył ku środkowi laguny. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że ten jej wiecznie załęczniony chłopiec poważy się na coś takiego. A on płynął jak mała, zwinna ryba, całkowicie pochłonięty przygodą.

Delfin dostrzegł nadpływającego malca i pomknął ku niemu tuż pod powierzchnią wody. Lindsey wstrzymała oddech. Wynurzył się tuż obok Todda i nadstawił mu płetwę. Chłopiec uczepił się jej palcami, a delfin, uśmiechając się po swojemu, tajemniczo, i nie zanurzwszy się ani na chwilę, popłynął szybko przed siebie, zabierając ze sobą chłopca jak w jakiejś czarodziejskiej bajce.

Todd śmiał się czystym, głośnym śmiechem. Delfin zataczał z nim po lagunie coraz szersze kręgi.

– Lindsey? – Max był wyraźnie stropiony. Odwróciła się, brnąc w głębokiej wodzie i popatrzyła na niego. – Lindsey? Dlaczego ty płaczesz?

Nie wiedziała nawet, że płacze. Spojrzała bezradnie przez łzy na Maxa, przełknęła z trudnością ślinę i z powrotem zwróciła wzrok na Todda. Delfin zatoczył ostatni krąg, podpłynął i po chwili chłopiec, jakby specjalnie jej przez tę dziwną istotę zwrócony, znalazł się w matczynych objęciach. Nie przestawał się śmiać.

– Lindsey? – odezwał się Max tym samym stroskanym tonem.

Odwracała od niego głowę. Nie śmiała mu powiedzieć tego, co czuła. A i przed samą sobą nie chciała się przyznać do tego, co stawało się coraz bardziej oczywiste. To dzięki niemu jej syn jest szczęśliwy. Dzięki niemu wrócił do siebie. Nie mogła go za to nie pokochać.

A jednocześnie – jak mogła kochać takiego mężczyznę, jak Max Dunne? Było to beznadziejne, głupie, niebezpieczne.

Ale cóż mogła na to poradzić?

Rozdział 10

Todd siedział w wannie, a Lindsey zmywała mu sól morską z włosów. W pewnym momencie zerknął spod czapy szamponowej piany i zaskoczył ją nagłym pytaniem:

– Mamo, czy Max mógłby być naszym tatusiem?

Znieruchomiała na moment. O Boże! – pomyślała.

Przecież to się musiało tak skończyć. Jak mogłam choć przez chwilę o tym zapomnieć. To karygodna głupota!

Zaczęła mydlić mu głowę z taką determinacją, że aż się skrzywił. Pozwoliła na to, by Max igrał z jej uczuciami, ale jak mogła być na tyle ślepa, by pozwolić mu igrać również z uczuciami dziecka! Ten człowiek potrafi oczarować sobą wszystkich. Jest to jego wypróbowany środek realizowania własnych celów. I potrafi to robić bez skrępowań.

– Max jest bardzo zajęty – odpowiedziała. – Jest po prostu naszym znajomym. I to wszystko. Damy sobie świetnie radę bez tatusia.

– Ale przecież moglibyśmy zawsze tu być razem. On...

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Max ma inne plany. Będzie tu już bardzo krótko. Nic na to nie poradzimy.

– Ale...

– Nie! Mówię ci jeszcze raz: on nie ma czasu na to, żeby być tatusiem. I trzymaj się raczej od niego z dala. Szczególnie wtedy, gdy jest w towarzystwie Habiba. Może znajdzie jeszcze dla nas chwilę czasu. Dopóki nie wyjedzie.

Aby uciąć dyskusję, odkręciła na cały regulator prysznic, ale gdy tylko splukała głowę małemu, spytał ją ponownie:

– A kiedy Max znowu zrobi nam delfinowy dzień?

– Chyba tylko dziś była taka specjalna okazja. I przestań o nim bez przerwy mówić. Najlepiej w ogóle o nim nie myśl, dobrze?

Jak mogę wymagać od pięciolatka czegoś, czego sama nie potrafię zrobić? – zadała sobie w duchu pytanie, ale dla podkreślenia swej determinacji otworzyła zawór spuszcający wodę z wanny. Zaczęła wycierać Toddowi włosy.

– Byłby z niego dobry tatuś – bąknął mały, nie dając za wygraną.

Lindsey wypuściła z rąk ręcznik, ujęła chłopca za ramiona i z ogromną powagą popatrzyła mu w oczy.

– Nie, nie, nie! On ma zupełnie inne plany. Stale będzie w rozjazdach. Wkrótce

będziemy go widywać bardzo rzadko. Tak jak babcię Nanę.

Babcia Nana – matka Jerry'ego, mieszkająca w St. Paul ze swym czwartym kolejnym mężem – nadzwyczaj rzadko przypominała sobie o istnieniu Todda. Odwiedzała ich tylko czasami. Jej nagłe zainteresowanie wnukiem kończyło się jeszcze prędzej, niż się pojawiało. Obiecywała mu zwykle jakieś wspaniałe gwiazdkowe prezenty, które zapominała później przysłać, skracała pod byle pretekstem wizytę i wyjeżdżała. Dlatego usłyszawszy o niej skrzywił się; wiedział, że jest ona członkiem rodziny, ale nie takim, na którym można polegać. I bardzo dobrze, pomyślała Lindsey. Niestety, będzie musiał zdobyć gorzką wiedzę o tym, że niektórym dorosłym także nie można w pełni zaufać. Im prędzej zrozumie, że taką właśnie osobą jest Max, tym lepiej dla niego.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Usiadła na łóżku, odgarnęła włosy spadające jej na oczy i spojrzała na fosforyzującą tarczę budzika. Było parę minut po północy.

Wiedziała, że to musi być Max. Wstała, zarzuciła na siebie szlafrok i, klnąc pod nosem, ruszyła ku drzwiom. Po drodze omal nie nadepnęła na kota.

Co ten człowiek znowu od niej chce? Czy nie zdaje sobie sprawy z tego, że tym pukaniem może obudzić dziecko?

Gwałtownie otworzyła drzwi. Max stał w wojowniczej pozycji, z rękami w kieszeniach. Wiedziała, że jest wściekły o to, iż nie spędziła wieczoru w towarzystwie Habiba. Wymówiła się tym, że Todd kaszle i wymaga opieki. Naomi przedłużyła swój pobyt w Miami. Chyba po prostu nie wytrzymała nerwowo i zdezerterowała.

Max taksował ją krytycznym spojrzeniem. Szczelniej okryła się szlafrokiem. Pod spodem miała tylko skromną niebieską pidżamę.

– Co chcesz o tej porze? – spytała tonem, z którego przebijało znużenie i niechęć.

– Ciebie. Sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Zamrugnęła powiekami.

– Chodź! Musimy porozmawiać! – Wziął ją za rękę i usiłował wyciągnąć z pokoju.

– Poczekaj z tym do jutra. – Próbowała się opierać, ale ciągnął ją tak mocno, że nie chcąc robić sceny opuściła w końcu bezpieczne schronienie pokoju.

– Chodź! Wyjdziemy na plażę. – Nie puszczać jej ręki, Max zamknął za nią drzwi. Sprowadził ją ze schodów i holował za sobą dalej przez ciemny salon. Światła z ogrodu pozwoliły mu znaleźć oszklone drzwi wyjściowe. Gdy znaleźli

się na zewnątrz, zatrzymał się na chwilę i przyciągnął ją do siebie. Zrobił to niezbyt delikatnie.

Wstrzymała oddech. Żałowała, że nie może dojrzeć w ciemności jego twarzy. Wyczuwała jego zdenerwowanie i złość. Potężny, ciemny zarys jego ramion przysłańiał światło ogrodowych latarni.

– Pewnie nie będziesz tym zachwycona – warknął – ale zdaje się, że będziemy mieli publiczność. Wydaje mi się, że Habib obserwuje nas ze swego balkonu.

Zachowuj się więc jak należy i udawaj, że jesteś w dobrym humorze, do cholery!

– Och! – mruknęła złośliwie. – Znowu popisy sceniczne, panie Dunne?

– A jakże. Potrzebne aktorstwo na miarę Oskara.

– Przyciągnął ją bliżej do siebie. – Ja na przykład muszę udawać, że jesteś kobietą mego życia.

Zesztywniała w jego ramionach, ale serce zaczęło jej bić coraz szybciej.

– Jak to się stało, że wpakowałeś się w takie tarapaty?

– Wiesz przecież. – Był tak blisko niej, że czuła jego oddech na swej szyi. – Najpierw spotkałem faceta, który okazał się wariatem. Potem kobietę, która też nie jest do końca normalna. Dodaj do tego kota i rezultat gotowy. Jeśli spotkam ponownie zbłąkane zwierzę, to pozwolę mu zdechnąć z głodu. Więcej nie bawię się w świętego Franciszka.

– To rzeczywiście nieodpowiednia dla ciebie rola – zauważyła cierpko. – Nie jesteś świętym.

– Nigdy nie twierdziłem, że nim jestem. A ty lepiej wywiązuaj się ze swego kontraktu i oszczędź mi uwag na temat mojego braku świętości.

Rozejrzał się wokół, wziął ją za rękę i powiódł przez ogród. Gdy znaleźli się w świetle latarni, ponownie objął ją w tali ramieniem. Poczowała dreszcz. Spojrzała ukradkiem na boczne skrzydło domu i wydało jej się, że dostrzegła na balkonie cień. To musiał być Habib. Zmusiła się do uśmiechu i zwróciła się ku Maxowi.

– Cóż sprawiło, że wyciągnąłeś mnie z łóżka w środku nocy?

– Pieniądze. – Uśmiechnął się równie sztucznie jak ona.

– Ach, pieniądze! Powinnam była o tym wiedzieć. Pieniądze Habiba?

– A ty myślałaś, że chodzi o wygraną w Bingo?

– Cóż się takiego stało? Czyżby nie chciał podpisać kontraktu? Mimo tego, że udajesz człowieka bez reszty oddanego rodzinie?

Zatrzymał się pod kolejną latarnią i pocałował ją w czoło.

– Ty złośliwa więdźmo! – zasyczał jej w ucho.

– Nie całuj mnie!

– A ty mnie nie denerwuj! Bo inaczej... – Pocałował ją ponownie w czoło. Ale tym razem był to długi, czuły pocałunek. Wiedziała, że jest to ostrzeżenie. Gdzie zaopatrujesz się w takie pidżamy – spytał, szyderczo unosząc jedną brew. – Znasz jakiś specjalny sklep dla dziewczyc? Czy może masz ciotkę zakonnice?

– Jesteś ostatnią osobą, która może krytykować czyjś ubiór. Spójrz, jak ty się ubierasz.

Błysnął zębami w uśmiechu i przytulił ją do siebie. Odwróciła twarz w bok, tak że mógł całować jedynie jej włosy.

– To właśnie mi się w tobie podoba – szepnął jej do ucha – że zupełnie nie dasz się lubić.

Doszli do skraju ogrodu. Dalej był już tylko wąski pas plaży i ocean. Bezkresny i atramentowo czarny pod bezgwiezdnym niebem. W tej części przylądka jego wody były płytkie i tylko gdzieniegdzie majaczyły w ciemności jasne wstęgi piany na niezbyt wysokich grzywaczach.

Stali tak przez moment. Lindsey pozostawała uwięziona w jego demonstracyjnym, robionym na pokaz objęciu. Wolny rytm przyplływających i odpływających fal, a także jego dotyk – mimo iż miał on w sobie coś z farsy – wywołał w niej dziwne pragnienia i tęsknoty. Próbowwała za wszelką cenę im się nie poddawać.

– Przestań – syknęła. – Mów wreszcie, o co chodzi.

Puścił ją, ale niezupełnie. Nadal trzymał jej obie dłonie w uścisku. Ich palce pozostawały splecione. Lindsey uświadomiła sobie z zażenowaniem, że stoją w pozie, która postronnemu obserwatorowi musi wydać się bardzo czułą. Jednocześnie im dłużej Max dotykał jej rąk, tym bardziej stawała się niespokojna.

– Chodzi o to – powiedział niskim, stłumionym głosem – że Habib jest o krok od tego, by podpisać ze mną ten kontrakt. Dostał teleks z Nowego Jorku i musi wyjechać jutro w południe. A przedtem chce jeszcze porozmawiać z tobą. W cztery oczy.

– Ze mną? – Spojrzała na niego przerażona. – Po co?

– Nie wiem. Przypuszczam, że chce dowiedzieć się czegoś bliższego o naszym małżeństwie. Musisz być bystra i odpowiedzieć bezbłędnie na wszystkie jego pytania.

Przeraziło ją to. Max był sprytny, ale Habib również. Jaką pułapkę będzie próbował na nią zastawić? – Alą ja... – głos jej zamarł.

– Chciałem cię o tym uprzedzić. – Uścisnął jej ręce. – Może chcesz powtórzyć

jakieś rzeczy? Pamiętasz wszystko?

Zwlekała przez chwilę z odpowiedzią, a jej palce zacisnęły się na jego dłoniach. Stało się to jakby wbrew jej woli. W milczeniu patrzyli sobie w oczy.

– A jeśli wszystko się uda – spytała z wahaniem – to będzie już koniec? Pozostawisz nam kota. I żadnych więcej zobowiązań. Tyle, że będziemy mogli sobie tu jeszcze trochę pomieszkać.

– Oczywiście. Żadnych zobowiązań. Tyle, że czasem będę potrzebował kota do celów reklamowych. A ty będziesz się nim opiekowała jak należy.

– A ty? Ty... znikniesz z naszego życia?

Wpatrywał się w nią nadal, ale w półmroku nie mogła nic wyczytać z wyrazu jego twarzy.

– Zniknę. Taka była przecież umowa.

Zniknie, pomyślała. Z trudem potrafiła to sobie wyobrazić.

– Słuchaj! Zostawię cię rano z Habibem i zabiorę jeszcze raz Todda do tego Ośrodka. Oni naprawdę używają tych zabaw z delfinami jako terapii. Dla dzieci niepełnosprawnych i zaburzonych emocjonalnie. Uczą ich miłości, poczucia bezpieczeństwa. Małemu się to bardzo podobało.

Naprężyła mięśnie i próbowała wyrwać rękę z jego uścisku.

Nie! – krzyknęła prawie. – Wykorzystuj sobie mnie, ile chcesz, ale zostaw to dziecko w spokoju!

– To ty się uspokój! Chodź tutaj. Habib nie powinien być świadkiem kłótni małżeńskiej. Przyciągnął ją znowu do siebie i objął za ramiona. Jego kciuk pieścił jej kark. – Cóż w tym złego, że sprawię dzieciakowi frajdę? Przecież był tym zachwycony.

Spojrzała na niego. W oczach lśniły jej łzy.

– Przecież on zaczyna cię kochać, ty głupcze! – wybuchnęła. Po chwili pożałowała, że mu to powiedziała, ale skoro już to się stało, niech dowie się całej prawdy.

– Co?

– Czy jesteś ślepy? Czy pozbawiony uczuć? Przecież on cię uwielbia, uważa cię za siódmy cud świata. Coraz bardziej mu na tobie zależy. A ty wkrótce znikniesz z jego życia. To nie fair. Nie zbliżaj się więc do niego, bo będzie mu jeszcze trudniej.

Poczuła, jak jego palce zacisnęły się na jej ramionach. Po swoim, niedbale wzruszył ramionami.

– Czasem będziemy się widywać. Jest ten kot. Raz czy drugi tu wpadnę. Taki jest układ.

– Układ! – zadrwiła. – Beznadziejny jesteś. Nic nie rozumiesz. Ale mówię ci jeszcze raz: odczep się od tego dziecka. Nie chcę, żeby po twoim wyjeździe wpadło w depresję. Dosyć miało bolesnych przeżyć. A mnie zaprowadź teraz do pokoju. Bo za chwilę zepsuję całe przedstawienie.

Przyglądał się jej badawczo, ale w jego oczach nie odnalazła ani śladu ciepła czy zrozumienia.

– Chętnie – odrzekł, ujmując ją za rękę. – Tylko postawmy sprawę jasno. Nie nadaję się na ojczyma. Wybij to sobie z głowy. Nie jestem do tego stworzony.

– Ojczyma? – Zarumieniła się ze wstydu. Czy on myśli, że ona chce go naciągnąć na prawdziwe małżeństwo? Poczowała upokorzenie i zarazem ból. – Kto cię prosił o to, abyś został jego ojczymem? Nie nadawałbyś się na ojczyma nawet... nawet dla robaka. Okropny jesteś!

– No to żeśmy sobie wszystko wyjaśnili. Uspokój się. Habib się nam przygląda – ostrzegł ją. Przeszli przez ogród, a gdy znaleźli się w cieniu domu, puścił jej rękę i zatrzymał się. Twarz miał skrytą w mroku. – Idź teraz do domu. Masz rację. Byłem okropny, jestem okropny. Dobrze mi z tym i takim zamierzam pozostać. Warto, abyś o tym pamiętała.

Odwrócił się, a ona pozostała sama w ciemnościach.

Rozdział 11

Rozmowę, której tak się obawiała, odbyli w ogrodzie. Habib na wstępie bawił ją swymi fascynacjami astrologią, a potem przeszedł niespodziewanie do tematu, który najbardziej ją niepokoił.

– Nie ma to jak stan małżeński – westchnął i zamyślił się przez chwilę. – Szczęśliwi jesteście oboje, prawda?

Wstrzymała oddech i próbowała tak sformułować odpowiedź, by nie była ona jawnym kłamstwem.

– Na tyle, na ile jest to możliwe.

– Nie da się tego ukryć. Rzadko widuję ludzi, którzy tak silnie fizycznie by na siebie oddziaływali. Nawet wkrótce po ślubie. To co się między wami dzieje, to istna burza magnetyczna. Cały czas to wyczuwam.

– Tak. Jest to coś w rodzaju magnetyzmu. – Tym razem przynajmniej nie musiała skłamać. Odetchnęła głęboko i wbiła wzrok w kamienne płyty ogrodowej ścieżki.

– Zastanawiam się tylko nad jednym. Dlaczego taki ekscentryczny, niezależny człowiek, jak Max, zdecydował się nagle na małżeństwo? Co pani ma w sobie takiego, co skłoniło go do tego kroku?

O Boże! – pomyślała Lindsey. – A więc on coś podejrzewa.

Habib przestał rozglądać się po ogrodzie i badawczo śledził jej reakcje.

– No właśnie – powiedział wolno, akcentując słowa. – Spośród tylu kobiet na świecie, dlaczego akurat pani udało się skłonić go do małżeństwa?

– To są sprawy, których nie sposób wyjaśnić. – Zrobiła jakiś bezradny gest. – Prawda?

– Nieprawda – zaprzeczył Habib. – Istnieje wyjaśnienie. I to bardzo proste.

Robiła wszystko, by się nie zaczerwienić. Jego inkwizytorskie spojrzenie zdawało się przewiercać ją na wylot. Za chwilę się to stanie, pomyślała z rozpaczą. Za chwilę powie, że odkrył naszą grę i że uważa nas za podłą, godną pogardy parę krętaczy.

– Zaraz to pani wyjaśnię – ciągnął Habib, wpatrując się nadal w nią z taką intensywnością, jakby potrafił czytać w jej myślach. – Ożenił się z panią głównie dlatego, że...

– Tak? – Musiała zwalczyć pokusę, by nie zostawić go na środku ogrodu i nie uciec.

– Dlatego, że ma pani w sobie tyle siły. Jest pani młodą, atrakcyjną, czarującą kobietą, ale to są sprawy drugorzędne. Zafascynowała go siła, z jaką potrafi pani kochać swe dziecko.

Przed oczami zawirowały jej czarne płatki. Uczucie ulgi było tak gwałtowne, że obawiała się, czy nie zemdleje.

– Ale muszę panią ostrzec. – Habib zniżył głos i przybliżył się do niej. – Każda cnota pielęgnowana do przesady może przerodzić się w swoje przeciwieństwo. Jest coś takiego jak nadmierna miłość. Pragnąc chronić swe dziecko przed wszelkimi zagrożeniami tego świata, może pani wyrządzić mu krzywdę. Ale jest na to rada. Wie pani, jaka?

– Jaka? – spytała, z trudem wydobywając głos.

– Trzeba mieć następne dziecko. I to natychmiast. Czemu to panią tak zaszokowało, pani Dunne? Ma pani jedno piękne dziecko. Trzeba mieć drugie... i trzecie... i... – Teatralnym, szerokim gestem wskazał na dom, ogród i plażę. – Jesteście oboje młodzi, macie piękną posiadłość. Czemu nie zapełnić ją dziećmi? Masą dzieci! Mój aktualny finansowy dobrobyt jest niczym w porównaniu z bogactwem, jakie stanowią moje dzieci rozsiane po całym świecie.

Lindsey była czerwona jak burak, a czarne płatki przed jej oczami nadal tańczyły tego swojego kadryla.

– Kto wie? – ciągnął Habib, ująwszy ją za rękę. Może już ma pani w sobie poczęte dziecko? Od razu się tego nie spostrzega. Aha! Ale niech tam! Podpiszę z pani mężem ten kontrakt, ale musi mi pani obiecać jedną rzecz...

– Obiecać?

– Tak. – Ponownie uścisnął jej rękę. – Jeśli będziecie mieli syna, to nadacie mu imię po mnie. Niechaj nazywa się Fergus Fingal Hurley Mohammed O'Flahertie Habib Dunne. Zgoda? To pięknie brzmi, prawda?

– Dobrze – zgodziła się, do reszty oszołomiona Lindsey.

– Max! – zawołał Todd, gdy Dunne wpadł po południu, pół godziny po wyjeździe Habiba, do ich pokoju. – Idziemy z mamą poszukać Moocha. Nie ma go na basenie. Chcesz iść z nami?

– Nie mogę, bracie. – Max podniósł chłopca i wsadził go sobie na ramiona. – Muszę ruszać w drogę. Ale odprowadzę was do ogrodu. I chciałem porozmawiać z mamą.

– Musisz wyjechać? Daleko? – Todd posmutniał.

– Muszę wpaść do Kanady, Izraela i do Berlina.

Kot Bożo zeskoczył z krzesła i kręcił im się pod nogami.

– Bożo, ty stary błaznie. Chcesz iść do ogrodu? To włącz mi na głowę – zaproponował mu Max.

– Nie wsadzaj go na głowę – zaśmiał się Todd, zapominając na chwilę o zmartwieniu. – Jak zaczniesz spadać, to cię podrapie.

– Auu! – wrzasnął Max. – Już to zrobił. Jak tak, to niech idzie za nami z mamą. Wypadł z Toddem na ramionach z pokoju i zaczął śpiewać:

*Ten piracki galeon
Przywiózł mi złoty melon
Wymarzony od tyłu miesiący
Galion srebrem mu lśnił
Z wiatrem pędził, co sił
A załoga – to sami szaleńcy...*

Bożo podążył za nimi, podrygując jakby w takt pieśni. Pochód zamykała Lindsey. Todd zanosił się od śmiechu, a Max tańczył coraz bardziej opętańczo. Na środku salonu wpadli na panią Gristle, która niosła wazon z kwiatami.

– Dobry wieczór, pani Gristle! – Max zwrócił się do zamarłej ze zdumienia kobiety z wyszukaną uprzejmością. – Tańczymy właśnie taniec zwycięstwa. To stary piracki obyczaj. Może by pani się do nas przyłączyła?

– Coś podobnego! – mruknęła pod nosem gospodyni, gdy tańczący znaleźli się wreszcie za drzwiami. – Nigdy nie widziałam takiego dziwnego człowieka. I te jego koszule! Nawet ten kot nie jest normalny.

Max zdjął Todda z ramion i postawił go na ziemi.

– Leć do pani Gristle po sardynki. Twój pelikan pewnie jest w tych domkach po drugiej stronie drogi. Na pewno go tam z mamą znajdziecie.

– Max? – Niebieskozielone oczy Todda znowu posmutniały. – Naprawdę musisz wyjechać?

– Muszę, stary. Nagrywam różnych muzyków na całym świecie. Na tym polega moja praca. Muszę się jej trzymać.

– Ale wrócisz niedługo, prawda?

Max przez dłuższą chwilę przyglądał się w milczeniu dziecku. Może wreszcie dotarło do niego to, o czym wczoraj mówiłam, pomyślała Lindsey. Wiedziała, że jego wyjazd będzie dla małego szokiem. I wiedziała także, że – wbrew wszystkiemu – sama też będzie za nim tęsknić.

– Nie, stary. Dłuższy czas mnie nie będzie.

– To kiedy się znowu zobaczymy?

– Czasem się będziemy widywać. Może się wybierzemy kiedyś jeszcze do delfinów. Co ty na to?

– Ja... nie chcę, żebyś wyjechał. W oczach małego pokazały się łzy. Najwyraźniej wstydził się przy Maksie rozplakać. Stał bezradny, jak mała, zatroskana kukielka. Lindsey było go ogromnie, ogromnie żal.

– Leć po te sardynki. I nie zapomnij powiedzieć pani Gristle „dziękuję”. Poczekam na ciebie w ogrodzie.

To ich pożegnanie trwało dosłownie kilka minut. I było to kilka minut okropnej kłótni. Max wypadł w końcu – nie przebrawszy się nawet – do samochodu. Miał podobno lecieć samolotem Cordwainera do Kanady. Cordwainer chciał tam zjeść smażone jaja w jakiejś swojej ulubionej restauracji, a Max miał zamiar zrobić próbne nagrania z jakimś Eskimosem. Kolejna porcja szaleństwa.

Wróciła do pokoju i zastała tam szlochającego Todda. Sama z trudnością powstrzymywała się od płaczu. Próbowала objąć małego, ale wyrwał jej się, zeskoczył z tapczanu i wybiegł na taras.

– On wyjechał przez ciebie – łkał Todd. – Musiałaś być dla niego niedobra.

Uświadomiła sobie nagle, że mógł on słyszeć z tarasu ich kłótnię.

– Nie. To nie miało nic wspólnego ze mną czy z tobą. On po prostu musiał... – Otarła łzy i podeszła do chłopca, który, wczepiony w balustradę tarasu, jak zahipnotyzowany wpatrywał się w samochód Maxa. Wóz wyjechał z podjazdu, przyspieszył i zaczął oddalać się ulicą Delfinową.

Zagryzła wargi i stała w milczeniu obok Todda, nie potrafiąc znaleźć słów, którymi mogłaby mu to wszystko wytłumaczyć.

I nagle, w ciągu kilku przerażających sekund, cały jej świat rozsypał się w gruzy.

Dostrzegła najpierw, jak z drugiej strony ulicy, spoza żywopłotu oleandrów, wyłania się brunatna sylwetka i kulejącym truchcikiem wybiega na środek jezdni. Samochód Maxa pędził prosto na nią.

– Mooch! – krzyknęła Lindsey. Instynktownie schwyciła Todda i wtuliła jego twarz w swoją suknię, tak by nie widział tego, co za chwilę się zdarzy.

Max, któremu żywopłot zasłaniał widoczność, musiał dostrzec pelikana w ostatniej chwili. Próbował minąć go po lewej, ale przestraszony przez nadjeżdżający samochód ptak zatrzymał się nagle i, wlokąc za sobą złamane skrzydło, usiłował się cofnąć tam, skąd przyszedł. Maxowi udało się zrobić kolejny

zwód w prawo. Minął o włos pelikana, ale promień skrętu okazał się zbyt ciasny. Wóz odbił się przednimi kołami od krawężnika, obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i uderzył bokiem w latarnię. Usłyszała trzask miazdzonej karoserii. Pogięty wrak kabrioletu przez moment uniósł w górę boczne koła, a następnie ciężko opadł na ziemię. Spod maski wydobywał mu się czarny dym.

Skamieniała ze zgrozy, przycisnęła mocniej do siebie Todda, nadal zasłaniając mu oczy. Widziała z tarasu rękę Maxa wystającą pod nienaturalnym kątem z rozbitych drzwi i jego przegięty w bok, wiszący na pasach bezpieczeństwa tułów. Był nieruchomy. Przerazająco nieruchomy.

– Max! – wydobył się z jej gardła krzyk.

Nie pamiętała, jak znalazła się na ulicy. Próbowwała utorować sobie łokciami drogę przez otaczający miejsce wypadku tłum gapiów.

– Mamo! Mamo! – Todd biegł ku niej przez trawnik, ścigany przez panią Gristle, pod której opieką go zostawiła. Rozpacz w jego głosie świadczyła o tym, że musiał zorientować się, że to Max uległ wypadkowi.

Nie wolno mu pozwolić, by go teraz zobaczył – pomyślała przerażona. – Wystarczy, że widział śmierć własnego ojca.

Porwała go na ręce i przytuliła jego twarz do swego ramienia, próbując ukryć przed jego oczami wrak samochodu.

– O rany! – powiedział ktoś obok. – On umiera? Nigdy jeszcze nie widziałem nieboszczyka.

Usłyszała przeraźliwy sygnał karetki pogotowia. Przytuliła do siebie jeszcze mocniej płaczące dziecko. Z twarzą zalaną łzami zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

Gdy odwiedziła go nazajutrz w szpitalu, w niczym nie przypominał nieboszczyka. Siedział na wózku w ogrodzie, z ręką w gipsie na drucianym wyciągu i uśmiechał się do niej niepewnie. Lekarze zapewnili ją, że prócz złamania nie ma żadnych obrażeń wewnętrznych i wkrótce będzie wypisany. Gdyby nie ta jego okropna koszula, wyglądałby na normalnego rekonwalescenta. Tyle, że dla personelu pogotowia okazał się pacjentem nadzwyczaj trudnym. Gdy tylko doszedł do siebie, zaczął się awanturować z sanitariuszami. Omal się z nimi nie pobił i zmusił ich w końcu do tego, żeby w drodze do szpitala towarzyszyła mu Lindsey i Todd. Mimo że widać było, z jakim wysiłkiem opanowuje ból, przez całą drogę zabawiał małego, śpiewał tym swoim zdartym głosem piosenki i w końcu udało mu się doprowadzić do tego, że chłopiec przestał płakać i zaczął się uśmiechać. Wtedy

chyba, gdy Max obiecał mu, że nigdzie na razie nie zamierza wyjechać, Lindsey pozbyła się wszelkich wątpliwości. To był szalony człowiek. Ale kochała go właśnie za to jego szaleństwo.

Nie przeszkodziło to jej jednak w tym, by zacząć wizytę od porcji wymówek.

– Dlaczego zrobiłeś tę całą awanturę – gderła, choć powód jego dziwnego zachowania był dla niej oczywisty. Chciał pokazać chłopcu, że nie każdy wypadek kończy się tak, jak tamta tragiczna kraksa, w której zginął jego ojciec. – Nie potrafisz być nawet normalną ofiarą. Myśleli, że mają do czynienia z kimś, kto zachowuje się niepoczytalnie w wyniku wstrząsu mózgu.

– Wiesz dobrze, dlaczego I przeżyłem wstrząs, ale nie mózgu. – Zmarszczył brwi i spoważniał nagle.

– Wiesz, otarcie się o śmierć porządkuje człowiekowi priorytety. Pozwala uświadomić sobie, na czym ci w życiu naprawdę zależy.

– Nie żartuj – obruszyła się. Chciała wziąć go za rękę, by upewnić się, że naprawdę żyje, ale jakoś się przed tym powstrzymała.

– A jak mały? – spytał. – Bardzo się zmartwił, że go dziś tu nie zabrałaś?

Spuściła wzrok. Przyszła odwiedzić go sama – na jego wyraźną prośbę. Ubrana w zielony kostium, ten sam, który miała na sobie, gdy po raz pierwszy się spotkali.

– No... nie bardzo chciał zostać z panią Gristle – wybąkała.

– A kto by chciał – mruknął z dezaprobatą.

– Nadal jest oczywiście bardzo napięty. Cieszy się, że niedługo wrócisz do domu, no i... bez przerwy zadrećza mnie pytaniami, czy rzeczywiście tak... całkiem nie wyjedziesz.

Spojrzała na niego ukradkiem. Był poważny jak nigdy. Rozejrzał się dookoła i widząc, że w ogrodzie nie ma żadnej z pielęgniarek, podniósł się z wózka, ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Max! Nie wolno ci wstawać! – zaprotestowała.

W jego chmurnych oczach dostrzegła coś, co sprawiło, że zakreśliło jej się w głowie i na chwilę przestała oddychać.

– Nigdy nie mów, że czegoś mi nie wolno – powiedział z ustami tuż przy jej ustach. – Bo natychmiast to zrobię. – Objął ją zdrową ręką w talii i przyciągnął bliżej.

– Max! Nie powinieneś tego robić!

– Sza! – uciszył ją i pocałował tak mocno, jak nigdy. Przyciągnął ją jeszcze bliżej. Czowała, jak pieści ustami jej szyję i skądś, jakby z daleka, słyszała jego stłumiony głos – Jakim ja byłem głupcem, Lindsey! Bałem się własnych uczuć i

dlatego próbowałem stąd uciec. Gdyby nie ten zwariowany pelikan, straciłbym cię na zawsze. Obejmij mnie obiema rękami. Przecież widzisz, do cholery, że ja nie mogę ciebie objąć tak, jak bym chciał.

Przytuliła się policzkiem do tej jego paskudnej koszuli i słuchała, jak mocno bije mu serce. Objęła go mocno i przytuliła się do niego.

– Gdy zobaczyłem tego ptaka tuż przed sobą, to zdążyłem pomyśleć tylko jedno: Todd kocha to stworzenie i nie wolno mi go przejechać, bo Lindsey by mnie znienawidziła. – Pieścił zdrową ręką jej ramię. – A w chwilę potem, gdy leciałem bokiem na tę latarnię, wiedziałem tylko jedno. Nie wolno ci się zabić, powtarzałem sobie. Masz kobietę i dziecko. Rozumiesz? Co za idiotyczna myśl! Kobietę i dziecko!

Odchylił się do tyłu na tyle, by spojrzeć w jej pełne łez oczy.

– Jak myślisz, Lindsey? Chyba miałem rację. I chyba dlatego los mnie oszczędził. Gdzieś w górze było zapisane, że mam być z tobą.

– Och, Max! – przytuliła się do jego zdrowego ramienia. – Rzeczywiście masz nas dwoje. Zawsze nas miałeś. Od samego początku. Jesteśmy twoi, czy chcesz tego, czy nie.

– O Boże! Jak ja cię pragnę – wyszeptał i znowu zaczął całować ją tak, że zakręciło się jej w głowie.

Rozwiązał wstążkę, rozpuścił jej włosy i zanurzył w nich palce.

– Nie wyjadę teraz. I nigdy na zawsze nie wyjadę. Czasem mnie nie będzie, nawet długo, zbyt długo, ale będę do ciebie wracał. Gdzie ty, tam będzie mój dom. Kocham cię. Od początku. Od tamtego pierwszego spotkania na przystani.

– Ja także cię kocham, Max. Zakochałam się w tobie chyba już w czasie tej głupiej ceremonii. Na polu arbuzów.

Spojrzał na nią i bezradnie pokiwał głową.

– No i co ja mam teraz zrobić, pani Dunne? Nie mogę cię nawet poprosić o to, żebyś za mnie wyszła.

– Nie wiem, panie Dunne. Zanim nie przyjdzie nam jakiś pomysł do głowy, może byś mnie jeszcze kilka razy pocałował?

– No popatrz... Nie oszukaliśmy w końcu Habiba – mruknął jeszcze, zbliżając do niej usta.

– Panie Dunne! Panie Dunne! – zawołał ktoś nagle.

– Proszę natychmiast siadać na wózek i wracać na oddział.

Oboje niczego nie usłyszeli. Zanadto byli zakochani.

Trzy tygodnie później, w rubryce towarzyskiej gazety lokalnej w Key West ukazała się notka następującej treści:

Znany producent płytowy Max Dunne i jego żona Lindsey święcili ceremonię odnowienia ślubów małżeńskich w swojej rezydencji w Vaca Key. Ślubowanie przyjął od nich pastor Michael Malone.

Pierwszą (i jedyną) drużną była pani Naomi Feldman, drużbą zaś – pan Hamish Cordwainer. Obrączki ślubne wręczył im syn państwa Dunne – Todd. Gości weselnych było tylko dwóch: pelikan ze złamanym skrzydłem i młody kot z łatką w kształcie asa pik na nosie.

Pani Dunne miała na sobie suknię od Diora z chińskiego jedwabiu w kolorze morskiej zieleni i kwiat gardenii we włosach. Pan Dunne natomiast ubrany był w biały smoking, spod którego wystawała hawajska koszula z malunkiem skaczących delfinów.

Przyjęcie, które miało odbyć się na patio, w ostatniej chwili przeniesione zostało do ulubionej cukierni Todda. Okazało się to konieczne, ponieważ w czasie gdy państwo młodzi całowali się, pelikan pożarł poważną część przygotowanych delicji.

Dunnowie kategorycznie zdementowali pogłoskę, jakoby kot wpaść miał do wazy z ponczem. Drugi miesiąc miodowy, podobnie jak pierwszy, postanowili spędzić w domu.